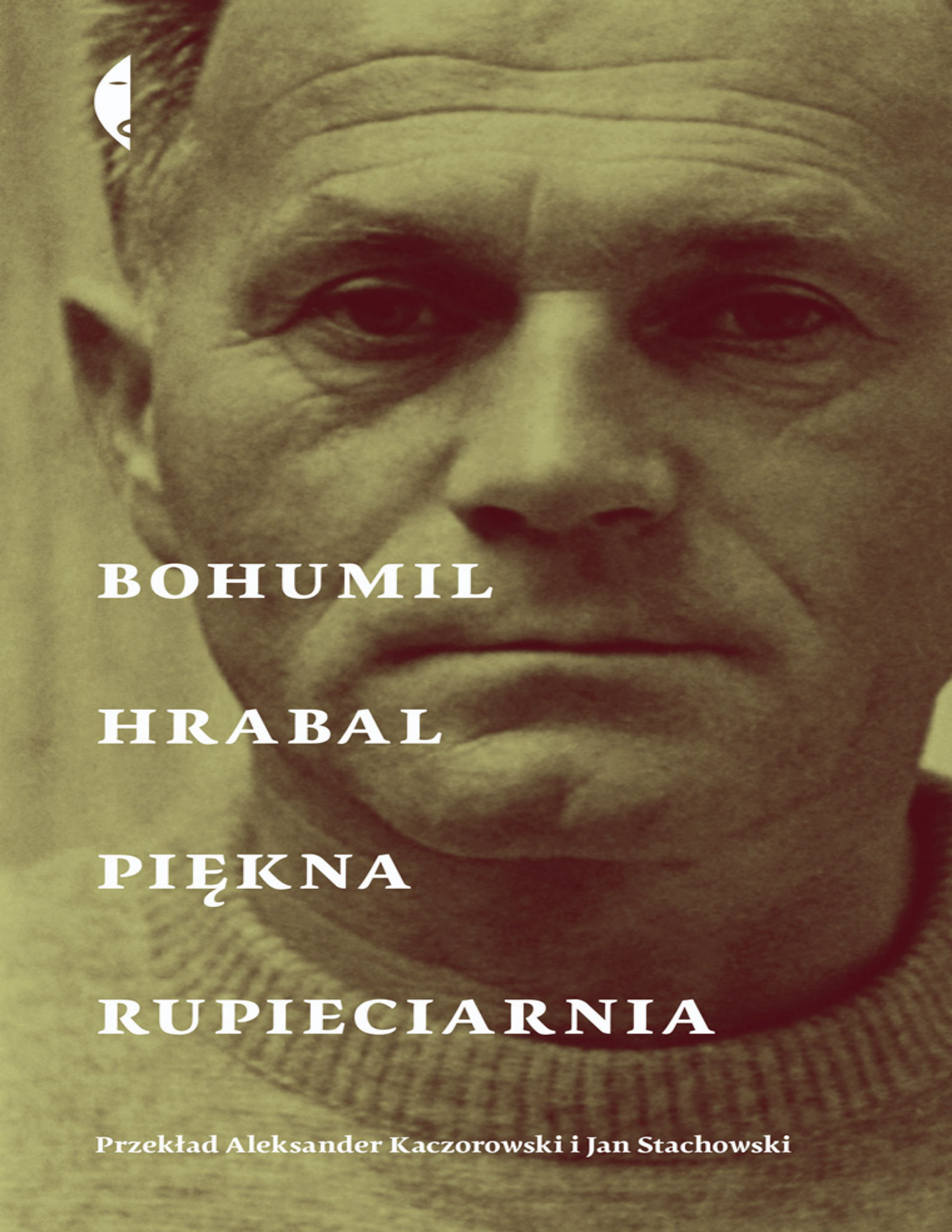

BOHUMIL HRABAL

PIĘKNA RUPIECIARNIA

Przekład Aleksander Kaczorowski i Jan Stachowski

Bohumil Hrabal

Piękna rupieciarnia

Przełożyli Aleksander Kaczorowski i Jan Stachowski

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2019

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by PAP/CTK

Copyright © 1995/96, Bohumil Hrabal Estate, Zürich, Switzerland
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2019
Copyright © for the Polish translation by Aleksander Kaczorowski i Jan Stachowski, 2019

Redakcja Małgorzata Poździk / d2d.pl
Korekta d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Alicja Listwan / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-807-5

Piękna rupieciarnia

Strona tytułowa
Strona redakcyjna

Spotkanie autorskie w restauracji Leśna
Dandys w drelichu
Piękna rupieciarnia
Odnaleziona Ósemka
Moja Libeń
Pearl of Love Stories
Za Budziejowicami
Cud gospodarczy
Z zapisków zapisywacza
Pewnego dnia
Ja i Semafor
Czy na darmo jeździłem po świecie?
O klauzulach wyjazdowych
Grozy wojenne
Wspomnienie pewnego sylwestra
Z listów do Pipsi
Z listów do Karla Maryski
Protokół z sekcji własnych zwłok
Partnerstwo dla Pokoju albo Czekając na Godota
Czym jest knajpa

Aleksander Kaczorowski *Hrabala portret własny*

Nota bibliograficzna
Przypisy
Kolofon

Spotkanie autorskie w restauracji Leśna

To może ja wreszcie zacznę, co? Jestem pod wrażeniem, że przybyło tu was tak dużo, i jeszcze z powodu tego alkoholu, bo w tym względzie już nie jest ze mną najlepiej. Ostatnio w prezencie dostaję wyłącznie alkohol, a przy tym moja wątroba powinna się trochę oszczędzać, więc raczej trzeba by mi pić takie różne herbatki. Ale co tam, ja sobie z tym jakoś poradzę, jak w tej anegdocie, że nawet jak wątroba troszkę wysiądzie, wtedy wszystko załatwiają nerki, albo i śledziona.

Słuchajcie państwo, stuknęła mi siedemdziesiątka. Wiem, wiem, dzisiaj to już żaden wiek, ale kiedy wspominam strony, w których spędziłem sześćdziesiąt lat, bośmy się tu sprowadzili chyba w roku 1920, to na początek mogę powiedzieć tyle, że każdy, komu w szkole szło kiepsko, ba, kto nawet zimował – a na przykład ja siedziałem w pierwszej i czwartej gimnazjalnej – więc zapewniam, że ma on dużą szansę zostania pisarzem. Musi jednak w nim być coś szczególnego, zresztą uważam, że to coś powinno towarzyszyć życiu każdego człowieka – u mnie to chyba wrodzone, ale można to też w sobie wykształcić – chodzi mi o zachwyt nad widzialnym światem. Zachwyt nad tym, co nas otacza, nad samym sobą, żeby człowiek znalazł czas i rozejrzał się wokół, i dostrzegał, że przyroda, ludzie, ludzkie losy i cały widzialny świat są na swój sposób wspaniałe i wyjątkowe, nawet jeśli banalne. Dzisiejsze czasy właśnie banałowi dają zielone światło, ot choćby taki pop-art albo współczesne filmy. Weźcie państwo film, któryśmy nakręcili – jest w nim jeden nieboszczyk, ale w gruncie rzeczy są to tylko małe ludzkie historyjki i jak na nie spojrzeć przez pryzmat bystrego oka – a takie powinien mieć każdy – wtedy jest bardzo łatwo zrobić film z waszego życia, z życia waszych krewnych, bliźnich. Dlaczego o tym mówię? Ano tylko dlatego, że uprawianie sztuki to żadna sztuka. Co więcej, wspaniałe jest w niej to, że pisanie wcale nie

jest konieczne, można je traktować tak, jak ja. Bo ja przede wszystkim żyłem, no i robiłem sobie zapiski. Ach, to moje życie w browarze. Nie byłem sierotą, zawsze wiodło nam się dostatnio, smalcu mieliśmy w bród, no i już od maleńkości lubiliśmy sobie popić, ale tak na wesoło, wiadomo, że piwa, w końcu w browarze człowiek nie będzie pił wody. I dzięki temu, że zawsze byliśmy ciut zawiani, tośmy wokół siebie widzieli różne rzeczy, a to, czegośmy nie widzieli, dopowiadał nam legendarny stryj Pepin. Na pewno każdy ma w swoim otoczeniu takiego „waryjota", co to mówi o rzeczach, o których mówić nie wypada, jednak on mówi o nich jakoś tak inaczej, no i przez to stanowi centrum zainteresowania. Tak samo jest z knajpą – jest tam stół, przy którym na kogoś czekają, a czasem to właśnie wy jesteście tymi oczekującymi. I nagle przychodzi jakiś człowiek, który jest właśnie tym diamentowym oczkiem, po prostu kimś, kto siedzi w knajpie i potrafi opowiadać oraz komentować życie, nie tylko własne, także cudze, a o meczu piłkarskim opowie lepiej niż ktokolwiek inny. Tak więc sztukę opowieści wszyscy znamy z najbliższego otoczenia, tylko że nie potrafimy jej docenić, z wyjątkiem tych, co chodzą do knajpy, gdzie rozmowę się kultywuje, i właśnie to jest najwspanialsze, bo dla prozaika mojego pokroju rozmowa stanowi punkt wyjścia. W knajpie robią to za mnie inni, ponieważ knajpa jest prawdopodobnie tym miejscem, gdzie powstają anegdoty, czyli miniopowiadania, z kontekstem i podtekstem, czasem nawet bardzo bolesnym. A kto to wszystko wymyśla? Nigdy nie znamy autora, ponieważ jest nim zbiorowa świadomość, która tkwi w tym knajpianym potoku mowy, w żywym języku. Tak samo anonimowa jest też większość ludowych piosenek poruszających swoją głębią. Każdy poeta za szczyt własnego dorobku uważa taki wiersz, który nawiązuje do ludowej twórczości. No właśnie! Na mnie zawsze działało i wciąż działa to, co robią zwykli ludzie, ci anonimowi, nieznani, ludowi gawędziarze, i wydaje mi się, że mogłoby zadziałać na wszystkich, bo nie każdy ma cierpliwość, żeby się męczyć z robieniem notatek z życia albo brać przykład z Czechowa, Haška czy innych, jak się pisze dobre opowiadanie. Jednak już dzięki temu, że czyta, może patrzeć i rozglądać się, i stać się kongenialny, współtworzyć

rzeczywistość, która dzieje się z minuty na minutę, z dnia na dzień itede. Ciekawe jednak, że komentarz do tego potrafią zrobić także zwykli ludzie i właśnie oni są dla mnie wzorem. No tak, czyli zanim wydałem swoją pierwszą książkę, a miałem wtedy czterdzieści osiem lat, więc do tego czasu tylko żyłem. Jak państwo wiecie, imałem się różnych zajęć. Krótko byłem dyżurnym ruchu na stacji, ale kiedy wojna się skończyła, zacząłem pracować jako agent ubezpieczeniowy, a potem robiłem u niejakiego Harry'ego K. Klofandy, wciskając tę bezsensowną galanterię i zabawki. A później przyszedł rok 1948 i nowa władza, więc musiałem zlikwidować działalność w firmie, no i przyjąłem się do huty w Kladnie… Tam było świetnie. Raz wsadzarka się urwała i jedno z kół walnęło mnie w głowę. Pozszywali mi ją i po ośmiu miesiącach, kiedy znów poszedłem do roboty, wsadzarka urwała się znowu, a wtedy majster Rendla powiedział: „Te, Hrabal, zwijaj manatki i zmykaj stąd, bo jeszcze nas tu wszystkich urządzisz!". Wtedy nająłem się w składnicy makulatury. To była romantyczna przygoda, bo cały czas przebywałem tam z sympatycznymi ochlaptusami, którzy przez swoje pijaństwo byli o wiele mądrzejsi ode mnie. Ileż mi naopowiadali, a ja chciałem być taki jak oni. Ale kiedy już doszedłem do siebie po tym wypadku, kiedy koło walnęło mnie w łeb, okazało się, że od tamtej pory pisanie zaczęło mi iść lepiej. Czyli, jak zanotował Saroyan – „Tato, tobie odbiło". Tylko że mnie odbiło trochę później… Cieszyłem się, że jestem pisarzem, kiedy ni z gruszki, ni z pietruszki, to było w 1962, przyszli do mnie i spytali: „Dasz nam pan jakąś książkę?". A ja na to, że dobra. Wtedy znów pisałem komentarze do mojego życia, do tych moich fachów, do tych moich *love story*…

Byłem też parę razy zakochany. Zawsze to trwało cztery lata, tylko z żeniaczką jakoś mi nie wychodziło. Jednak później tamte dziewczyny całkiem dobrze powychodziły za mąż. I nie to, że nie chciałem się żenić. Chciałem, ale zawsze wydawałem więcej, niż zarabiałem, a tego kobity nie lubią. A teraz, jak mam pieniądze, już nie mogę tyle pić i wydawać. Bardzo lubiłem mocny alkohol. Najlepiej mi się piło z kubka, bo to pobudza myślenie, gdy człowiek ma zablokowany umysł i nic mu nie wychodzi, jak

nie potrafi rozgryźć tekstu. Kiedy nie umiałem rozgryźć Artura Schopenhauera, wtedy szybko nalewałem sobie kubek wódki, potem drugi i od razu mi się w łepetynie robiło jaśniej. Tylko że wiecie państwo, człowiek musi się czuć przy tym tak, jakby szedł pod górkę, wtedy jest świetnie. A kiedy nagle zaczyna mieć wrażenie, co bywa tak mniej więcej po czterech godzinach, że ten alkohol działa odwrotnie, wtedy trzeba się na chwilkę położyć, wpakować do łóżka. Bardzo chętnie wylegiwałem się w łóżku, popołudniami też. Mogłem sobie na to pozwolić, bo chodziłem na drugą albo na trzecią zmianę, tylko że niechętnie trzymałem się grafiku. Ale wróćmy do obserwacji rzeczywistości. W moich opowiadaniach zawsze są obecne szczegóły, te takie najbanalniejsze, które, co ciekawe, dostrzegają dzieci i ludzie nawiedzeni, no i jeszcze pijusy, poeci oraz prozaicy. Właśnie proza wychwytuje z rzeczywistości oczka, po których tamta się porusza. Czyli się nią inspiruje… Jak już mówiłem, w szkole zimowałem dwa razy. Do dwudziestego roku życia głupol był ze mnie straszny, dzwon imbecylizmu. Przykładowo nie umiałem się uczyć, szkoła była jakby pociągiem, który jechał przez tunel. Ja tam wolałem ganiać z chłopakami albo grać w piłkę, albo ze stryjem Pepinem siedzieć w czeladnej i słuchać, co mówią dorośli. A czasem popijaliśmy i robiliśmy to samo, co dzisiaj ludzie przy oglądaniu teleturniejów. Chodziliśmy też do knajpy, graliśmy w bilard i gadali… Teraz patrzę na telewizję tylko wyjątkowo, kiedy jest jakiś mecz piłki albo co innego… Wczoraj na przykład chciałem obejrzeć *Norę*, aleśmy siedzieli tutaj, więc nie mogłem jej zobaczyć. Jednak jak tylko o tym przeczytałem, czułem, że ta *Nora* będzie znakomita, że z historią tej aktorki jest jak ze mną. Piszę o jakiejś pozytywnej postaci i jednocześnie stwierdzam, że ja nie jestem tym pozytywnym facetem. Podobnie jest z Norą, gdy w sytuacji konfliktowej znalazło się jej małżeństwo. Chętnie bym sobie obejrzał tę sztukę o sprzeczności między ideałem i marzeniem a tym, jak sprawy mają się naprawdę. A państwo przecież wiecie, że mnie do pisania wystarczą ludzkie historie wzięte z życia, że nie przepadam za jakimiś na wpół wymarzonymi bohaterami, tylko na odwrót, ciągle się zanurzam w banalnym opisywaniu pewnych

szczegółów dotyczących najzwyklejszych ludzi i wciąż nie mogę zgłębić tego, czym w gruncie rzeczy jest człowiek. Państwo wiecie, jaka jest różnica między czytaną akurat książką a tym, co widzicie we własnym życiu, tym, kim jesteście. Pisarz ma określone zahamowania, a kiedy ich nie ma, wtedy mówi się o nim, jak na przykład o panu Hašku, że jest ordynusem. Chociaż to nieprawda, bo *Szwejk* jest literaturą pełną gębą, powieścią światowej klasy, natomiast sam Szwejk to jedna z najzacniejszych postaci światowej prozy, a dzięki sposobowi, w jaki Jaroslav Hašek bezlitośnie obnaża rzeczywistość, nie robiąc przy tym nic, żeby upiększyć tego człowieka i w ogóle swoich bohaterów, więc pod tym względem pan Hašek jest dla mnie niedościgłym wzorem.

Tyle w charakterze wprowadzenia. A teraz pytanie: czemu ludzie się śmieją, powiedzmy, z takiego *Szwejka*? Dlatego, że jest tam niewiarygodna masa szczegółów. Kiedy pisze o realiach knajpianych czy wojennych, mistrz Hašek zawsze jest uważnym obserwatorem rzeczywistości. Tutaj chcę zwrócić uwagę czytelników, że literatura to nie tylko czytanie do poduszki albo dla zabawy, służy też do tego, żeby coś z niej wynieść, choćby nawyk rozglądania się. Żeby się rozejrzeć i zobaczyć, jaki cudny jest zachodzący albo wschodzący księżyc. Jaka cudna jest kąpiel w wodzie z nagimi dziewczętami – nie, nie teraz, latem – jak można być twórcą siebie samego i traktować własne życie niby dzieło sztuki, co umieją robić ludzie, którzy chadzają do knajpy, gdzie pogwarki potrafią stworzyć tak piękną atmosferę, że człowiekowi po prostu nie chce się wyjść nawet o północy, a potem w domu żona się piekli i jazgocze: „A cóż cię tam takiego trzyma?”. No, zawsze lepsze takie połajanki, niż gdyby też miała chodzić do knajpy i pić tam na umór.

Teraz chcę wrócić do czegoś, co łączy nas wszystkich… Krótko mówiąc, każdy dorosły, chociaż czasami zdarza się to również dzieciom, przeżywa tak zwane *love story*. Wtedy dobrze wie, że oszalał na punkcie kogoś odmiennej płci, bo rozrabiają mu gruczoły i wysyłają takie fluidy, że przez rok czy dwa jest zdolny do pisania miłosnych listów. Gdy nagle czuje się tak samo jak poeci, zaszczycony, że może się zwracać do swego

obiektu, seksualnego obiektu, a nawet jest w stanie opisywać krajobraz i jak go wzrusza słońce oraz wszystko, co ostatnio czytał. I ni stąd, ni zowąd, choć nigdy się tego nie uczył, pisze czterostronicowe listy. Tak wygląda początek. Początkiem literatury jest po prostu miłosna korespondencja, bo jeśli ktoś wytrzyma z jej pisaniem, nie z myślą o natychmiastowej publikacji, tylko na własny użytek, a miejsce obiektu seksualnego zajmie, najogólniej mówiąc, przyroda czy aspekt ludzki, jeśli zakochanym wzrokiem będzie potrafił rozejrzeć się wokół i dostrzec te wszystkie warstwy i pokłady ludzkiego życia, wtedy staje się poetą. Ten początek mamy wspólny, ponieważ wszyscy zakochani są genialni. Kiedy nas dopada miłość, mówimy od rzeczy, nie śpimy, a odtrącony amant w skrajnym wypadku urżnie się w trupa. Powiedziałbym, że są dwa wspólne mianowniki. Korespondencja miłosna i coś, czego dzisiaj już nie ma w zwyczaju, ale kto wie, może ktoś to odnowi… w pewnym okresie XIX wieku ludzie prowadzili pamiętniki: „Mój pamiętniczku, powierzam ci, że…”. I te dziewczęce pamiętniki, ich sekrety, też są istotą literatury. Korespondencja miłosna oraz pamiętnik stanowią początek, czyli kto to pisze, ten wie, co znaczy być genialnym. Ale konieczne jest stałe przypominanie sobie tego pięknego okresu, kiedy zwierzał się pamiętnikowi, temu papierowi, powierzając mu tak zwane szlachetne – nie, nie tak zwane, zagalopowałem się – po prostu autentycznie szlachetne uczucia. Ponieważ ta szczerość, gdy mówi człowiek zakochany, to musi być coś wspaniałego, a jak zaczyna pisać pamiętnik, niektóre wydarzenia z jego życia towarzyskiego albo emocjonalnego wydają mu się nagle ważne i odczuwa potrzebę zwierzenia, i ulega podszeptowi „przecież ty umiesz pisać”, i wtedy pisze jakby pod dyktando. Taki list miłosny powstaje pod dyktando seksualnego pożądania, pamiętnik podobnie. Ciekawe zresztą, skąd się to brało w tych wiejskich dziewczynach, że pisały sekretne pamiętniki. Więc tam właśnie jest wspólny mianownik, a zrządzeniem losu wszystko się jakoś tak kombinuje u człowieka nazywanego pisarzem lub pisarką, poetą lub poetką, niemniej to, co nas wszystkich łączy, ma jedno źródło.

Mówiłem tu o paru sytuacjach. Zacząłem od zachwytu – już nawet Platon mówi, że początkiem filozofii jest zachwyt, że kto się potrafi zachwycić, ten zaczyna… no po prostu chodzi o pewien podziw dla tego, co jest niby nieistotne – znaczy się, mówiłem o zachwycie nad widzialnym światem, w który wprowadzają proza i poezja, no a mnie do niego wprowadziło coś, w czym tkwiłem po uszy, coś danego jakby *a priori*… Po prostu lubiłem patrzeć, ja się wręcz gapiłem na wszystko, co otaczało ten browar, i na Nymburk, miasteczko, gdzie zatrzymał się czas, a które, gdybyście tam państwo przyjechali, na pewno byście sobie pomyśleli: Chryste, co ten Hrabal w nim widzi? Kiedyś było śliczne, ale teraz wygląda tak, jakby wczoraj wyszli z niego Niemcy, a za nimi Rosjanie. Dziś jest w żałosnym stanie, ale kiedy zamknę oczy, widzę, jak wszystko w nim żyje; może nie dacie wiary, że w tym mieście były dwa kina, trzydzieści dwie knajpy, z czego dwadzieścia osiem z panienkami, a ponadto działało pięć teatrów, które cały czas miały co grać. Ja zaczynałem w tym mieście i jak już mówiłem, to był mój świat. Od rana, już od świtu zachwycałem się jego murami i tymi fazami, jakie można widzieć na impresjonistycznych obrazach, kiedy wszystko, cała okolica z każdą chwilą wygląda inaczej, zmienia się. Każdy to może przeżyć. Jak człowiek jest w pracy i ma tam okno, może spoglądać przez okno albo się na chwilkę stamtąd urwać, albo jeśli będzie piękne popołudnie, wywiesić tabliczkę „przyjęcie towaru” i niech sobie inni wariują, a my idziemy obejrzeć rzekę albo rozkwieconą łąkę. Więc jak ktoś jest w stanie tak zrobić, no, wtedy to jest to… Przykładowo reżyser Menzel wykombinował sobie połączenie dwóch osób, Leliego i pana Medka, i pozszywał je tak, jak jest pozszywany strój piłkarzy Slavii, tworząc z nich jedną postać, wprawdzie tragiczną, ale wypełnioną potrzebą poezji. Silną potrzebą asamblażu, zestawiania ze sobą rzeczy pozornie do siebie niepasujących, ale pięknych. Czyli świata, w którym ten człowiek czuje się szczęśliwy. To jego hobby i po prostu wszystko, więc nie przeszkadza mu żona w papilotach.

Jak państwo wiecie, moi bohaterowie rzadko kiedy są przykładnymi obywatelami, zawsze są lekko sfiksowani. Może to kogoś zdziwić, ale

właśnie dzięki takim lekko sfiksowanym ludziom można lepiej pokazać pewne wartości. Kim jest Szwejk? Sfiksowany facet, który handluje psami, ani burżuj, ani proletariusz, taki pół na pół. Fach, jakiego się nie spotyka. To postać szokująca, dzięki której Hašek zdołał pokonać starą Austrię, ośmieszyć ją tymi wszystkimi wypowiedziami Szwejka. Albo taki Dostojewski. U niego też zawsze występują skrzywdzeni i poniżeni, a nawet jeśli są arystokratami, to także sfiksowanymi. A weźmy choćby Hemingwaya, tę jego ostatnią rzecz – *Starego człowieka i morze*. Kim jest postać, w którą Hemingway się wcielił? Dlaczego tak oczarował go stary, samotny rybak? Fotografia zmarłej żony walała się na szafie, przyjaźnił się tylko z chłopcem i już nikt nie chciał z nim wypływać na połów. A Hemingway utożsamił się z nim i wyruszył z nim na morze, rekiny pożarły mu rybę, więc nie przywiózł niczego, ale Hemingway się z nim utożsamił. Czemu właśnie z nim? Czemu nie z jakimś przykładnym obywatelem? Myśleliście państwo o tym kiedyś? Ponieważ ten człowiek wzbudził jego współczucie, a tym samym Hemingway okazał współczucie również dla siebie, a jak wiemy, już wtedy, gdy miał pięćdziesiąt lat, kiepsko z nim było; doskwierały mu choroby i psychiczne urazy, więc utożsamił się ze starym rybakiem, który niczego nie przywiózł, bo wydawało mu się, że też już niczego nie przywiezie, no i napisał to… Podobnie jest u Faulknera, dlatego lubię te książeczki. One nie są duże, człowiek przeczyta tego Hemingwaya za dwa wieczory. Jest u Faulknera jedna piękna postać, która przypomina mojego Kakrę. Gość chodzi w gumowcach i się nie myje, ale Faulkner potrafi wykazać, że taki człowiek też ma godność, a kiedy ktoś go wkurzy, jak ten bogaty facet u Faulknera, to nic już mu nie pomoże, nawet gdyby mu dawał forsę, bo tamten go znajdzie i ukatrupi. Ponieważ szary człowiek poza własną godnością nie ma nic. A jak ktoś ma forsę, ekstradom i gablotę, wtedy tą godnością żongluje. Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Wiadomo, odwołuje się do łagodzących okoliczności, które mają wytłumaczyć jego zamożność, a jednocześnie pokazać, że on też jest sfiksowany, tyle że

inaczej. Jednak dla literatury, dla wielkiej literatury, o której wspomniałem na tych dwóch przykładach, tacy ludzie nic nie znaczą.

No tak, zaczęliśmy od zachwytu, a przy tej okazji napomknąłem o stryju Pepinie i o moich zachwytach nad browarem oraz Nymburkiem. W stryju też tkwiło coś takiego. Z zawodu był szewcem, później pracował jako mielcarz. A chudy był jak szczapa, do tego oryginał, taki typ nawiedzonego. Miał cudowny dar słowa – patrząc w górę, opisywał, co widzi, przy czym za każdym razem były to różne niesamowite, dziwne sytuacje, przeważnie śmieszne, choć tylko pozornie. Jego opowieści zawsze miały szeroki kontekst, podtekst i cechy ludowej mądrości oraz filozofii. Taki był ten mój stryj. To właściwie on mnie uczył, jako chłopiec uczyłem się od niego słuchania, w zasadzie do dwudziestego roku życia tylko słuchałem, bo wszędzie wokół, w nymburskim browarze, w tych słodowniach, byli ludzie mądrzejsi ode mnie. No i przy każdej okazji ciągnęło mnie do stryja w czeladnej, do tych mielcarzy, którzy tam sobie ucinali pogwarki, takie na smutno, a mój stryj się wtrącał, ale jak, ten zawsze ryczał. Bo wiecie państwo, rozpierał go platoński zachwyt nad najpiękniejszą armią świata, jaką dla niego była armia austriacka, w której służył, zachwyt nad pięknymi panienkami, którym dawał kwiaty, po prostu zachwyt nad całym widzialnym światem, ponieważ trzeba wam wiedzieć, że stryj umiał w zachwycie opisywać nawet to, jak się robi buty. To był taki niepowstrzymany strumień ogromnej wyobraźni, a ponieważ jak wszyscy nawiedzeni miał pamięć wzrokową, widział ten but i opisywał każdy detal, dzięki niej opisywał, co, gdzie i kiedy widział w Wiedniu, w Budapeszcie czy na froncie. I od razu w jego głowie powstawał jakby film, który on przewijał, czasem wolniej, czasem szybciej, i na podstawie tego filmu, posługując się swoim zaraźliwym humorem, opowiadał o świecie starej Austrii i o biedzie, jaką klepał, kiedy jeszcze żył w Konicach, a potem o tym, jak ściągnął do Nymburka i został pupilem nie tylko naszej rodziny, ale także browaru, a w końcu całe miasto zaczęło go szanować… Kiedy stryj Pepin zjawiał się w mieście, otwierały się okna i drzwi i był zapraszany, i wypytywano go, a on zawsze odpowiadał, niby śmiesznie,

jakby był stuknięty, ale im dłużej mówił, tym był cudowniejszy. Zawsze to było coś jak dowcipy Renčína z „Dikobraza” albo te zwariowane gagi, które czasem, gdy są trochę stonowane, przypominają angielski humor. Państwo wiedzą, że już kilka razy powiedziałem o sobie, że jestem raczej zapisywaczem niż pisarzem. Krótko mówiąc, zapisywaczem tego wszystkiego fajnego i ciekawego, co zasłyszałem i zapamiętałem, bo jak mi ktoś w knajpie opowiadał coś fajnego, wtedy kupowałem dla niego stół piwa, no i on mi sprzedawał jakąś historyjkę z własnego życia. Tak to ze mną wygląda. Czyli jestem zapisywaczem, a moim dostawcą pomysłów była wyobraźnia. Muszę tu jednak podkreślić, że do pisania jest też konieczna pewna zuchwałość i ja ją miałem… Weźmy takie Frankfurter Buchmesse. Miliony książek, a tu jeszcze jakiś Hrabal z Nymburka czy innej Pragi chce napisać książkę, która niby ma zawojować świat… Rozumiecie państwo, milion plus jeszcze jedna. Czyli trzeba do tego zuchwałości i wielkiej wiary, takiej szalonej wiary, że to, co się mówi, jest niezwykłe. I to właśnie otrzymałem od stryja Pepina. Bo cokolwiek opowiadał, zawsze tam był taki ekstrasmaczek, przyprawiony absolutnie czarnym humorem, a jednocześnie autentycznością oraz nadzwyczajnym dowcipem. I jeszcze zachwytem, o którym wspomniałem, że stoi u podstaw mojej filozofii, tak jak o tym mówi Platon. Czyli jak już to wszystko macie państwo w sobie, do tego poparte zuchwałością, wtedy możecie napisać książkę, tak jak ja. Tyle że ja pisałem sobie do szuflady, ponieważ nie wierzyłem, że moja pisanina ma jakąś wartość i że znajdzie czytelnika. Miałem wrażenie, że jest wypowiedzią skrajnie subiektywną, czysto osobistą… No, tak zaczynają prawie wszyscy. U mnie zawsze były samizdaty, takie jak krążą teraz – stare dzieje. Robiło się oryginał, trzy kopie, rozdawało się je przyjaciołom i tak żeśmy się wymieniali. A takich książek powstało chyba z dziesięć, znaczy się do chwili, kiedy w czterdziestym ósmym roku życia wydałem pierwszą książeczkę, miała tytuł *Perełka na dnie*. Wcześniej pielęgnowałem w sobie wszystko, robiłem marginalia, no, po prostu pisałem jakby pamiętnik, czy też miłosny list,

notując uwagi o interesującej i otaczającej mnie rzeczywistości – takie drobne spostrzeżenia, z których potem powstawały moje książki.

Tak tu sobie gadam, ale na pewno zainteresuje państwa praca przy filmie. Już taki jestem, że zamiast coś robić, wolę pójść się wykąpać albo do knajpy. Jak tylko ktoś czegoś ode mnie chce, wtedy zaraz mówię: „O Jezu, muszę gdzieś iść…”. I już mnie nie ma. Jedynym, który mnie kupił, był pan Menzel. Wszystko zaczęło się od opowiadania o stryju Pepinie, *Śmierć pana Baltisbergera*, dzięki któremu staliśmy się sobie bliscy. On miał wtedy dwadzieścia dwa lata. No, a kiedy mi zaczęły wychodzić książki, trzecią były *Pociągi pod specjalnym nadzorem*, ich akcja rozgrywała się niedaleko stąd, za Łabą, jest tam też zdanie o Kersku. Ta Niemka powiedziała: „*Ich fahre nach Kersko*”, znaczy się jechała z Kostomlatów właśnie do jakiegoś domku gdzieś tutaj. Ten film proponowano kilku reżyserom, ale kiedy dali im temat… Nawet Věra Chytilová, która myślała, że mogłaby go nakręcić, to chociaż jej ojciec miał restaurację dworcową w Bohdanczu, przyszła i powiedziała: „Panie Hrrrabal, nie wiem, jak to ugrrryźć”. W końcu zahaczyli pana Menzla, a wtedy on: „Mam pomysł, co z tym zrobić”. O, proszę. I w ten sposób Menzelek trafił mi się już drugi raz, no a praca z nim, co nieraz opisywałem, była niezwykle ciekawa, ponieważ on był i jest nadal, jak by to powiedzieć… No, wokół niego jest taki mocny dzwon niewiedzy, wciąż tkwi w nim chłopaczek, ale jednocześnie ma w łepetynie diamentowe oczko, przed nim kamerę, więc wie, jak skomponować kadry, żeby z tego wyszedł film… Myśmy pracowali szczególną metodą, bez przerwy się wymienialiśmy… Najpierw ja pisałem opowiadanie, potem on je uzupełniał i oddawał mi, ja coś tam zmieniałem i tak długo żeśmy dialektycznie obrabiali literacki tekst, aż był gotowy. A później tutaj, w Kersku, przez trzy dni pisałem literacki scenariusz. Przyniosłem go dyrektorowi Fikarowi i mówię: „To ja sobie pójdę”. Wtedy on: „Bohousz, nic z tego. Siadaj i pij koniak”. Tak więc musiałem siedzieć i pić koniak. Kiedy przeczytał – widzę to jak dzisiaj – położył na tekście swoje łapsko i powiada: „Bohousz, gotowe. Żadnych zmian”. Czyli chyba byłem genialny, bo przecież po tych

wstępnych etapach, kiedyśmy się wymienili dwa, trzy razy, pisałem na okrągło przez trzy dni tutaj, w Kersku, tu był etap ostatni. A potem było ciekawie z obsadą głównej roli. Ubierali kandydata w mundur, taki jak miał Milosz Pipka w *Pociągach pod specjalnym nadzorem*, i ten później paradował przez cztery minuty przed kamerą. Potem puszczało się to na ekran, a po obejrzeniu autor i cała ekipa filmowa mówili… „Eee, gdzie tam, to nie on…” No i był pierwszy, drugi, trzeci, czwarty… Po dziesiątym Menzelek sam wskoczył w ten mundur, ale jak zobaczył siebie na próbnym zdjęciu, powiedział: „Ja jestem już za stary, a poza tym wyglądam zbyt inteligentnie”. Trzeba nam kogoś z głupią miną. Po szesnastym byliśmy skołowani, aż tu nagle odezwała się pani Fikarová: „Wiecie co? Widziałam w telewizji tego przygłupa, Neckáře. Jego wypróbujcie”. A Menzel na to: „E, nie, ma odstające uszy”. Ale ona się upierała, więc wcisnęli go w mundur i kiedy przespacerował się trzy minuty, wszyscy uznali, że to on. Czyli w zasadzie bez pani Fikarovej byłby ktoś inny… Tylko że on był tak wzruszający, chłopięco naiwny i jakiś taki przygłupawy, ale nie w pejoratywnym sensie, to znaczy romantyczny… Tak, pan Neckář był strzałem w dziesiątkę, bo ten film jest niesamowity. Pierwszy fabularny film Menzla i od razu dostał Oscara, a w końcu Oscara nie dają za darmo albo na piękne oczy… I tak Menzelek i ja dzięki tej metodzie odnieśliśmy sukces… Później jeszcze nakręciliśmy *Postrzyżyny*. Ze mną jest tak, że kiedy siedzę nad scenariuszem, piszę go jako dojrzały mężczyzna, a dopiero po obróbce przez Menzla widzę go inaczej. Rozumiecie państwo, jak mi tam wprowadza rozmaite uwagi i zmiany, to one zawsze wnoszą coś specyficznego, co jest charakterystyczne tylko dla niego i ma taką stylistyczną naiwną czystość. Powiedziałbym, że Menzel ma odwagę znacznie większą niż ja, nie boi się szukać guza i na tym właśnie polega jego wiecznie młodzieńcza natura… Więc ja mu robię taki zarys, a potem, kiedy odda mi go ze swoimi uwagami, bardzo chętnie je akceptuję, widząc, jak tekst, ten filmowy scenariusz, się rozwinął w porównaniu z tym, co ja wcześniej napisałem. Po prostu Menzel zawsze dodaje autentycznej młodzieńczości, która go nie opuszcza, chociaż ma już czterdzieści sześć

albo i siedem lat. Tylko w *Święcie przebiśniegu*, historyjkach stąd, z tego lasu, jakoś tak zmężniał, jakby wydoroślał, a wszystko za sprawą odważnego montażu, uszeregowania poszczególnych obrazów, bo sama książka jest czymś w rodzaju pokawałkowanego dziennika bez scalającego wątku, który występuje choćby w *Pociągach*. Menzel wpadł na rewelacyjny pomysł, żeby protagonistą było opowiadanie o uczcie… I kiedy Komitet Kinematografii przyznawał nam na ten film pięć milionów koron, spytali: „O czym to będzie?…", „No, główną rolę gra odyniec…", „W Ameryce by powiedzieli, że brakuje *love story*, i posłaliby was do wszystkich diabłów, coś takiego jest możliwe tylko u nas". Bo rzeczywiście, główną rolę gra tam odyniec i wszystko, co się wokół tego kręci, czyli tworzy taki szkielet. Jak u ryby, u której są pożyteczne i płetwy, i żebrowe ości. Właśnie one są poszczególnymi historyjkami, które się łączą, podobnie jak tutejsze alejki zbiegają się na betonowej drodze. Czyli głównym wątkiem, tą betonówką, jest historia o odyńcu. I Menzel zrobił z tego oryginalny film, bardzo dojrzały i konsekwentny. Dawniej nie potrafiłby wziąć nożyczek i metodą jakby kolażu ułożyć tych obrazów w film, o którym fachowcy powiedzieli po projekcji, że to nie jest film dla szerokiej publiczności, a już pewno nie dorówna *Postrzyżynom*. No i proszę: okazuje się, że tutaj na wsi, w miasteczkach, miastach i w samej Pradze tłumy walą na niego. I co ciekawe, do młodych ludzi przemawia bardziej niż *Postrzyżyny*, bo mówi o sprawach, do których mają klucz. *Postrzyżyny* są bajką o starych, złotych czasach. I tak je trzeba traktować, nie jako rzeczywistość, ponieważ młody człowiek niewiele wie o dawniejszej strukturze społecznej i w ogóle jak było przed wojną, kiedy obowiązywało hasło, że ludzie po prostu mają być przyzwoici. Tę przyzwoitość tam widać w stosunkach między bednarzami a zarządcą browaru, chociaż jasne, że napięcia i konflikty też się zdarzały… No, ale moim zdaniem Menzel właśnie w *Święcie przebiśniegu* jest wyrazistszy, bardziej zdecydowany i spokojnie można powiedzieć, że ta tragiczna, jakby reportażowa humoreska dorównuje zarówno *Pociągom*, jak i *Postrzyżynom*.

Akurat teraz Menzel jest gdzieś w Szwajcarii i ma ciekawe zajęcie, bo tam rozwiązano cyrk, duży cyrk, i klowni założyli teatr, no i on robi im za reżysera. A ponieważ w Ameryce właśnie leci sztuka z życia klownów, to ci klowni, grając samych siebie, odnoszą wielkie sukcesy, głównie dzięki robocie Menzla. I jeżdżą z tym po Europie. Byli już w Wiedniu, teraz znowu są gdzie indziej… Proszę? Czy przyjadą do Pragi? No cóż, Menzel przyjedzie, ale czy ci klowni…? On woli robić sztuki, może widzieli państwo *Pensjonat dla kawalerów*… Dobrze się stało, że łepetynę zawsze miał pełną teatru. Swego czasu wystawiał *Hamleta*, o dziwo z sukcesem, w Dubrowniku, więc z braku czasu przyjechał tu na ostatnią chwilę. A na wszystko dostał raptem sześć tygodni. I po tych sześciu tygodniach plenerowe zdjęcia były gotowe, na szczęście, prawie cały film dzieje się w plenerze… Ale dali mu innego kamerzystę, który jednak okazał się genialny. Powtarzał w kółko: „Mnie tam nic nie przeszkadza, ani deszcz, ani słońce, bo ja sobie swoją maszynkę zasłonię…”. I tyrał na okrągło, więc zdążyli nakręcić tę piękną porę roku, jesień z tymi cudnymi barwami, wszystko oprócz scenek poza plenerem. Szykujemy jeszcze drugą część, *Taką piękną żałobę*, mamy już scenariusz, więc Menzel przyjedzie. Ale wiecie państwo, nasze życie też nie jest usłane samymi różami i ponieważ tematyka naszych filmów ciut odstaje od panującego kursu, tośmy na razie nie dostali zgody na rozpoczęcie. A w takim razie Menzel woli jeździć po Europie i robić teatr, ale kiedyś wróci i wtedy chyba się do tego zabierzemy, i znów będziemy ze sobą współpracować jak dawniej.

Dobra, teraz sobie usiądę i łyknę… Byłem poproszony o parę słów, a powiedziałem ich chyba z tonę, więc dajmy sobie trochę luzu. Można zadawać pytania. Jeśli zdobędę się na odwagę i będę wiedział co, wtedy odpowiem.

Ja tylko tyle, że kiedy pan Hrabal mi powiedział, ile tego zaliczył przez dwa dni, wtedy się przeraziłem. Bo ja bym tego nie wytrzymał, chociaż mam dopiero czterdziestkę.

Ja chyba też nie wytrzymam. Niech pan od poniedziałku zacznie czytać kronikę wypadków albo wiadomości w rubryce „Śluby i zgony”.

Jak się pan zainteresował Heglem i innymi filozofami, o których pan pisze i których książki wiązał w paczki w tym magazynie na Spalonej?

Na to muszę odpowiedzieć trochę szerzej, ale bez obawy, nie zanudzę pana. Do dwudziestego roku życia nauka mi nie szła, wciągnęła mnie później, na uczelni… I tak już zostało. Czyli pięćdziesiąt lat tkwię w wiedzy. Na studiach prawniczych zapisałem się na Artura Schopenhauera, a skoro ktoś studiuje Schopenhauera, wie, że jego przeciwnikiem zawsze był Hegel i że filozofia Schopenhauera stała w opozycji do Hegla. W takim razie jego też należało czytać. Ale ponieważ te książki były po niemiecku, musiałem się nauczyć niemieckiego. No i że tak powiem, zassałem. A kiedy człowiek bierze się do pisania wierszyków i zaczyna interesować literaturą, wtedy widzi, jak się to wszystko rozrasta, można powiedzieć, że ludzka kultura tworzy jeden łańcuch. Skoro kogoś interesuje impresjonizm, to nie ma siły, musi go zaciekawić, kim był Manet, Monet, Pissarro czy Sisley, no więc kupuje albo wypożycza odpowiednie książki i je wertuje… A tuż po nich byli ekspresjoniści, czyli znowu się to rozrasta… Jak widać, nie śpieszyłem się do żeniaczki, bo po uszy byłem w książkach. To znaczy chciałem się ożenić, tylko że na okrągło coś czytałem… i jeszcze żeby się wyluzować, graliśmy w karty… Czyli na Hegla trafiłem przez Schopenhauera, a dzisiaj w wolnym czasie… Już mnie opuściły dziwne wyobrażenia o szczęściu, dziewczyny już nie dla mnie, to co robić? Bez przerwy pić też się nie da, więc się dokształcam i cały czas siedzę w książkach.

Co się panu spodobało u Schopenhauera, co przede wszystkim zafascynowało?

Przede wszystkim, hm… Jest to kawał pięknej literatury, pierwsza polemika z Kantem, w którego pisaniu widać ten rygor: jeden, dwa, trzy, cztery, a, be, ce, de… Po prostu tekst Schopenhauera ma wspaniały rytm, jego styl zbliża się do literatury, a poza tym jest tam coś, co zawsze na mnie działa: umiłowanie natury i zwierząt, a wszystko odbierane przez współczucie, nie w kategorii rozumowej, jak u Hegla, tylko przez intuicję, wczuwanie się, przemijanie pod zamkniętymi powiekami, mistykę.

Stapianie się z rzeczami. To jest poezja, praktyczna mistyka, ale nie ta sztuczna, co powstała na wschodzie… Identycznie ma się sprawa ze zwykłymi ludźmi, takimi ze wsi, którzy żyją w harmonii z przyrodą. Czyli oni właściwie też są praktycznymi mistykami… Istota tkwi w *„Alle Liebe ist Mitleid*”… to jesteś ty, wszystko, co jest wokół ciebie, jesteś ty… właśnie to mnie w filozofii Schopenhauera… tak, uczucie, i jeszcze odrobina niewiary w postęp… wiecie państwo, jego dzieło, ono jest w zasadzie przeciw postępowi… I jeszcze, że trzeba stanąć z boku czasu… Po prostu mówi NIE dla zdarzeń w świecie zewnętrznym, podczas gdy Hegel to akceptuje. A później pojawił się następny, Friedrich Nietzsche, który przejął od Schopenhauera styl, wolę i w ogóle wszystko, ale wyraził akceptację, powiedział TAK… I jeszcze… twórcza jednostka jest miarą wszystkich rzeczy… Nikt inny w świecie nie czekał na to tak bardzo jak Adolf Hitler, który zawłaszczył jego filozofię, no i doprowadził ją do absurdu, co skończyło się tym, że sowiecki żołnierz wdrapał się na Reichstag i zatknął tam radziecką flagę, a tymczasem niżej, pod nim, leżał martwy Hitler i zrujnowane Niemcy. Według mnie chodzi tu o kompletnie źle zrozumianego Nietzschego. To TAK, ta wola życia zostały dostosowane dla mas, no i przewroty społeczne, narodowy socjalizm… Nie, nie będę mówił, skąd się to wzięło akurat u Niemców, bo i po co, napisano o tym setki książek i analiz. Adresatem Nietzschego była zawsze twórcza jednostka, a nie wódz. Dlatego inspirował naszą „Czerwoną Siódemkę”, ten praski kabaret, i młodych pisarzy, S. K. Neumanna, pokolenie Hlaváčka w latach 1900–1910. To byli jego wielcy wyznawcy, ponieważ Nietzsche wnosił coś nowego…

Ja widzę w panu praktycznego dialektyka. Nawet w opowiadaniu Koty i ludzie *jest dialektyka* par excellence*, tam jest coś, co w normalnym życiu trudno zobaczyć, ale każdy pisarz stara się podsunąć ludziom pod oczy rzeczy, które zobaczyć powinni.*

Mnie to nie dotyczy, bo ja nie jestem typem oświatowca, piszę dla siebie. W *Kotach i ludziach* jest *„Liebe ist Mitleid”*, po prostu współczucie. Skoro ma się współczucie dla zwierząt, nie można inaczej… Więc

musiałem to napisać i przedstawić Novaków jako ludzi, którzy opuścili te koty, a z kolei tamtych chłopaków jako tych, co je przepędzili… Zresztą tak właśnie było. No, a pisarz potrzebuje mieć coś jeszcze, musi przyciągać wydarzenia lub być przy nich albo je wyszukiwać, a przynajmniej mieć na nie otwarte uszy. Osobiście nie przeżyłem nawet połowy tego, co jest w moim pisaniu, ale zapamiętuję sobie, kiedy ktoś opowiada i ma to kontekst oraz podtekst i samo jest już małym artefaktem… No, nie wszystko, tylko to, co pasuje do mojej poetyki. A jak już wspomniałem, w skrajnym wypadku kupuję takie historyjki w knajpie za stół piwa.

Twierdzi pan, że kupuje historyjki za stół piwa, ale chyba też korzysta z własnych doświadczeń, z tego, co przeżył pan na własnej skórze. Niedawno wyszedł pański tekst Obsługiwałem angielskiego króla. *Może pan nam o tym coś powiedzieć? Do jakiego stopnia jest w nim pana historia?*

Ciekawe pytanie. Nigdy nie byłem kelnerem, co najwyżej pomagałem w noszeniu piwa w gospodzie u brata albo tak różnie po wioskach. I tu właśnie dochodzimy do tego, skąd biorę historyjki. Już od dzieciństwa ojciec, który był zarządcą browaru, jeździł ze mną po gospodach. Tato razem z knajpiarzem robili bilans albo zeznanie podatkowe, a ja siedziałem gdzieś w kącie, pijąc jedną lemoniadę za drugą, a gdy podrosłem, wtedy i dziesięć piw potrafiłem golnąć… A goście mieli ze mnie uciechę i gratulowali staruszkowi… Jezu, z tego będą ludzie… Ale sami państwo rozumiecie, że on nie cieszył się razem z nimi. Czyli już wtedy miałem dobrą okazję do obserwacji. Naszymi przyjaciółmi zawsze byli restauratorzy, do browaru przychodzili ci bardzo sławni, żydowscy, z okolic Kolina… Ale też składali wizyty u nas w domu, bywało, że siadywali po prostu w kuchni… Z kolei my wolny czas lubiliśmy spędzać po gospodach, czyli one są jakby we mnie. A przyszłą żonę poznałem, gdy pracowała w hotelu Paryż. I tam do niej chodziłem, tam na nią czekałem, tam ją poprosiłem o kończynę, znaczy się o rękę, tam pierwszy raz przyniosłem jej bukiet, i tam widziałem tych sławnych kelnerów, na przykład obera Skowronka… A przez ostatnich dwadzieścia lat przesiadywałem z panem Vanisztą, który pobierał nauki właśnie w hotelu Paryż, potem miał własną

szkołę i jeszcze gospodę na peryferiach… No i umiałem śpiewać, a do niego chadzali różni restauratorzy, oni mieli kółko śpiewacze Vlastimil i kiedy umarł jakiś restaurator, to myśmy na pogrzebie śpiewali… Którejś zimy tak żeśmy się urżnęli, że trzech z nas wpadło do grobu, między innymi pan Vaniszta, który ważył kwintal, więc rozwalił trumnę… To też należy do życia. Czyli moja żona, która potem przeszła do hotelu Palace, gdzie piekła kurczaki, i tamtejsi kelnerzy, których odwiedzałem… aha, ale mówię o tym tak tylko, dla porządku. Najważniejsze, że któregoś razu z Franciszkiem Vorliczkiem, który pochodzi stąd, z Velenki, pojechaliśmy do hotelu Niebieska Gwiazda w Sadskiej, do taty pani Novakovej. On był taki malutki, a wszystko miał na głowie i to było ponad jego siły, więc przychodziły mu pomagać dwie dziewczyny. Piliśmy tam na okrągło i jedli, sam już nie wiem co, a wpół do jedenastej przysiadł się do nas pan… już nie pamiętam, jak się nazywał, mniejsza o to, po prostu tata pani Novakovej. I ten malutki, sześćdziesięciopięcioletni kelner zdjął z nóg bandaże… oni wszyscy, tak samo jak rzeźnicy, mają nogi poharatane od chodzenia i stania… I zaczął opowiadać historię, od której się zaczyna *Angielski król*. O tym, jak kelnerował u Rozkosznych i jak sobie dorabiał na sprzedaży parówek, żeby mieć na panienkę z tego małego białego domku w Czasławiu… Chyba z półtorej godziny opowiadał, a kiedy wróciłem do domu, nagle ta opowieść dostała niesamowitej rotacji, zaczęła jakby wirować i przyciągać kawałki – i w tym cały wic – wszystkie kawałki, które znałem z opowieści mojej żony, pana Vaniszty, słynnych kelnerów i kucharzy z hotelu Palace i tak dalej. Było ich we mnie pełno, tylko bez scalającego wątku, ale gdy wpadły w rotację, to nagle zaczęły się zazębiać i nabierać sensu. W takiej sytuacji nie pozostało mi nic innego niż usiąść i pisać, najpierw o tym, o czym opowiadał gość w Niebieskiej Gwieździe, potem o reszcie. I cały czas nie mogłem nadążyć, ale ponieważ nikt nie przychodził z wizytą, więc pisałem non stop osiemnaście dni. A gdy skończyłem z opowieścią człowieka z Niebieskiej Gwiazdy, wtedy dzięki skojarzeniom wszystkie pozostałe kawałki tak się nanizały i miałem kłopot, żeby je szybko zapisać. No i w ostrym słońcu, bo akurat była ładna pogoda,

tłukłem sześć stron na godzinę, a że nikt mnie nie odwiedzał, więc skończyłem i gotowe. Z czego wynika, że prozaik musi mieć w zapasie dużo takich kawałków i historii. Dlatego też Karel Čapek mawiał, że dobrym prozaikiem można zostać dopiero w wieku bardziej dojrzałym, tak po trzydziestce, nawet później, kiedy się zgromadzi wystarczająco dużo materiału, żeby potem móc go łączyć z przeżyciami własnymi albo z tymi zasłyszanymi, o ile człowiek ma odpowiednią wrażliwość… To najważniejsza sprawa i pod tym względem piękna jest knajpa. Ktoś coś opowiada, a ten, co go słucha, płacze. Spotkali się, czyli opowieść spotkała słuchacza i przemówiła do niego, uznał ją za swoją. To coś wspaniałego, że zwykła opowieść, dla innych całkiem obojętna, potrafi na kogoś zadziałać tak, że szlocha i uznaje ją za własną. A gdy ja słyszę coś takiego, rozlega się we mnie dzwonek i zaraz widzę kontekst i podtekst, układam to w głowie, niech tam sobie siedzi. Na razie nie piszę niczego, dopiero później, kiedy te kawałki w moim umyśle zaczną wirować i dostaną wspólny mianownik, coś, co je złączy w jakąś sensowną całość… Nigdy nie robię tak, że najpierw postanawiam pisać o tym czy o tamtym, a potem piszę. Jest odwrotnie. Te kawałki same to na mnie wymuszą. Psycholodzy na pewno mają dla tego nazwę, gra skojarzeń czy jakoś tak, ale mnie się wydaje, że tu nie chodzi o żaden związek z psychoanalizą… To zupełnie normalna czynność, która w moim wypadku zawsze jest obliczona na ludzi. Tak samo ma człowiek po wypiciu czterech piw. Umysł zaczyna mu wirować, kawałki się łączą i wbrew własnej woli… I nagle robi głupią minę, jaki to jest genialny.

Podziwiam pana, bo ktoś, kto pamięta tamtą wizytę Hajle Sellasje, powiedział mi, że pana opis jest nadzwyczajnie autentyczny.

No proszę. A tam jest moja fantazja, z tym że nie aż tak wielka, bo przypomniałem sobie pobyt w Zurichu i włóczęgi po bulwarze, na którym niedaleko takiej miłej kawiarenki Lenin grywał w szachy z Tristanem Tzarą. No i idę ja sobie kiedyś koło domu handlowego nad jeziorem, a tam całą witrynę zajmowały niemieckie opisy różnych przyjęć i jeden mówił, jak w Abisynii przyrządzają wielbłąda, jak w niego pakują różne farsze…

I kiedy mi to było potrzebne, wszystko się wyświetliło… Czort znajet, jak się to dzieje, w każdym razie jest ciekawe.

Czy pisze pan dziennik, notuje sobie te historyjki?

Nie, na wypadek, gdyby chcieli ode mnie nową książkę, odrabiam coś w rodzaju zadań domowych… Na bezrybiu i rak ryba. Są tam albo przedmowy do wystaw, albo miniopowiadania na różne okazje… I jeszcze luźne notatki. Czasem napiszę… no, powiedzmy, maleńki esej, syntetyczny sąd o czymś, czego nie jestem za bardzo pewien i czego nie muszę udowadniać, ponieważ wszystko zwalę na wyobraźnię. Tak wygląda mój notatnik, ale prowadzenie dziennika u mnie nie wchodzi w rachubę, bo ja opowiadam w knajpie. Gdy byłem młodszy, opowiadałem te historie na okrągło, jak mój stryj. Jego kawałki też, uzupełniałem je tak długo, aż były, że tak powiem, wypucowane. Teraz sam je sobie opowiadam, przeważnie nad ranem. Nie możemy spać, zawijamy się w prześcieradło i dumamy, a te historie nas odwiedzają. Ale, ale! Niektóre sprawiają ból, tak że człowiek się ich boi i myśli: Teraz będzie historia z tym kotem. Przykładowo, rozumiecie państwo. Na razie to abstrakcja, ale czujemy, że zaraz się zacznie konkretyzować i wyświetli się jak film, a my, spoceni, zastanawiamy się, gdzie zawiniliśmy, kogośmy zawiedli, oszukali, czy nawet okradli. I kiedy nadchodzi, zawsze przypomina jakieś zdarzenie, wysyła sygnał… Mógłbym o tym dużo opowiadać, bo ja mam czas, tylko że państwo musicie iść do pracy. Tak czy inaczej, każdego człowieka spotyka coś takiego. Ale, ale! Wszystko, co teraz mówię, musi mieć jakiś wspólny mianownik, dlatego państwo tutaj jesteście, dlatego jesteście tak zwanymi wielbicielami… No, jak już powiedziałem, początkowo pisałem nieśmiało dla siebie, przekonany, że ta pisanina jest subiektywna i wyłącznie dla mnie, że to tylko takie moje gierki czy też wycinki rzeczywistości, jakby wyklejanki z rozciętego katalogu. A tu się okazuje, że ma wymiar ogólny, nawet teraz, kiedy tak sobie rozmawiamy. Ja się nie mogę niczym pochwalić, co najwyżej tym, że z państwem jest identycznie. Każdy z tu obecnych wie, co to znaczy zbudzić się przerażonym nad

ranem… Każdy jest ojcem… a kto się nad ranem najbardziej przejmuje losem dzieci? Ojciec. Zawija się w prześcieradło i tak dalej.

Skoro wspomniał pan o snach, one też mogą być piękne, na przykład sny o lataniu albo kolorowe. Jakich pan ma więcej, tych ładnych czy tych przygnębiających?

Tych złych, kiedy człowiek zawija się w prześcieradło. Jeśli chodzi o ładne – takie ma chyba każdy – dawniej lubiłem jeździć na łyżwach, więc wykonuję we śnie ogromniastego lutza, państwo wiecie, jak wygląda ten skok, tyle że ja wzbijam się wysoko, robię tego lutza na niebie i jest mi cudownie.

Mówił pan o obserwacji banału. Pan go znalazł i odkrył dla nas w starej Libni. A nowa Libeń, ta nasza najohydniejsza osiedlowa rzeczywistość? Też pan tam znajdzie banał i zechce o nim pisać?

Musiałbym mieć teraz dwadzieścia pięć lat, być utalentowany i skupiać na sobie uwagę, tak jak kotka przyciąga uwagę kocura… A pamiętacie państwo, jak chodzi kot? Niby środeczkiem, ale co rusz się o coś ociera, to o mur, to o co innego… na okrągło ma kontakt. Ja już kontaktu nie mam, niech o tym piszą te trzydziestoletnie skubańce, które zaraz zaczną o sobie mówić, że są pisarzami. O takim blokowisku też można wysmażyć piękną *story*, a ponieważ nie ma tu romantyki, więc być może dlatego praca z językiem okazuje się znacznie trudniejsza, niż było w moim wypadku, bo Libeń to w gruncie rzeczy kontynuacja Nymburka, ona była jakby małym miastem. Aktualnie też mieszkam w bloku, nazywam go hotelem, ale kiedy tam jestem, myślę o dawnej Libni, do której mam klucz. Człowiek zawsze powinien mówić o tym, do czego ma klucz. Któryś z tych osiedlowych smyków umyśli sobie kiedyś, że spisze, co widział, no i umiejscowi to pośród kontenerów, bloków i placyków zabaw, ale liryzm tam też musi być. Bo wiecie państwo, *Cierpienia młodego Wertera* są piękne, historia korneta Jełagina także jest cudowna, a z drugiej strony mamy *Bonny and Clyde*. Owszem, pod względem ładunku emocji te tematy należą do identycznej kategorii. Powtarzam: każdy powinien opowiadać o tym, o czym maksymalnie… po prostu liczy się przeżycie. Wszyscy jakoś sobie radzimy

ze skrajnymi sytuacjami, tymi abstrakcyjnymi, tyle że inaczej, ponieważ każdy jest zanurzony w innym sosie doznań, czyli we własnej historii. I ja z takich historii buduję prozę, moją prozę, a jak robią inni? Proszę ich spytać przy jakiejś okazji. Ale weźmy takiego Párala, inżyniera, który celowo zostaje w tym swoim Usti. Poznałem go jako bardzo miłego, młodego mężczyznę. Akurat przyniósł redaktor Zítkovej do wydawnictwa Mladá Fronta swoją pierwszą powieść, *Prywatna zawierucha*. Palił cygaro, nosił okulary, coś tam opowiadał. To cudowne, jak on jest wierny temu Usti. Każdy woli stamtąd wyjechać, a on nie, ci jego geniusze tam mieszkają i wyskakują tylko na weekendy, jak każdy normalny człowiek. No i Páral, który palił wtedy cygaro, nosił okulary i był nadzwyczajnie przystojnym facetem, bo wyglądał jak Harold Lloyd, zaproponował pani Zítkovej kolejnych siedem powieści i co roku… po prostu rok w rok dostarczał jedną, jak jakieś prace naukowe. Zawsze powtarzałem – no nie, to niemożliwe. Ale on był młodym, świadomym celu człowiekiem, który wiedział, czego chce, i potrafił to ubrać w kostium zdań oraz słów tak, że miało ręce i nogi. Każdy powinien opowiadać o tym, na czym się zna.

Panie Hrabal, a historia z prezydentem w Stranczicach? Kupił ją pan czy sama przyszła?

Kupiłem od pana Havla, który miał restaurację Złota Praga w Monachium. Myśmy tam byli na zaproszenie, paru poetów i prozaików, nawiązywaliśmy kontakty z tymi zachodnimi Niemcami, mieliśmy kilka prelekcji w Leopoldstheater. I chyba Franta Hrubín spotkał wtedy pana Milosza Havla, byłego właściciela Barrandova, który nas zaprosił do siebie na pieczeń wieprzową i pilznera. Tośmy poszli, a po obiedzie wywiązała się taka przyjacielska pogawędka i jakoś tak zeszło na prezydenta Masaryka. No i pan Havel powiedział mi, że rzeczywiście to ostatni dżentelmen, który nawet w późnym wieku, już grubo po siedemdziesiątce, był niesłychanie szarmancki dla pięknych dam. I gdy z Paryża przylatywała wytworna, że tak powiem, kurtyzana, wtedy właśnie pan Havel szykował dla niego apartament i kolację, zawsze dla trojga, chociaż było ich tylko dwoje. I że zawsze podziwiał galanterię oraz urok tego starszego jegomościa, co

zresztą potwierdza pani doktor Marinka z Muzeum Piśmiennictwa. Wspomniałem jej o tym kiedyś, na co ona, że Muzeum ma korespondencję siedemdziesięciosześcioletniego prezydenta z jakąś piękną damą, a z tej niesamowitej korespondencji widać, że jej autor wciąż był mężczyzną, nie starcem. Cudowna sprawa, prawda? Sam już nie wiem, dlaczego postanowiłem dawać tam coś, co jest raczej ozdobnikiem, bo każdy mężczyzna bardzo dobrze wie, czym się to kończy… pewnie chciałem zaznaczyć, że prezydent nigdy się nie ośmieszył i nie był starym playboyem.

Pan sporo czasu spędza w knajpie. Chciałem spytać, czy przeżył pan w niej kiedyś prawdziwą bójkę.

Jak się Cyganie brali za łby, to nieraz wyglądało, że są cztery trupy. Tymczasem kończyło się tak, że jeden miał urżnięty kawałeczek ręki, a reszta była ogólnie pokłuta. Ja obrywałem po pysku zawsze, kiedykolwiek chciałem się włączyć. Raz rwałem się do bitki U Vocilków, kiedy indziej U Szmelhauzów, dzisiaj to się nazywa Narcyz, i nim się połapałem, już mnie ktoś zamalował tak, że później pisuardessa musiała mi robić mokre okłady na nosie. Zawsze miałem słabe kości… Przy grze w piłkę nieraz złamałem sobie rękę, kiedyś nawet w dwóch miejscach, ale wtedy był ze mnie połamaniec. Ja z powodu tego Schopenhauera ciągle byłem jakiś rozmarzony… a teraz, dzięki fizycznej pracy, dzisiaj już tylko w ogródku, jestem pykniczny… I jeszcze dlatego, że lubiłem tą swoją dawną robotę… Jakie to cudowne, kiedy na przykład w hucie człowiek ładuje mangan albo rudę, a przy sobie ma dalszych dwóch takich głupoli jak ja, w powietrzu lata Hegel, a człowiek ładuje i gada… Wiecie państwo, to było po 1948, kiedy wszystko porobiło się na odwrót. Ci bogaci musieli tyrać w Kladnie, a biedni tam dawali podpisy i pieczątki. I decydowali, kto i dokąd pojedzie albo i nie. Ale co zrobić, w Europie ten społeczny proces trwa już chyba od kilkuset lat i nas też nie ominął.

Co pan powie o przyjaźni z Egonem Bondym?

W pewnym okresie tworzyliśmy zgraną paczkę, niemal jak brat z bratem, a nawet żeśmy odnowili coś w rodzaju… Bondy wymyślił, żeby

założyć wczesnofeudalną strukturę społeczną, odrodzenie Ottonów, tak jak kiedyś Otton I, Otton II, Otton III… I ja byłem cesarzem, a oni lennymi książętami, rozumiecie państwo, ja, Vladimír Boudník, malarz Medek i Egon Bondy żeśmy się podzielili tymi feudalnymi rolami… Tak więc jako najstarszy byłem ich cesarzem, ale oni i tak robili, co chcieli. Mieszkaliśmy wtedy w Libni. Jak Vladimír i ja wracaliśmy z pracy, Egon już tam siedział i oglądał buty. Bardzo lubił małe buciki. Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, na własny użytek przełożył Christiana Morgensterna, który z tym swoim zaskoczeniem, napięciem i absurdem był inspiracją dla jego poezji… I wyobraźcie sobie państwo, że dwudziestodwuletni surrealistyczny poeta Bondy robił nam wykłady o przezwyciężonym surrealizmie. A gdy pisałem *Jarmilkę*, to właśnie on ją uznał za przykład totalnego realizmu. Wtedy totalny realizm znaczył dużo więcej niż zapis automatyczny, który już był ciut *entartete*, czyli surrealizm dawno się skończył, chociaż u nas jeszcze się go uprawiało. Te dwa lata z Bondym. Pił jak smok, jednak dopiero przy dwunastym piwie mawiał: „Kurde mol, nareszcie główka pracuje”. I zawsze się martwił, żeby było co pić. Pożyczał dwa wiaderka, dwie miski, no i szliśmy do pana Vaniszty. Biedaczysko już miał zamknięte, ale co tam, Bondy kopniakiem przedziurawiał mu drzwi i darł się przez tą dziurę: „Wstawaj, kurwa, poety idą!…”. „O Jezu, chłopy durne, coście mi zrobili, zapłacicie mi za to…” „Zapłacimy, ale poety muszą się napić! Lej!” Pepin też z nami bywał, Egon ubóstwiał stryja. Zadawał mu pytania i potem mówił: „Ledwie o coś zahaczę, a pański stryjek zaraz sypie jak z rękawa…”. To były czasy… Ja i Vladimír Boudník mieliśmy kompleks uczestnictwa. My, żeby się tylko nie spóźnić do roboty, tośmy do Kladna nawet na rowerach jeździli, podczas gdy Bondy mawiał: „Najważniejsze jest nicnierobienie, bo jak tylko zaczniesz coś robić, jesteś zgubiony”. No, ale jego tata był pułkownikiem, a jakie mieli mieszkanko… Tak czy owak na jedzenie mu starczało albo coś mu dali koledzy. Zresztą w tamtych czasach było sporo takich jakby mecenasów, którzy stawiali piwo, a w najgorszym razie coś się sprzedało. Jezu, przypomniałem sobie, jak kiedyś poszliśmy do Bułgarów na otwarcie wystawy przyjaźni. Zrobiliśmy

sztuczny tłok, Bondy zgrabnie zwędził butelkę koniaku i zaraz polecieliśmy pod most. Otwieramy, a on powiada: „Jasny gwint, żeby bracia socjaliści robili takie kanty, katastrofa”. Ta flaszka była atrapą, bo nalali tam herbaty. Ale ileśmy się wtedy strachu najedli… Bondy już wtedy mówił: „Boję się, że to jest zapowiedź mojego losu, że tak będzie wyglądało całe moje życie”. Jakiś czas później rozstaliśmy się, wszystko, cośmy sobie mieli do powiedzenia, zostało powiedziane i każdy był gdzie indziej… Teraz tylko się widujemy… On lubi sobie popływać, a wygląda jak dzidziuś, naprawdę, żadnych zmarszczek. Chętnie chodzi na kąpielisko, gdzie ma wykupiony abonament na kabinę. Nosi śliczną czapkę, taką czerwoną z daszkiem, jak kibic Slavii. Przechadza się w niej, głaszcze brodę i coś czyta. Pięknie sobie spaceruje, zamyślony, ale bez przerwy uważa, żeby w coś nie wdepnąć. Czasem towarzyszy mu żona. Teraz ma młodego studenta filozofii, który spisuje jego życie i chronologicznie układa wszystko, co napisał, a nawet mu odszukuje wycinki i korespondencję, czyli jest dla Bondego takim Eckermannem, jakiego miał Goethe. Bierze chyba czterysta pięćdziesiąt koron renty, mieszka w klitce i jak chce pisać, musi iść do ubikacji i położyć sobie na kolana stolnicę. Pod Usti ma znajomego proboszcza, który zajmuje tak wielką plebanię, że można tam jeździć na rowerze. Więc przydziela mu pokoik i troszczy się o niego. No i Egon Bondy, kiedy czuje się brzemienny, jedzie do niego, żeby odbyć poród. O, przypomniała mi się świetna historia. Byłem raz w Niemczech wschodnich. Ja po niemiecku mówię całkiem nieźle, chociaż czasem śmiesznie, przykładowo mylę sobie *der*, *die*, *das*, uznałem jednak, że tłumacz nie jest mi potrzebny. Użyłem tam jednego zwrotu… Spytali mnie, czy wierzę w czystość rasową, a ja na to, że za Hitlera musiałem zbadać swoje pochodzenie, znaczy rasę. Ustaliliśmy, że Kilian – moja matka nazywa się Kilianová – był francuskim żołnierzem rannym w bitwie pod Slavkovem, który doczołgał się gdzieś aż pod Bosonohy… Potem dwie wiejskie dziewuchy zabrały tego młodego żołnierza do siebie i pielęgnowały go tak troskliwie, że jedna z nich zaszła w ciążę i on tam został. No i przed liczną publiką powiedziałem po niemiecku, że ona była *daraus trächtig*, przekonany, że tak jest dobrze, bo

przecież Hegel kilka razy o sobie mówi *Ich bin trächtig*. Co znaczy cielny… czyli że moja prababcia była cielna. I wtedy ludzie w tej ogromnej sali parsknęli śmiechem, a kiedy zdziwiony spytałem, o co chodzi, wyjaśnili, że to było świetne, bo czegoś takiego nie powiedziałby żaden Niemiec, nawet gdyby go kroili… Ja na to: „Przecież tak o sobie mówił Hegel”. A oni: „Hegel to Hegel”. Po prostu ubrdałem sobie, że *ich bin trächtig* znaczy, że jest brzemienny. I tłumacz w dużym artykule w „Sonntagu” zastąpił ten mój zwrot innym, *Ich bin ein schwangerer Vater*, bo skoro określiłem siebie, że jestem cielny, a tam tak mówić nie wypada, to zrobił ze mnie brzemiennego ojca.

Ale wróćmy do Bondego, ponieważ jakby się od niego oddaliłem. No, on żyje. Wydaje mi się, że w tym roku skończy sześćdziesiątkę, tak, rocznik dwudziesty czwarty. Naprawdę nazywa się Zbyněk Fišer. Po czterdziestym ósmym roku napisał tom wierszy i jeden z nich kończył się słowami: „I nadejdzie teraz czas wielkiego zmierzchu dla naszego sposobu wyrażania, odłożymy wszystkie pióra, wszystkie ołówki, zamkniemy nasze maszyny do pisania i nastanie okres długiego milczenia”. Tak, Egon Bondy trafnie przewidział ducha lat pięćdziesiątych.

Spotkałem go kiedyś i zapytałem: „Co pan porabia?”. „Uczę się sanskrytu, chodzę na wykłady”. I dodał, że miał wykładać filozofię hinduską ze szczególnym uwzględnieniem buddyzmu, co się nazywa zen, ale kiedy kadrowiec go prześwietlił, powiedzieli mu, żeby sobie dał spokój, po prostu go nie przyjęli. A on był dobrze przygotowany, bo trzeba pamiętać, że Bondy, zresztą tak samo jak Krejcarová, Jelínek czy Medek, wszyscy byli słuchaczami ostatniego seminarium Teigego, z surrealizmu… I ci młodzi chodzili na seminarium pana Teigego, a on ich wtajemniczał we wszystkie filozoficzne kategorie i zaznajamiał z nazwiskami reprezentantów surrealizmu. Czyli Bondy był wykształcony, a ponadto pociągała go wielka przygoda, na przykład dwa razy… No, o tym ma wiersz… „Wiadomość o straceniu Závišy Kalandry zastała mnie w wiedeńskim kryminale”, tak się zaczyna jeden jego tekst. Serio, on się zajmował przemytem porcelany, z tego żył. Wtedy było to jeszcze możliwe.

Wiedział, gdzie się da przejść granicę, więc kupował u nas… tylko że wpadł w Wiedniu i siedział tam w kryminale. Powiedziałbym, że jest postacią raczej nieromantyczną, ale po przejściach, i to widać w jego pisaniu.

Interesuje mnie książka Kluby poezji, *która jest czymś w rodzaju kolażu, czy też montażu. Może pan o niej coś powiedzieć?*

Pani Zítková chciała, żebym napisał coś dla jej wydawnictwa. Miałem dwa niepublikowane teksty, których w pierwotnej wersji nikt nie mógłby wydać, *Czuły barbarzyńca* i *Zbyt głośna samotność*. I wtedy zauważyłem, że one jakoś współgrają ze sobą. Jestem tam ja, Hantia – to też jest połączenie dwóch postaci, prawdziwego Hanti i mnie, czyli taka kombinacja, jak Józefa K. i Józefa Szwejka – wziąłem więc nożyczki, porozcinałem to i poskładałem w coś, co jest specyficznym literackim montażem, plastyk by powiedział kolażem. Ale ci na górze i tak kręcili nosem, nie podobał im się ani Jezus Chrystus, ani Lao-cy. Wtedy powiedziałem: „Ja już sobie narobiłem tyle wstydu, wycinajcie, co chcecie”. W końcu to wyszło i myślę, że jak ktoś nie zna sprawy, dziwi się tak samo jak ten zorientowany, który pyta: „No nie, czemu tam nie ma tego czy tamtego?”. Tak powstała ta książka, dla mojej redaktorki, która mi wydała *Bawidułki*… Właściwie inne książki też wyszły w Mladej Froncie, *Sprzedam dom, w którym już nie chcę mieszkać*, książka, której boję się do dzisiaj, wszystko wydała pani Zítková z Mladej Fronty, czyli to było z jej powodu… Ale wiecie państwo, nie da się napisać książki na zamówienie, postanowić: teraz napiszę książkę. Nic z tego. Ona już musi być napisana, a człowiek tylko ją spisuje… Jak już mówiłem, dopóki te kawałki nie zaczną wirować i się zazębiać, dopóki nie wpadną w rotację, a między nimi nie powstanie jakaś szczególna więź, dopóty nie należy pisać. Trzeba mieć wyczucie, siedzieć w tym po same uszy.

Chcę zapytać o Vladimíra Boudníka, przedstawionego w książce Czuły barbarzyńca. *Powie pan nam o nim coś jeszcze?*

Przede wszystkim był genialnym rysownikiem i myślicielem, ale co najistotniejsze, najwyraźniej trochę cierpiał na przypadłość, która nazywa

się paranoja, czy też raczej schizofrenia, był schizofrenikiem. To cierpienie dawało mu fantastyczny napęd. I jeśli ja mówię o sobie, że po szóstym piwie jestem genialny, on był genialny, kiedy się troszkę poddusił. I tak z nim było od szkoły. Przyjaciele mówią, że już wtedy to robił, ale zawsze tak, żeby zdążyli go odratować. Inaczej mówiąc, balansowanie na granicy życia i śmierci sprawiało mu maksymalną satysfakcję i tak się zachowywał zawsze i wszędzie. Bycie jego partnerką, tak jak żona Tekla czy inne dziewczyny, też oznaczało balansowanie na granicy życia i śmierci, bo zawsze chodziło o albo–albo, ponieważ był człowiekiem niezwykle konfliktowym. Ale on potrafił te konflikty wyładowywać i przenosić właśnie na swoją aktywną grafikę, dlatego doktor Nevole zabrał jego prace do Barcelony… W sześćdziesiątych i siedemdziesiątych latach pojawiła się taka teoria, że sztuka także leczy – co zresztą już mówił Nietzsche – a ponadto, że są ludzie, którzy gdyby nie pisali albo nie byli aktywnymi grafikami, prawdopodobnie popełniliby samobójstwo. Czyli aktywna grafika, zarówno w wypadku Vincenta van Gogha, jak i Boudníka, była kwestią życia i śmierci, no i on, żeby nie popełnić samobójstwa, żeby się nie powiesić, zawsze wpędzał sam siebie w skrajną sytuację i dlatego jego graficzne arkusze były tak nieskończenie piękne… Ale jest Czechem… Bo gdyby był Francuzem, stałby się sławny jak Jackson Pollock albo Mathieu. A on był dumny, że najpierw zdobył zawód tokarza, potem poszedł do szkoły artystycznej i pracował… w swoich najlepszych latach miał kompleks uczestnictwa… Tworzył przy pracy i po pracy, w soboty i niedziele, i cały czas żył jednym, a jeszcze wciągał do tego chłopaków z warsztatów i kiedy kibicowały mu grupy praktykantów, mówił pięknie i mądrze… tak jak są napisane książki Vondráčka, Boudník był jego wielkim miłośnikiem… Kiedy więc mówił o sobie, o swojej twórczości, brzmiało to jak naukowa rozprawa. Zawsze myślałem, że jak go nazywam tokarzem, mówię mu komplement, ale ten chłopak, ten robotnik, poprawiał mnie z dumą: „Narzędziowiec!”. Ja tam się na tym nie znam, wiem tylko, że to coś więcej, taka jakby ichnia arystokracja. On był z tego niezmiernie dumny, a jak popatrzeć na jego arkusze graficzne, widać w nich wszystko,

co się z tymi tokarkami wiązało. Jego prace sprawiają ból, a jednocześnie są subtelne, bo kaleczenie miedzianej płytki matrycy wyzwalało go. No i to, o czym mówiłem wcześniej, zrobił czterdzieści, pięćdziesiąt razy… aż kiedyś, tam na placu Konstancjańskim, jakoś mocniej zacisnął pętlę i klamka zapadła… Aha, teraz sobie przypomniałem. Powiesił się ze środy na czwartek, zaraz po swojej wystawie we Violi. Ale nie chciał tego, doktor Nevole, ten, który jak jakiś domokrążca obwoził jego prace po Barcelonie, on pierwszy tak twierdził… A skoro napomknąłem o naukowym podejściu, więc stwierdzono, że to nie było samobójstwo, lecz unicestwienie, bo on po prostu czekał, zresztą jak zawsze, że ktoś nadejdzie – czyli zależało mu na życiu, tylko chciał się delektować tą krańcową sytuacją i ponoć wiedział, że ktoś idzie… ale nie przyszedł nikt i dopiero nad ranem znaleźli go martwego, a jego rzeczy… Kiedy jechałem gdzieś z filmem, zawsze dawał mi na drogę plik graficznych arkuszy, żebym je rozdał podczas konferencji prasowej… on sam nigdy nie miał niczego, nawet tych sześćdziesięciu halerzy. Ile razy mnie prosił: „Doktorze, daj mi pan sześćdziesiąt halerzy na tramwaj…”. Taki arystokrata, a jednocześnie proletariusz. I był z tego dumny. A kiedy niósł sztandar na 1 maja – kawał chłopa, mierzył metr dziewięćdziesiąt – ech, ludzie, jak on maszerował… Do tego elegancik, wciąż nowe sweterki albo płaszczyki, a fryzurkę mogły mu robić tylko kobitki, czesał się w fale, no, po prostu przystojniak był z niego. Gdybyście się z nim państwo spotkali, na pewno by was obdarował graficznymi arkuszami, które teraz wiszą na Żelaznej i na Małym Rynku, a jest ich chyba dwa tysiące dwieście. On wszystko rozdał za darmo, ponieważ lubił zostawiać ślad, i w knajpach – bo żył w knajpach – mawiał: „No, co jest? Bierzcie, co się komu podoba!”. Do domu wracał dopiero po dziesiątej, szlak zaczynał się zawsze U Cziżków, stamtąd się szło do Rosyjskiego Folwarku, a następnie do pana Vaniszty… Ale potem przeniósł się na Żiżkov, przedtem mieszkał u mnie, w Libni. Najpierw każdy miał osobny pokój, później żeśmy to połączyli w jeden, no ale znów się rozstaliśmy, przeprowadził się, jak mawiał, do mamuśki. Trzeba powiedzieć, że Praga ma szczęście, że żyją w niej tacy cudowni ludzie jak

Egon Bondy czy dawniej Vladimír Boudník, ponieważ spotkać Boudníka to tak, jakby spotkać chrześcijańskiego świętego, mistrza kategorii nazywanej *docta ignorantia*. Zwyczajny facet, owszem, gruntownie wykształcony, wrażliwy i pełen pokory. Służył ludziom, ale jak tylko ktoś mu nadepnął na odcisk… Chociaż szczupły, silny był jak byk. Potrafił podnieść i cisnąć sztancę, co waży kwintal, a z tym już żartów nie ma. A jednocześnie był delikatny i wrażliwy jak dziecko… I tacy ludzie odeszli… Tamtego roku odeszli jeszcze inni. Zabił się Freumund. On mówił o śmierci. Poszedł kiedyś do kochanicy, ta go nie wysłuchała czy co, no i wpakował się swoją zieloną wołgą w stojący tramwaj, tam niedaleko cmentarza, koło Smichova… Umarł Balcar, jeden z najlepszych grafików, który nie wiedzieć czemu, na zakręcie… I to wszystko w jednym roku, w sześćdziesiątym ósmym…

Jak państwo widzą, czasami przypominam sobie różne szczegóły… Tkwię w tym po uszy.

Mógłbym kiedyś zrobić panu zdjęcie? Powiedział pan, że pisarz i fotograf muszą być zuchwali…

Ten drugi zuchwały do kwadratu. No dobra. Gdyby mnie nie było w domu, znaczy, że jestem w Kersku, albo żona panu powie, gdzie mnie złapać.

Jezu, kiedyś przyszedł do mnie fotograf i się uparł… to był maszynista z teatrzyku Semafor, ale po fotograficznych studiach… że musi mnie sfotografować tak, jak to dawniej robił Nadar, rozumiecie państwo, dwadzieścia minut czekania na ekspozycję. A był listopad i pierwszy śnieg. I ja, zamiast dać mu kopa w dupę, żeby wylądował aż na przystanku, siedziałem tam trzy dni, no i się zaziębiłem… Tylko że tego było mu mało, chciał, żebym się jeszcze rozebrał do podkoszulka. I ja znowu, bałwan jeden, zamiast kopnąć go w łeb, rozebrałem się do podkoszulka… Ależ katar mnie potem dopadł… Czego to człowiek nie zrobi dla sztuki.

Mam nadzieję, że pan mnie tak nie potraktuje. Proszę zadzwonić, jestem w książce telefonicznej jako Bohumil Hrabal, inżynier! Przyjdzie pan

i zrobimy te fotki. A teraz myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się rozeszli – jedni do autobusu, a reszta do swoich chałup.

(1984)

Przełożył Jan Stachowski

Dandys w drelichu

> Na wannie króla Cing-Cianga były wyryte te słowa: Każdego dnia odnawiaj się cały i czyń tak zawsze.

Vladimír potrafił zmienić siebie w kaleczony materiał, ale także w narzędzie, które kaleczy, potrafił się zmienić w pracujący silnik z iskrowym zapłonem, potrafił stać się nie tylko wodą padającą na koło turbiny, lecz jednocześnie tą turbiną, długo wystawał przed pracującą mieszarką, jego absolutna wrażliwość płynęła z trzewi obracającej się mieszarki, a on wylewał siebie w postaci płynnej zaprawy do podstawionego kalfasu, znaki drogowe przeżywał jak rzeczywistą sytuację na drodze, a jakikolwiek szkic do planu budowy natychmiast postrzegał jako gotową budowę, siłą swojej fantazji umiał zmusić każdą sadzonkę, by stała się kwiatem, a kwiat – owocem, każdą eksplozję przeżywał tak mocno, że aż omdlewał. Widok Vladimíra bawiącego się z dziećmi był świadectwem jego przemiany w to dziecko, z którym się bawił i rozmawiał, ponieważ tak jak i ono, również Vladimír każdy znaleziony kamyk, garść piasku, kilka pąków, wszystko potrafił ożywić siłą swojej fantazji, wszystkie znalezione przez Vladimíra przedmioty w jego ostrożnych palcach stawały się cennymi znaczkami pocztowymi, kosztownościami, materiałem wybuchowym i dlatego tę swoją fabrykę traktował jak galerię narodową, jak składnicę tych najcenniejszych bulli oraz dokumentów, skarbiec banku narodowego, ogród botaniczny i muzeum narodowe. A gdy szedł przez halę fabryki, to wraz z nim kroczyły dzieje wszystkich światowych nurtów sztuki, słyszał te najwspanialsze symfonie, szedł przez tę fabrykę niczym hippisowski anioł, hinduistyczny pielgrzym, paradował w tym swoim potarganym drelichu niby dandys Brummell w eleganckich, modnych ciuchach, każdy przedmiot walający się w kącie fabryki był dla

Vladimíra powieścią w odcinkach, idąc, ścierał kurz z belek i szaf jak złotnik, który podczas obróbki pierścionków i złotych broszek łapie złoty pył do fartucha; rozwarte drzwi do jego warsztatu zmieniały się w bramę raju, w którym Vladimír nigdy nie chciał niczego zmieniać, wszystko, co ujrzał w fabryce, w jego umyśle się skrzyło, zalane księżycowym blaskiem, magiczną poświatą, która powlekała rtęcią maszyny, narzędzia i w ogóle wszystko, co się znalazło w zasięgu jego wzroku.

Vladimír nie chciał więc ukazać lustrzanego obrazu swej fabryki ani własnego portretu oraz innych tam pracujących, ale dążył do tego, by samemu stać się tą fabryką, stać się pracą, przeniknąć do wykonywanych czynności, a jednocześnie przeżywać przy tym wszystko, co czują materiały i narzędzia, cierpienia jego duralowych i miedzianych matryc, kolory, jakimi się przyozdabia rozżarzony metal, gdy z motylej czerwieni schładza się w niebieski błękit, poznać strukturę barw zgorzelin i spawanych acetylenem płytek, żeby w końcu, niczym pościel przez maglownicę, przepuścić siebie razem z matrycą przez ręczną prasę, by jego trójwymiarowe ciało przekształciło się w dwuwymiarowy arkusz graficzny, by w jednowymiarowej linijce swego dziennika mógł zapisać… Jestem tym, który jest.

Myślę o jednym dniu w tamtym roku pięćdziesiątym drugim, gdy odwiedzili mnie stryj Pepin i Vladimír, kupiliśmy dwie duże torebki rogalików i poszliśmy z wizytą do pana Fiszera, z którym sezonowo pracowałem w hucie w Kladnie, a któremu tak się tam spodobało, że się w niej zatrudnił na stałe, no a w wolnym czasie wysiadywał U Karola IV, w knajpie prowadzonej przez pana Vica, dokąd ze swoją żoną chadzał na piwo. Vladimír był w dobrym nastroju, siedzieliśmy przy stole, a on opowiadał o tym swoim eksplozjonalizmie, stryj Pepin, łkając, trzymał Vladimíra za rękę i nawet nie próbował przełykać łez, bo Vladimír był dla Pepina niczym Mozart i Goethe, niczym symfonik Istvan, któremu zabrakło nut do kompozycji, więc z tego żalu zerwał żyrandol. Piliśmy jedno piwo za drugim, pogryzaliśmy rogaliki, pan kierownik Vic, obsypany białymi włosami, więc pewnie właśnie dlatego miał przezwisko Biały Żyd, podawał

kolejne piwa i przysłuchiwał się rozmowie oraz nieskrępowanej zabawie. A kiedy Vladimír zauważył, że kierownik, pan Fiszer i jego żona słuchają go, chyba wiedziony chęcią dania niezbitego dowodu, że jest artystą, wyjął z teczuszki szkicownik, a wtedy pozostałe stoły też ucichły, ludzie wstawali i zerkając nam przez ramiona, przyglądali się, jak Vladimír szybko rysuje portrety pana Fiszera i jego żony, a stryj Pepin krzyknął zachwycony, że gdyby Vladimír miał to szczęście i żył w czasach cesarza Franciszka Józefa, tak jak Strauss, wtedy cesarz zakolegowałby się z Vladimírem, a nawet by go zabrał do siebie do Schönbrunnu, wziął za rękę, wyprowadził na balkon i krzyknął na cały Wiedeń, który przyszedł złożyć hołd cesarzowi z okazji jego urodzin… Oto cesarz, nie ja, Vladimír jest cesarzem… Stryj płakał, nie wycierając łez, w tej chwili Vladimír w piwiarni U Karola IV był cesarzem, ponieważ narysował pana Fiszera i jego żonę tak dokładnie, że nawet mnie zatkało, myślałem bowiem wtedy, że Vladimír w ogóle nie potrafi narysować ludzkiej twarzy, patrząc na żywego modela, musiałem więc przyznać, że zrobił ołówkiem rysunki, które można by od razu włożyć w passe-partout, oprawić w ramki i powiesić na ścianie. Zachodzące słońce rozświetlało zakurzony lokal, myśmy wciąż pili te cudne piwa, dziesiąteczki ze Smichova, pan kierownik Vic zaszczycony, że tak nam smakuje, przyniósł cały koszyk rogali i chrupaliśmy je ze smakiem, a Vladimír narysował mój portret, potem także stryja Pepina, i krążyły te obrazki, a goście czuli się zaszczyceni, że widzą wspaniałego malarza, przede wszystkim jednak dlatego, że każdy z tych rysunków ołówkiem świetnie oddawał rysy twarzy, aż stryj Pepin krzyknął, że Vladimír musi wpaść do Nymburka i namalować mu obraz w siedmiu kolorach. Później zapalono światło, wszyscy nadal piliśmy smichovską dziesiąteczkę, Vladimír, czując pełne podziwu spojrzenia piwoszy, promieniał cały i chodził ze stryjem do ubikacji, gdzie rozpinał mu rozporek, ponieważ Pepin był tak rozgorączkowany, że mu się trzęsły ręce. A potem kierownik zabrał się do kasowania, jego córka płukała w zlewie kufle, po czym stawiała je do góry dnem na coraz to bardziej mokrej rozłożonej na blacie ścierce… Wtedy Vladimír znowu zaczął rysować pana Fiszera i jego żonę,

tym razem roześmianych od ucha do ucha, a gdy jeszcze narysował panią Fiszerovą, jak zezuje, stryj Pepin postanowił coś zaśpiewać na cześć tak cudnego wieczoru i najpierw zaintonował przeraźliwym głosem… „Na brzegu jeziora słowiczek kląska…” A potem odchrząknął i zaśpiewał arię… „Och, wy lipy, och, wy lipy, oooch, wy liiipy…” Tak przeraźliwie darł się Pepin… A kierownik i jego córka stali wylęknieni, ale gdy zobaczyli, że Vladimír pod wpływem tego pięknego głosu stryja Pepina wybuchł płaczem, trzymając się z nim za ręce, a potem, kiedy stryj skończył, obaj płacząc, wycałowali się z dubeltówki i zastygli w przyjaznym objęciu, kierownik poprosił pana Fiszera i weszli do komórki, stamtąd do mieszkania i chwilę później, kiedy córka pana kierownika ściągnęła roletę, pan Vic razem z panem Fiszerem znieśli z pierwszego piętra fisharmonię. Wtedy Vladimír, chyba ogarnięty jakimś ogromnym szczęściem, wstał i rozłożył ręce… A pan Vic, obsypany siwizną stary mężczyzna, zasiadł w tym parnym lecie przy fisharmonii i na cześć Vladimíra, artysty, który w jego lokalu udowodnił swoimi rysunkami, że zna się na rzeczy, zaczął grać kolędy i bożonarodzeniowe pieśni… Pan Fiszer położył Vladimírowi rękę na ramieniu i powiedział: „Biały Żyd musi pana bardzo lubić, bo nam, bywalcom, gra na fisharmonii tylko na Boże Narodzenie”. Stryj Pepin dodał: „Jakby to widział i słyszał tatko Strauss, napisałby operetkę, która by wstrząsnęła światem”. Pan Vic wstał, Vladimír podał mu naprędce zrobiony rysunek z panem Vicem grającym na fisharmonii, a ten obejrzał go ze znawstwem, po czym powiedział: „Panowie, byliście moimi gośćmi, ale czas iść spać, bo ja z rana czyszczę rurki…”. I skinął głową na pana Fiszera, który wstał, i niesiona ostrożnie przez cztery ręce fisharmonia znikła w komórce. Córka kierownika przyniosła z kuchni garnek z gorącą wodą, nasypała do niego sody i jednym mocnym chluśnięciem jeszcze raz opłukała wszystkie kufle. Stąpająca z garnka para kłębiła się nad jej mokrymi włosami i było cicho, patrzyliśmy wszyscy na nią jak na zjawę, kiedy układała jeden kufel obok drugiego do góry dnem na mokre ścierki, które tłumiły brzęk szkła. Vladimír chwiejnym krokiem podszedł i wgapił się w połyskujące kufle, potem czule dotknął ich palcami, jednym palcem

przejechał cynową krawędź szynkwasu, a kiedy spojrzał na córkę pana kierownika, która miała już swoje lata, ona podniosła wzrok i wpatrzyła się w niego, i stali tak oboje naprzeciw siebie niczym utrzymany w równowadze języczek u wagi, a potem Vladimír przyniósł ze swej teczuszki i dał do mokrej ręki córce kierownika ten swój manifest eksplozjonalistyczny i kilka graficznych arkuszy. Później pan Fiszer i jego żona wybrali sobie najlepsze, ich zdaniem, rysunki ze swymi podobiznami, a pozostałe Vladimír mnie sprezentował, opatrzywszy uprzednio datą i podpisem. Tak oto byłem świadkiem, że Vladimír zna się na rzeczy… I był już najwyższy czas, byśmy weszli w korytarz, tam, Na Grobli, gdzie wszyscy, zataczając się od ściany do ściany, od tej obtłuczonej i mokrej ściany, pobrudziliśmy sobie rękawy płaszczów, a stamtąd do mojego mieszkania, i gdy robiliśmy kawę, stryj Pepin, leżąc na plecach z rozrzuconymi nogami i rękami, pluł na sufit. Vladimír pochylił się nad nim, wziął jego dłoń i zbadał tętno. „Jak się czujecie, stryjku?”, zapytał. Uśmiechnięty Pepin oddychał głęboko, wciąż leżąc na plecach… „Znowuśmy odnieśli piękne zwycięstwo, prawda”, powiedział. „Jak się czujecie?”, ponowił pytanie zatroskany Vladimír. „Pośpieszne mi we łbie jeżdżą”, rzekł stryj, a ja niczym karty do wróżenia rozłożyłem na stole sześć pozostałych rysunków… Pepin nadal pluł na sufit, a zaniepokojony Vladimír badał mu tętno: „Może skoczę po doktora Adama?”. Ale stryj tylko machnął ręką: „A po kiego mnie on? Szkoda, że w knajpie nie było z nami cesarza Franciszka Józefa, bo ten dałby kierownikowi szlachecki tytuł i jeszcze by dorzucił order złotego orła…”.

Vladimír był artystą i człowiekiem, który każdego dnia sporządzał bilans własnej moralności. Jednego dnia potrafił wydać wszystkie pieniądze, żeby potem pożyczać sześćdziesiąt halerzy na tramwaj, ale tłumienie emocji i wypartych życzeń, o nie, tego nie znosił. Nie mógł sobie pozwolić na szlachetny luksus stłumionych porywów. Wszystko, co miał przeciwko społeczeństwu i przeciw samemu sobie, musiał całą swoją osobowością jak najprędzej wprawić w ruch, żeby się oczyścić, zagoić, żeby móc żyć dalej bez poczucia wstydu i hańby, którą ściągnęli na niego inni. Musiał się

natychmiast wyspowiadać, zweryfikować siebie samego, uruchomić automatyczny tekst. I pod tą ogromną presją moralnych dylematów wyrzynał w linoleum swoje pokojowe odezwy, pisał te niekończące się listy, w których się usprawiedliwiał albo maniakalnie atakował, w takich bowiem chwilach musiał opróżnić własną podświadomość, by stać się czysty. I właśnie ten proces oczyszczenia uszlachetniał go. A zatem Vladimír nie miał *treppengedanken*, ponieważ to, co chciał powiedzieć przed sądem, wygłaszał na schodach prowadzących z sali i potem w drodze do domu. Musiał wszystko powiedzieć teraz, zaraz, co nie zawsze mu się udawało, stąd te jego okrzyki, wrzaski i agresywne zachowania, bo on był zdolny podnieść płytę ważącą niemal kwintal i wymachiwać nią niczym maczugą. Tam, na piątym piętrze przy placu Konstancjańskim, Vladimír był w stanie złapać ciężki żeliwny piec, popędzić z nim do piwnicy, a potem z łatwością wnieść z powrotem na górę i ustawić na swoim miejscu. Dlatego podczas przerw w fabryce i w drodze do domu Vladimír potrzebował obecności tłumu praktykantów, dlatego potrzebna mu była knajpa i stół piwoszy, bo poprzez rozmowę się oczyszczał, doprowadzając własną moralność do punktu zero. Dlatego kiedy stawał przed matrycą, przed duralowymi i miedzianymi płytkami, podchodził do tej swojej prawdziwej pracy tak, jak ksiądz do porannej mszy po uprzednim poście. Należy sądzić, że wszystko, co Vladimír miał w sobie, wszystko to wyraził poprzez cykle ciapek: najpierw nacinał sobie skórę na stawie albo na opuszce palca i własną krwią odciskał na papierkach asocjatywną kalkomanię, a potem na pasywnych odbitkach dorysowywał ołówkiem odpowiednie kształty, czyniąc odbitki aktywnymi; bo te rysunki zawierały znaki jego przeznaczenia, tak jak los człowieka można wyczytać z fusów po czarnej kawie, z piasku czy też z linii życia na dłoni. I dlatego Vladimír stopniowo przeszedł do grafiki aktywnej. On, narzędziowiec, rytmicznie i z przejęciem kaleczył płytę matrycy tymi swoimi środkami wyrazu dopóty, dopóki nie wyrzucił z siebie resztek własnej podświadomości, nie zapominając jednocześnie o złotym podziale i o regułach estetyki. Dopiero w aktywnej grafice Vladimír poznał tajemnicę, jak zostać dzieckiem,

dzieckiem bawiącym się przed progiem domu, już nie zamkniętego, tylko z rozwartymi drzwiami, przez które można dostrzec istotę rzeczy, ludzkich zdarzeń i losów, chociaż nie znał słów Platona, że jedynie szczegółowe zgłębienie rzeczy może doprowadzić do odkrycia jej istoty. Kaleczone aktywnie matryce były piękną skórą na plecach kochanków, skórą kaleczoną pięcioma palcami zaciśniętymi na kobiecym ciele; na matrycach były odciśnięte wszystkie miłosne uniesienia Vladimíra, jednak te duralowe i miedziane płytki były też prześcieradłem, w które się wbijały i które rozrywały palce umierającego, bliskiego śmierci człowieka. Co więcej, dzięki dotykowym doznaniom Vladimír, który kochał i dogłębnie znał strukturę materiałów oraz metalowych narzędzi, prócz własnego losu potrafił uchwycić dramat rozgrywający się za pośrednictwem metalu i w nim samym. A poprzez strukturalne grafiki wniósł do dramatycznej przestrzeni jeszcze czas, wklejając opiłki, wióry, nitki, skręcone druciki, jakby teraz oddawał to, co zabrał matrycy w aktywnych grafikach. I tak powstały te urokliwe magnetyczne grafiki, na których stalowe opiłki, wirujące wokół dwóch środków i ognisk elipsy, stworzyły osad czasu, lekkość i ład owej pierwotnej przyrody, to, co Vladimír chciał osiągnąć w swych grafikach na duralowych i miedzianych płytkach… organon. Nie, nie kopiował przyrody, on starał się nią być: kłębami chmur, nalotami pleśni i plamami na starych murach, pęknięciami w wyschniętym korycie rzeki, spękanymi podczas długotrwałych letnich upałów polnymi drogami, gdzie dzieci wsuwają do szczelin liściki z najskrytszymi tajemnicami…

Vladimír wcale nie musiał mówić, do jakiej klasy należy w tym naszym społeczeństwie. W drodze z pracy jego pierwszą knajpą w Vysoczanach był Przystanek. Zresztą po rannej zmianie wpadali tam na piwo wszyscy jego przyjaciele z fabryki, ci robotnicy i praktykanci, no i tam właśnie Vladimír, wykąpany i uczesany, popijał tę swoją dziesiąteczkę, bo dla niego prócz dziesiątki nie istniało inne piwo, nazywał ją deszczówką. Troszkę tam popił, a potem w towarzystwie swoich przyjaciół szedł dalej, czasami zaglądał do Cziżków, ale najchętniej bywał w Kasztanie, gdzie, znów

otoczony wianuszkiem przyjaciół, opowiadał im o tym swoim eksplozjonalizmie. Właśnie tam wyjawiał sekrety własnych erotycznych i seksualnych fantazji, tam pił jedną dziesiątkę za drugą i chadzał do ciemnej ubikacji, gdzie sikał na cudne kształty, linie, rysunki, na siarkową żółć, który to kolor przybierała usmolona, nieustannie spryskiwana moczem ściana. Dla Vladimíra wszystkie ściany męskich ubikacji były niedoścignionymi artefaktami, pięknymi, kinetycznymi obrazami, ożywianymi przez leżące w rowku zapałki i mokre, zbrązowiałe pety, czasem też przez zwymiotowane jedzenie. Jako częsty gość tych knajp, Vladimír przyjął sztywną zasadę, że bez względu na to, co wcześniej zje, zawsze będzie wymiotował kartoflaną sałatką. Właśnie takie intymne miejsca i te najzwyczajniejsze piwiarnie oraz knajpy działały na Vladimíra, bo znajdował w nich inspirację dla swych aktywnych i strukturalnych grafik, dochodząc poprzez luźną rozmowę do zdań, na których budował własną estetykę. Tam również miał swoich słuchaczy, ponieważ właśnie tam był naprawdę piękny i odróżniał się od reszty, dzięki czemu potrafił osiągnąć wewnętrzny spokój, rozmawiając z już pijanymi i wkurzonymi, przyciągając uwagę tych, którzy się rozwodzili albo wyciągali sądowe pozwy, albo akurat wyszli z kryminału lub czekali na odsiadkę. Byli to jego najwdzięczniejsi słuchacze, wręcz przyjaciele, bo właśnie dla tych banitów Vladimír przynosił albo tworzył na miejscu graficzne arkusze i podpisane rozdawał. A ponieważ każdy z jego licznych przyjaciół miał wyobrażenie artysty wypaczone przez podręczniki, literaturę, telewizję i film, byli zdumieni, podejrzewając, że to, co robi Vladimír, nie może być sztuką, skoro rozdaje w knajpie te swoje graficzne arkusze, nic za to nie chce i jeszcze czuje się zaszczycony, że może kogoś obdarować… I tak samo jak w Przystanku, również u Cziżków i w Kasztanie knajpa dudniła od rozmów oraz krzyków, piwo rozlewało się po obrusach, których nikt nie zmieniał, bo i po co, tam zapałki lądowały na podłodze, zresztą też zachlapanej piwem, z wiecznie przepełnionych popielniczek wysypywały się pety, a z rozlanej na obrusach kawy można było wyczytać los tego, który ją rozchlapał, lub zbiorowy los klasy robotniczej, tej części robotników,

którzy lubili przesiadywać w knajpie, a do domów chodzili tylko po to, żeby się przespać. Vladimír był tu królem, tutaj stawiali mu nawet ludzie, którzy go w ogóle nie znali, a robili tak tylko dlatego, że czuli się zaszczyceni widokiem pięknego człowieka, bo kiedy Vladimír wstawał i szedł do ubikacji, to było tak, jakby w knajpie rozbłysnął kryształowy żyrandol. I nikt nie wierzył własnym oczom i uszom, kiedy wróciwszy do stołu, z pokorą i w niesłychanym skupieniu dalej opowiadał o problemach własnej twórczości oraz o swoich wielkich wzorach, o panu Mathieu i o Jacksonie Pollocku, więc bywalcy knajp słuchali tylko w milczeniu i patrzyli na Vladimíra, czy wszystko, co mówi, jest prawdą i czy to w ogóle może być prawda, a on swoim spojrzeniem upewniał się, że nie trudzi się daremnie, że w podejrzliwych duszach piwoszy na zawsze zostawił trwały ślad. Na pożegnanie wszyscy siedzący z nim przy stole podawali mu rękę, a Vladimír podawał też rękę bufetowemu, potem przez oszklone drzwi wychodził z Kasztanu i mijał restaurację Pod Lipą, ponieważ tam lali tylko pilznera, a on kochał jedynie tę swoją deszczówkę, znaczy dziesiątkę. Ale kiedy byliśmy razem, godził się przyjąć moje zaproszenie i z Kasztanu szliśmy do Lipy. Później szedł kawałek niżej, gdzie był jego bar Pod Rosyjskim Folwarkiem, i tam zjadał topielca, czyli marynowaną parówkę, albo rybkę w occie, i wypijał dwa kufle dziesiątki. W Folwarku zawsze panował mrok i było spokojnie, tutaj Cyganie oraz przypadkowi goście popijali kawkę i piwo, tyle że wyłącznie na stojaka, bo nie było krzeseł, za to w porównaniu z innymi ruchliwymi knajpami był tam spokój i była cisza. Przystanek miał salę, ale przed samą knajpą też można było pić piwo na stojaka i właśnie tam Vladimír chadzał zaraz po pracy. A z Rosyjskiego Folwarku wędrował do Libni, żeby w piwiarni U Hausmannów odwiedzić pana Vanisztę, swego wielbiciela, kierownika, bufetowego i kelnera w jednej osobie. Pan Vaniszta przyjaźnie witał Vladimírka, podawał rękę i trzymając go za ramię, wpatrywał mu się w oczy, jakby to były żarówki żyrandola. I zaraz mu przynosił dziesiąteczkę, i zaraz się do niego dosiadał, wypytując, co słychać i co akurat robi… Vladimír zawsze wynagradzał pana Vanisztę, bo najpierw

nieśmiało i cicho opowiadał, jakie to ma sęki, jednak po chwili zdobywał się na odwagę i włączał do swoich monologów przypadkowych gości siedzących przy jego stole. A pan Vaniszta, kiedy już się nacieszył i przekazał Vladimírka reszcie, wstawał ciężko, ale uśmiechnięty, jakby dzięki niemu pokrzepiony, i uroniwszy z oczu łzę, ogłaszał całej knajpie: „Od razu widać, że Vladimír to artycha!”. I szedł do kuchni, a później płukał swój kufelek w zlewie, do którego bez przerwy z cynowego kurka ciekła woda, nalewał sobie smichovskiej dziesiąteczki i wypijał duszkiem, bo przepadał za tym piwkiem. Ale czasami Vladimír omijał Vysoczany i od razu wpadał do pana Vaniszty. Stamtąd lubił chadzać Pod Starą Pocztę, gdzie było cicho, i gdy miał taką potrzebę, pisał tam te swoje kąśliwe listy, których słowa kłuły na prawo i lewo, a przy pisaniu tych strasznych zdań popijał ziołowe wino, ileś tam szklaneczek ziołowego wina, więc kiedy go suszyło, zamawiał małe piwo i znowu wracał do wina. I tak jak gdzie indziej tych kilka stołów ze stałymi bywalcami, bo do Starej Poczty chadzali wyłącznie stali bywalcy, także tam wszyscy milkli i Vladimír wiedział o tym, dlatego lubił tam wpadać, żeby pisać listy. Popijał gorzkie wino i mówił sobie, co ma napisać, a cisi goście przyglądali mu się, zgadując, co też ten piękny człowiek może pisać. A bufetowa i kelnerka w jednej osobie – wtedy od roznoszenia piwa, zimnych przekąsek i kiełbasek na ciepło była tam pewna Cyganka − od szynkwasu dyrygowała pisaniem Vladimíra, podchodziła na palcach, stawiała przed nim kolejną szklaneczkę wina i zerkała mu przez ramię, a Vladimír pisał tak długo, aż się wystrzelał, były to dziesiątki stron i wszystkim, którzy wchodzili albo już siedzieli w środku, wskazywał na siebie jako na autora kąśliwych listów z pogróżkami… A gdy szedł do ubikacji, dla niego cudnej, zostawiał na stole te swoje zapiski rozłożone niczym wachlarz, ponieważ dobrze wiedział, że pod jego nieobecność kelnerka, a może i któryś z gości, zdobędzie się na odwagę, żeby zajrzeć do tych artystycznych notatek, bo rękopis Vladimíra był podobny do jego graficznych arkuszy. Po powrocie siadał z westchnieniem, wiedząc, że teraz jest postrzegany w dodatkowym wymiarze, co więcej, że ci, którzy spojrzeli i poczytali te kartki, przerazili

się i woleli zaraz zapłacić i wyjść, żeby nie musieli być za świadków i mogli powiedzieć, że niczego nie pamiętają i niczego Pod Starą Pocztą nie widzieli ani nie słyszeli… A szczęśliwy Vladimír pisał dalej, pijąc kolejne szklaneczki gorzkawego wina… W końcu płacił, dawał napiwek i wstawał, chociaż nim zarzucało. Potem wkładał te swoje zapiski do dużej koperty, oblizywał część pokrytą klejem, zalepiał, pisał adres i odprowadzany pełnymi podziwu oraz strachu spojrzeniami kelnerki i gości Starej Poczty wychodził na zewnątrz, gdzie kawałek dalej była skrzynka pocztowa. Po wrzuceniu listu z podwójnymi znaczkami walił w nią pięścią niczym muzyk w kotły, a raban był taki, że tuż obok, za ścianą knajpy, kelnerka i goście drętwieli z przerażenia… Później ruszał dalej, do Palmovki, gdzie wypijał na stojaka dziesiątkę, przyglądając się taksówkom, tramwajom oraz gościom knajpy, jak ze smakiem pochłaniają te okropne dania. Stał tak sobie, oparty lekko o wysoki blat, w fetorze dolatującym z ubikacji, której drzwi były tuż przy wejściu do kuchni, gdzie pośród zapaszku rozlanych sosów i zup, wciskających się nawet pod brzeg linoleum, pracowały zroszone potem kucharki oraz podkuchenne. Vladimír zawsze bardzo współczuł tym kobietom, patrzył na nie bezustannie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, że znajdują jeszcze chwilę, by się roześmiać, by odgarnąć kosmyk włosów opadający spod grubej, białej, mokrej chustki i posłać mu piękne kobiece spojrzenie. A gdy w towarzystwie jakaś kobieta zaczęła się uskarżać na ból głowy, na migrenę, i że chyba będzie zmuszona iść do psychologa, wtedy Vladimír, chichocząc, przerywał ostro tę gadaninę i doradzał kobietom, żeby poszły myć naczynia czy najęły się jako podkuchenne w dowolnym lokalu, niechby nawet w jakimś lepszym, w Złotej Gęsi czy w Alcronie, a wtedy na pewno przejdzie im zarówno ból głowy, jak i potrzeba udziału w psychodramach czy poddawania się automatycznym testom psychiatry, bo wszystkie kobiety, które muszą się troszczyć o rodzinę i znosić okropne kaprysy swoich mężów, nigdy, nawet za starej Austrii, nie miały czasu na wizyty w psychiatrycznych klinikach… A z Palmovki Vladimír wracał do siebie, na Żižkov, gdzie też miał ulubione knajpy, ot, choćby Na Winklu na placu Konstancjańskim, gdzie kierownik

był zaszczycony, kiedy Vladimír pożyczał od niego stówkę. A jeśli, pomimo wypłaty, nie mógł oddać tej forsy, wtedy wpadał do Jiszów albo wystawał przy szynkwasie Pod Różanym Krzewem. Jednak nigdy z własnej woli nie chadzał do piwiarń z pilznerem, ani do winiarni. Gdy go namawiałem, zastanawiał się chwilę, ale w końcu szedł ze mną do Szumavy, do Pinkasów, Złotego Tygrysa, czasami do Sojków, Pilzneńskiego Folwarku albo do Furmańskiej, tam naprzeciwko Paliarki. A ponieważ pił pilznera tak jak tę swoją deszczówkę, tylko do trzeciego piwa był przygaszony i spięty, ale już w trakcie czwartego stawał się wyluzowany i znów zwracał na siebie uwagę, obrażając każdego intelektualistę dającego mu do zrozumienia, jaki to on wykształcony, i bez przerwy popisującego się cytatami ze słynnych pisarzy lub malarzy, bo Vladimír kochał banalne rzeczy i banalne historie, choć przypisywał im metafizyczny wymiar…

Naiwnie sądziłem, że artefakty, które mi pokazywał Vladimír… w swej naiwności myślałem, że jeśli wymienię iluś tam malarzy, którzy pracowali i wyrażali się tak, jak Vladimír, że te moje wariacje na temat Vladimíra podziałają na niego zachęcająco. I jak mi zademonstrował ciapki, natychmiast wspomniałem o plamach, na które Leonardo zwracał uwagę swoim uczniom, jak piękne są tam krzywizny stworzone przez naturę, krzywizny oraz kształty zdolne do wyobrażenia burzowych chmur i morskich bitew. Nie widziałem, jak Vladimír blednie na wieść, że już Vítězslav Nezval robił ciapki, takie jak jego kalkomania, w której dawał upust swemu spontanicznemu malarstwu bez pędzla, waląc czym popadnie, wszystkimi członkami w jeszcze wilgotny odcisk. A gdy pokazał mi swoją aktywną grafikę, nie omieszkałem go pocieszyć, że ma poprzedników, kto wie, może i rówieśników, że coś podobnego robił już Paul Klee, i nazwałem, a potem pokazałem w monografii niemal identyczne prace, w naiwnym przeświadczeniu, że Vladimír poczuje się zaszczycony, że stawiam go obok takiej znakomitości jak Paul Klee. I nie zauważyłem przy tym, jak postawił oczy w słup na znak, że zaraz padnie i że tylko siłą woli powstrzymuje się od tego, by nie strzelić mnie w pysk. A gdy

zaprezentował mi tę swoją strukturalną grafikę z aktywną, naniesioną przez spawarkę powłoką, gdy pozwolił mi obmacać wzrokiem tę swoją grafikę magnetyczną, w której przypadek jest wykluczony, ponieważ siły pola magnetycznego same tworzą dzieło, nie powstrzymałem się i wspomniałem o Fautrieux, ponownie o Paulu Klee i o Maksie Ernście, sądząc naiwnie, że ta informacja doda mu skrzydeł. Ale on siedział jak porażony gromem, nie był już zdolny ani mnie stłuc, ani powiedzieć, że kołtun ze mnie i drobnomieszczanin, że jestem człowiekiem nieumiejącym powiedzieć coś od siebie, bo zawsze muszę się podpierać cytatami i zdaniami, które ktoś już kiedyś wypowiedział. Siedział zrezygnowany, nie starając się nawet przejść z obrony do ataku. A ja, spoglądając teraz wstecz, widzę, że Vladimír wiedział wtedy o wszystkim, co mu mówiłem, tylko że on musiał o tym zapomnieć, ponieważ wszystko, czego zaznawał, pracując w swojej fabryce, należało wyłącznie do niego, bo żaden z tych wielkich współczesnych artystów grafików nie miał szczęścia być z zawodu tokarzem i każdy po artystycznej szkole skrył się w samotności pracowni, podczas gdy on przez cały swój złoty wiek całym ciałem i umysłem wsłuchiwał się w dźwięk okrawków i odpadów spod spadających nożyc, przeżywał to wszystko dotykiem, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób przenieść na matrycę strukturalne szpice drutów i prętów, które potrafią skaleczyć ludzką rękę, bo jedynie on, będąc artystą, który zapomniał o sztuce, miał możliwość przeżywania uderzeń wielgachnego mechanicznego młota w jeszcze gorący metal, z którego niczym od francuskiego ciasta odłupują się piękne zgorzeliny… Vladimír przeleciał spojrzeniem wszystkie te informacje i twórcze metody słynnych grafików, ale nie znalazł choćby jednego, który by się szczycił tym, że dzień w dzień przez dwadzieścia lat wstawał tak samo jak pozostali robotnicy o wpół do piątej, tak samo jak oni pracował na zmiany i odbijał kartę zegarową, tak samo jak robotnicy na jego wydziale i na podobnych wydziałach w całym świecie, przeżywał wszystko, co się dzieje z narzędziami do obróbki metalu, co się dzieje z materiałami, z których powstają uszlachetnione, pożyteczne elementy i cały ten drugi organon maszyn oraz urządzeń, krótko

mówiąc, wszystko, czego każdy absolwent uczelni artystycznej by się przeląkł, uważając w swej naiwności, że dopiero w pracowni, dopiero w samotności, w wertowaniu światowych monografii, dopiero tam odnajdzie własny styl. Vladimír wyczuł tę swoją szansę, przeznaczenie, że on, narzędziowiec, w którego palcach i w całym ciele oraz umyśle tkwi klucz, może stworzyć graficzne arkusze będące przesłaniem i hołdem złożonym materii, a ona, poddana obróbce, może zostawić w sobie i za sobą ślady, te zaś, podniesione do rangi dzieła sztuki, za jednym zamachem złączą w sobie nową estetykę z nową etyką, o czym marzyli wielcy reformatorzy ludzkości. Pod tym względem Vladimír był znakomitością i czempionem krytych kortów, ponieważ bezpośrednio, jednym skokiem lądował w samym sercu tworzenia, bo ze zwyczajnej pracy w fabryce potrafił uczynić kod, skrywający w sobie cielesność wszystkiego sakralnego, filozoficznego i poetyckiego. Tak oto Vladimír wniósł w dwudziesty wiek nowy, a jednocześnie tak stary mit Prometeusza, przenosząc do swych graficznych arkuszy istotę nie tylko ognia, lecz i pozostałych żywiołów, co jednak odbywało się kosztem codziennych upadków i wzlotów, ponieważ niemal każdego dnia był na dnie, choć zarazem patrzył w górę, i mimo że chodził z głową w chmurach, pozostał zwyczajnym robotnikiem oraz prawdziwym artystą, a do jego całej twórczości stosuje się nietzscheańskie: „*Die schenkende Tugend*”. „Cnota, która obdarowała sobą innych”…

Kiedyś pojechaliśmy na wycieczkę do Pikovic, do cioteczki Vladimírka. I wtedy osłupiałem, widząc, że właściwie ma tam drugi dom, co więcej, że u ciotki czuje się bardziej u siebie niż na placu Konstancjańskim. Ślady jego palców były wszędzie, także w ogródku, nawet na stole oraz na wbitych w ziemię ławkach. Ci dwoje rozumieli się doskonale, uśmiechnięta cioteczka wyrażała się o nim z szacunkiem, wiedziała, kto ją odwiedza i że Vladimír jest poetą, wiedziała o nim wszystko i była dumna, że jest jej siostrzeńcem, który zdobył się na odwagę i wszedł na cienki lód. Cioteczka dorastała wraz z secesją i biedermeierem, więc jej strój korespondował z obiciami fotelików, a że była koścista, wyglądała tak samo jak szafy,

komódki, łóżka, kanapki, zasłony i stoliczki pod kwiaty z mnóstwem pinakli; wszędzie tam były rozmaite cudeńka i bibeloty, a gdy mówiła, też cofała się o wiele lat, podobnie jak jej przeszklone gablotki, wypchane pamiątkami i gościńcami. Zdawało mi się, że jej ubranie jest uszyte z haftowanych serwetek, z koronek rozrzuconych na stole niczym racuszki. I byłem zdumiony, jak bardzo Vladimírek czuje się tutaj u siebie, i cokolwiek mówił, zawsze dotyczyło to sekretów z przeszłości, a cioteczka zgadzała się ze wszystkim, co powiedział, ponieważ była zaszczycona tym, że przyjechał do niej nie tyle siostrzeniec, ile artysta, który ją wprawdzie szokował swymi życiowym wpadkami, ale ona i tak je akceptowała… Poszliśmy nad Sazavę, która wezbrała tak bardzo, że jeszcze decymetr i nie dałoby się ani iść, ani jechać drogą wzdłuż rzeki; woda pędziła gniewnie, rozbryzgując się w miejscu, gdzie normalnie był chyba jaz, nurtem szybko płynęły kępki siana, belki, patyki, na spienionej powierzchni wszystko śmigało niczym zawodnicy jadący na rowerach albo motorach… Przypomniałem sobie wtedy, co jako chłopak razem z innymi robiłem nad Łabą podczas letnich powodzi. Przy kamiennym moście skakaliśmy w kąpielówkach do wody i pozwalali unosić mętnemu nurtowi, który rwał tak prędko, że chłopcy jadący po bulwarze rowerami za nic nie mogli nas dogonić; wezbrana rzeka gnała, a my, rozłożywszy ręce, poddawaliśmy się szybkiemu prądowi, dobrze wiedząc, że tam, za żelaznym mostem, rzeka zakręca i woda wyniesie nas na sam brzeg… I gdy tutaj, w Pikovicach, opowiedziałem Vladimírowi wspomnienie o moich złotych czasach, on uśmiechnął się i krzyknął: „Doktorze!”. Wzruszywszy ramionami, powiedziałem: „Skoro tak pan uważa…”. No i zaraz się rozebraliśmy, i jak w dawnych czasach ja pierwszy tyłem wpadłem do wody, a za mną Vladimír. I o to chodziło, znów był tu galopujący nurt wezbranej rzeki, znowu ten zapach i to piękne uczucie niebezpieczeństwa. Roześmiany Vladimír promieniał, krzycząc z radości, a ja całym ciałem rozkoszowałem się uderzeniami wody, przede wszystkim jednak tym cudnym szaleńczym pędem i wirami, najpierw wciągającymi, a potem puszczającymi ciało ze swych objęć. W pewnej chwili zląkłem się trochę i spojrzałem na

Vladimíra, ale on śmiał się z zachwytu, akurat był łagodny spadek, dotarliśmy do spiętrzenia przy schowanym pod powierzchnią jazie i najpierw masa wody wyniosła nas w górę, a potem nasze ciała, z głowami naprzód, poleciały w dół rzeki, tam gdzie prąd tworzył grzywy; każdy z nas musiał przemknąć przez te wzburzone fale, bo opieranie się wodzie byłoby równoznaczne z wciągnięciem na dno, stawianie oporu tej zmierzwionej czuprynie Sazavy oznaczałoby skręcenie sobie karku… Byłem pierwszy, zaraz za mną Vladimír, a ja znów czułem się jak tamten chłopiec, młodzik w wezbranej Łabie, czułem, że wystarczy poddać się nurtowi, jego naturalnej sile, i poczekać, aż za zakrętem wyniesie nas na brzeg… No i tak właśnie było, a potem szybko ręce w górę, żeby prąd nie zwalił z nóg, po chwili woda już po kolana i pośpieszne gramolenie się z tej cudnie wezbranej rzeki… Vladimír położył mi na ramieniu zimną dłoń i rzekł: „Zuchy z nas, doktorze…”. Było mi zimno, przymknąłem oczy, a potem ruszyliśmy w górę rozszalałej wody, delektując się widokiem, którędy to przed chwilą musieliśmy płynąć, a właściwie dać się unosić nurtowi… Do naszych ubrań był niemal kilometr… Później Vladimír, skacząc na bosej nodze i nie mogąc trafić drugą do nogawki spodni, powiedział: „Doktorze, miałem nieodparte wrażenie, że tutejsze pagórki pędzą wstecz, tak bardzo mi się wydawało, że ogromne kulisy z malunkami tutejszych wzgórz gnają do tyłu…”.

Vladimír miał bzika na punkcie nieosiągalności. Chciał zobaczyć siebie z innej perspektywy, wyjść z siebie i przyjrzeć się sobie tak, jakby był postronną osobą, zmieszać się z tłumem i pójść na spotkanie z sobą samym. Gdy miewał wystawy, zawsze dawał swoje grafiki do dyspozycji kierownikom miejscowych galerii, by sami się nimi zajęli, by sami napisali o nim, co uznają za stosowne, by sami otworzyli mu wystawę, a on, być może, zjawi się na wernisażu. Jednak dzień przed wernisażem Vladimír przyjeżdżał incognito do miasta, całą dobę wcześniej robił podchody do swojej wystawy, chodził ulicami i z bijącym sercem oglądał plakaty, krążył wokół domu, gdzie już wisiały jego graficzne przesłania, przesiadywał

w knajpach i piwiarniach, wypytując ludzi, czy wiedzą coś o tej wystawie Vladimíra Boudníka. I chociaż otwarcie było po południu, Vladimír spacerował już od rana, podchodząc coraz bliżej do centrum swego pozornego braku zainteresowania, do pomieszczenia, w którym wisiały jego graficzne arkusze. I już od południa miał wrażenie, a właściwie był mocno przekonany, że każdy przechodzień zbliżający się do tego domu, do drzwi z opartym o nie plakatem, że każdy z nich zaraz wejdzie do budynku, w którym miejscowa galeria organizuje wystawę graficznych prac Vladimíra Boudníka, otwarcie o piątej. Ale oni szli dalej i Vladimír, im bliżej była piąta, tym bardziej się zadręczał, a gdy ludzie już naprawdę wchodzili do tego domu, wtedy wciskał się między zwiedzających, po czym wyraźnie podniecony, słuchał, chodził i razem z uczestnikami wernisażu oglądał własne grafiki, jakby był kimś całkiem innym, jednym z przechodniów, którzy tam weszli. Bywało jednak, że został rozpoznany i przedstawiony uczestnikom wernisażu, a wtedy robił się bardzo nieśmiały, ale gdy mu zadano pytania, zdobywał się na odwagę, wychodził powoli z siebie i ze znawstwem opowiadał o sobie, jakby był osobą postronną. I kiedy już przedstawił ocenę własnych dzieł, opisując na koniec technikę pracy, gdy w finale wyjmował z ręcznej prasy mokry arkusz, był niezwykle szczęśliwy, uczestnicy wernisażu czuli się zaszczyceni widokiem pięknego człowieka, a wszystkim, którzy zostali dłużej, ofiarowywał grafikę, bo na każdą wystawę przynosił ich całą paczkę… Lecz prócz tego, że Vladimír chciał zobaczyć siebie z innej perspektywy, podobnie chciał widzieć swoje miłości, obie żony pragnął zobaczyć w chwili, gdy są święcie przekonane, że Vladimír jest zupełnie gdzie indziej niż one. Tej pierwszej nie odstępował niemal na krok. Była konduktorką tramwaju, po pracy czekał na nią, żeby późną nocą odprowadzić ją do domu, a że chciał być jeszcze bliżej Tekli, więc pewnego razu, kiedy już nie mógł bez niej żyć nawet w nocy, ożenił się z nią i zamieszkali razem, najpierw w piwnicy Jirki Szmejkala, potem u mamuśki, jednak Vladimír wciąż pragnął ujrzeć swoją żonę wtedy, gdy ona o tym nie wie. I któregoś dnia postanowił pojechać do Brna, do przyjaciół, ale wysiadł w Libni i delektował się myślą, że gdzieś

musi spotkać małżonkę, tyle że sam musi zostać niezauważony, czyli powinien się zachowywać jak detektyw. No i zobaczył Teklę, i śledził ją całe popołudnie, czekając cierpliwie, aż weszła do domu, a gdy godzinę później wyszła ze swoją przyjaciółką Miladą, patrzył na te dwa śliczne stworzenia, potem śledził je z ostatniego wagonu tramwaju, podczas gdy Tekla i Milada jechały w pierwszym, następnie szedł za nimi od libeńskiego mostu, gdzie panie wysiadły, obserwował je spod stacji benzynowej, jak pukały w roletę u Jirki Szmejkala, tam gdzie Vladimír poznał Teklę i mieszkał z nią parę tygodni po ślubie, ale Jirka nie otwierał, więc śledząc własną żonę i jej przyjaciółkę, Vladimír doszedł na ulicę Na Grobli, gdzie weszły pod numer 24… Na nieszczęście siedziałem w domu i gdy przyszły Tekla z Miladą, zaprosiłem je do środka i otworzyłem butelkę wina. Pogoda była piękna, miałem otwarte okno, słońce świeciło na ogromny mur, za którym był instytut, gdzie badali wytrzymałość i ciągliwość wałów, a kiedyśmy dopili butelkę i Tekla z wielkim rozbawieniem powiedziała, że Vladimír pojechał do Brna, czyli kota nie ma, więc myszki harcują, pobladłem, ponieważ miałem przeczucie, że on tam nie pojechał, i naraz za oknem mignęła mi jego postać, nagle w drzwiach stanął blady i siny Vladimír. Tekla nie to, że przestała się śmiać, śmiech zamarzł na jej twarzy i zapadła cisza, tylko spoza muru dobiegał łoskot gigantycznych, obracających się milimetr po milimetrze wałów, które starały się zerwać przymocowaną stalową linę… Vladimír patrzył na Teklę tak, jakby ją przyłapał *in flagranti*, oddychał ciężko, jakby ujrzał ją u mnie nieżywą, jakby przed chwilą zabił własną żonę. A Milada, dziewczyna o figurze i twarzy takiej, jakby wypadła z obrazu Renoira − bo była podobna do jego służącej Gabrieli, którą Renoir tak bardzo lubił malować − więc Milada spoważniała i zrozumiała to samo co ja, że zrobiliśmy coś okropnego, że wszyscy troje skrzywdziliśmy Vladimíra, oszukaliśmy go i zdradzili… I w tej ciszy rozległ się głuchy huk, lina się przerwała i na ziemię za murem spadło coś ciężkiego, nasz dom zadygotał, a z muru, na który prażyło słońce, dużego jak ekran letniego kina w wielkim mieście, odpadła resztka tynku i roztrzaskawszy się o pochyły daszek naszej szopy, sypała się na

nasze podwórko, przez które w tym momencie szedł Vladimír, za nim drobiła wystraszona Tekla, a Milada – ta śliczna Gabriela z obrazu Renoira – zapaliła papierosa…

Jednak kiedyś, szukając Tekli, Vladimír zrobił zupełnie odwrotnie. Gdy nie znalazł jej przez cały dzień, znękany wpadł na dziedziniec mojego punktu skupu przy Spalonej, zsiniały i z obłędem w oczach, a ja, widząc go, pomyślałem, że Tekla umarła albo że umarła jego mamuśka… Ale przerażony Vladimír powiedział, że Tekla żyje, tylko on nie wie, gdzie jest, i musi ją odnaleźć, bo inaczej zrobi coś strasznego… I wyglądał przy tym na takiego, co naprawdę może to zrobić, więc żeby go pocieszyć, objąłem go. Akurat na dziedziniec wjeżdżała tyłem ciężarówka, przypominało to ruch tłoka w cylindrze, ściany w bramie były poharatane od burt i klamer, zdarte aż do cegły, okryte głębokimi, grubymi krechami i bliznami. Konwojent pokazywał kciukami, że już w porządku, i szofer cofał na pamięć, kiedy nagle Vladimír mi się wyrwał i niemal poleciał, odpalił, ciało pędziło w stronę bramy, ale jego przeraźliwie blada twarz była zwrócona w stronę wagi, czyli w moją… Zdążyłem go jednak dopaść i przewrócić na kubły, a sekundkę potem ciężarówka z telepiącymi się burtami wjechała tyłem na dziedziniec. Upaprany popiołem Vladimír wstał i puścił się biegiem przez bramę, jego oddalająca się postać była coraz mniejsza, aż ostatecznie rozpłynęła się na oświetlonej ulicy, wśród sylwetek przechodniów mignęła tylko jeszcze jego czarna nogawka… Lecz nie znalazł już Tekli, ponieważ wyjechała do domu, zabrała ją mama, a Vladimír otrzymał wiadomość, że go porzuca i lada dzień złoży wniosek o rozwód… Vladimír, wieża trafiona gromem z jasnego nieba.

Rozświetlony pociąg, który runął w przepaść – myślę, że tak widział utratę Tekli. Była dla niego wszystkim… A chyba jego jedyny błąd polegał na tym, że jak zawsze chciał za dużo. Wraz z Teklą odeszła od Vladimíra jego muza i trwało parę lat, nim się pozbierał. Zaczął chodzić na ryby, z fabryką rozstał się już dawno, bo estetyk Chalupecký załatwił mu stypendium, mnie odwiedzał raz na kwartał, ubierał się bez tego swojego smaku, aż kiedyś wpadł i powiedział, że się zakochał, a ta jego ma na imię

Viera i jest młodziutka. Widziałem ją: rude włosy, pumeksowo biała cera, nosek cały w piegach, uśmiech świętego Jana Chrzciciela Leonarda. I Vladimír znów się przebudził, i znów jego miłość zaczęła nabierać lekko paranoidalnego tempa. Gdy wybierał się do swojej ukochanej do Krumlova, zawsze jechał dzień, dwa wcześniej, chodził po mieście, siadywał w knajpach blisko domu Viery i popijając piwo, dyskretnie wypytywał o nią, o jej rodzinę, znów w swej naiwności chciał się czegoś dowiedzieć o ukochanej, bo jak zawsze chciał wiedzieć wszystko. A przy tym cierpiał niezmiernie i ośmieszał się, bo Viera zawsze się dowiadywała, że Vladimír jest w Krumlovie, chodzi po knajpach i o nią wypytuje. No i pewnego razu Vladimír poprosił mnie jako świadka na ich ślub do Krumlova, ale nie dojechałem tam, bo tego samego dnia wjechały sojusznicze armie i zatłoczone czołgami drogi były nieprzejezdne. Tak więc Vladimír ożenił się beze mnie. Myślałem, że jest szczęśliwy i po czterdziestce już trochę zmądrzał, w grafice był już sam dla siebie klasykiem. W grudniu w Violi miała być wystawa Vladimíra, wpadł więc do mnie z pytaniem, czy przyjdę na wernisaż. A ja, melancholijny przez te braterskie armie, odpowiedziałem, że jak będę w humorze, to przyjdę. Jakiś czas potem znów do nas zajrzał, przekazując mi przez moją żonę, że jeśli mnie najdzie ochota, żebym we wtorek wieczorem przyszedł do Violi na tę jego wystawę. Ale ja nie miałem ochoty i we wtorkowy wieczór siedziałem w Złotym Tygrysie, ktoś podał mi Wieczorną Pragę i z przerażeniem przeczytałem, że godzinę wcześniej miałem otworzyć wystawę grafik Vladimíra Boudníka. I dopiero wtedy znów do mnie dotarła ta jego nieśmiałość, że pytając, czy wpadnę do Violi, w gruncie rzeczy miał na myśli to samo, co stało w Wieczornej Pradze. I od razu zobaczyłem, jak już od południa Vladimír kręci się koło Violi przekonany, że każdy wchodzący w bramę wybiera się na jego wystawę, którą otworzy pan doktor Hrabal, a im bliżej do otwarcia, tym większy ogarnia go strach, bo wie, że nie powiedział mi wprost, żebym otworzył wystawę, przekonany, że sam na to wpadnę, a z kolei ja wiedziałem, że tego chce, ale zapraszał mnie tam tylko jako widza, więc odpowiedziałem dobra, o ile będę w humorze, no a Vladimír się z tym zgodził, ponieważ wierzył,

że nie zostawię go na lodzie. I to był pierwszy zawód, a on nie cierpiał, gdy zawodzili go ludzie, których lubił, czy też kochał, ale to i tak nie wszystko, ponieważ Vladimíra czekały jeszcze inne rzeczy. Jego żona Viera równolegle z wystawą męża miała spotkanie ze swoją dawną klasą, więc poszła z Violi do Patrona. I to był drugi cios między oczy Vladimíra, to, że siedział w Violi beze mnie i bez żony, podczas gdy ja spędzałem czas w objęciach melancholii, a ona w towarzystwie klasowego koleżeństwa. I tego było już dla Vladimíra za dużo, no więc pił, tęgo pił. Ale nie byłby sobą, gdyby nie poszedł do Patrona, żeby zobaczyć, co tam porabia Viera. I jak zwykle, najpierw nie wszedł do lokalu, tylko przechadzał się pod olbrzymią latarnią gazową i od czasu do czasu zaglądał do środka, słysząc śmiech swojej żony, rozmowy przyjaciół, beztroskie śmichy-chichy. A gdy wszedł, usłyszał, jak jeden z jej kolegów, rechocząc, zapytał Vierę, kiedy wreszcie zobaczą tego jej lubego… Wyszedł więc znowu, ale dodawszy sobie odwagi, wrócił, usiadł przy stole i ze zgrozą przyglądał się koleżeństwu Viery, wszyscy byli wstawieni i rozluźnieni, i chociaż Vladimír starał się, jak mógł, kpili z niego… „Viero, ten twój wujcio…”, „Viero, ten twój ojciec…” I zwracali się do Vladimíra „wujku” oraz „ojcze”… A wszystko, co mówił, kwitowali salwą śmiechu, Viera też… I w końcu się podniósł i stał tak przez chwilę, ale nikt mu nie powiedział, żeby znowu usiadł, co więcej, kiedy wychodził, nikt tego nie zauważył, nawet jego młoda żona… I kto zna Vladimíra, ten wie, że coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przytrafiło i że nie mógł ot tak, machnąć ręką na to, co stało się w tamten wtorek. Poszedł więc chwiejnie, nie z powodu alkoholu, tylko z upokorzenia, na plac Konstancjański, już wytrzeźwiały ze wstydu stąpał po schodach na ostatnie piętro, dokładnie wiedząc, jakie za ten cały wtorek przyszykuje żonie widowisko, żeby chociaż częściowo dać jej do zrozumienia, jak bardzo go dotknęła, ona i jej przyjaciele. Ale los wszystko pokićkał i kiedy Viera weszła na ostatnie piętro domu przy placu Konstancjańskim, znalazła męża na klęczkach pod klamką, uduszonego. Tak oto i ja mam swój udział w losie Vladimíra… Pamiętam tylko, że tamtego środowego ranka drzwi miałem jeszcze zamknięte na klucz i że na

widok jego kuzynki, która wbiegła na moje podwórko, zdążyłem upaść na dywan pod biurkiem, starając się nie umrzeć z przerażenia, bo od razu wiedziałem, a po minie kuzynki także widziałem, że Vladimír nie żyje…

Poprzez dotykowe doznania Vladimír uczynił z siebie skrawający nóż i materiał zamocowany do włączonej tokarki, a głębi ludzkich przeżyć przeciwstawił banalną pracę człowieka, nadając jej rangę wielkiego wydarzenia codzienności. Vladimír był człowiekiem pokornie, lecz jednocześnie bezlitośnie wsłuchującym się w wewnętrzne naprężenia metali, artystą, który w walce o ostateczny kształt wrzynał się w materiał milimetr po milimetrze i tak jak Jackson Pollock, rozchlapując farby, tworzył *action painting*, Vladimír tworzył swoją aktywną grafikę. A Jackson Pollock, gdy już osiągnął *energy made visible*, gdy już wypalił kilkadziesiąt kilometrów papierosów Pall Mall, gdy już wypił ileś tam cystern whisky i już nie wiedział, co ma z sobą począć, co robić dalej, popił sobie w barze Cedar 5 i wpakował się swoim fordem w mur, żeby przez samounicestwienie osiągnąć wreszcie ciszę i spokój…

Dzięki tym rygorystycznym procedurom Vladimír z narzędziowca stał się twórcą nowego stylu, każda odkrawana strużyna otwierała przed nim nową tajemnicę, rozświetlając jego umysł, to samo działo się przy uderzeniu młotkiem, pracy z pilnikiem czy po walnięciu wielgachnego pneumatycznego młota, on całym ciałem i duszą przeżywał ten piękny teatr, kiedy to poprzez twórczy proces pasywna materia zmienia się w przedmiot-artefakt, który ma sens i jest rezultatem ludzkiej pracy. Pracownią Vladimíra nigdy nie było atelier, tylko chłodna piwnica, pokoik u mamuśki, mansarda, w której jego niemal dwumetrowa postać czochrała czupryną sufit. Pod szafą ręczna prasa, warstwa papieru, w szafie dziesiątki zakurzonych graficznych arkuszy, bo wszystko, co stworzył, potrafił rozdać za jedno słowo zrozumienia. Tam Vladimír żył i tworzył, tam przynosił w głowie wszystko, co sobie w narzędziowni, knajpach i w drodze do domu obmyślił. Tam powstawały jego antywojenne manifesty, zapiski w dziennikach, manifesty eksplozjonalistyczne zawierające uzasadnienia

dla własnych odczuć, manifesty, w których skrótowo przedstawiał swoje dziesięcioro przykazań. Tam, w tej piwnicy, w mansardowym pokoiku, w kuchni u mamuśki, powstawały arkusze graficzne, które się stały obrazem nowej epoki i nowego typu artysty, ponieważ Vladimír udowodnił, że człowiek przywiązany do pracy może osiągnąć wolność, jeśli będąc pokornym, a jednocześnie dumnym, przy pracy i poprzez nią, przeżywa coś oszałamiająco kosmicznego, gdy dzięki doznaniom całego ciała i duszy w fabryce staje się demiurgiem, gdy pasek odkrawanej strużyny może się stać koncertem skrzypcowym, gdy resztki pozornie bezużytecznego materiału stają się szyfrem o ostatnich sprawach człowieka. Tak oto Vladimír swoimi graficznymi arkuszami umiał powiedzieć o sobie wszystko, jego strukturalne i graficzne artefakty są technicznymi, urokliwymi raportami o dramatycznym napięciu w obrabianych materiałach. Ilekroć podsuwał sobie pod oczy znaleziony wiór czy zwiędły pąk, zdzierał z drzewa korę, pod powiększającymi szkłami swych okularów czule zgarniał z warsztatu metalowe opiłki albo długo i do syta wpatrywał się w dekoracyjność pleśni na starych drzwiach, zawsze w tych nieistotnych detalach dostrzegał coś podniosłego, włączając je natychmiast jako element swych przyszłych duralowych i miedzianych matryc. Vladimír był człowiekiem, który dobrze wiedział, że on również jest tym błyskiem diamentowego oczka, zdając sobie przy tym sprawę z akceptowanej, a jednocześnie przerażającej go wewnętrznej potrzeby, by od czasu do czasu doprowadzić siebie do skrajnej rozpaczy, by niczym bóg zagłady, Sziwa, który odnawiał życie poprzez unicestwienie, żeby później, gdy już nie wiadomo, co z sobą począć, móc łatwiej zniszczyć własną osobowość i zacząć od nowa. I Vladimír, żeby zostać tym, kim pragnął, musiał przejść przez wszystkie czternaście fenomenów, o których pisze Moody, ponieważ on znał swój tunel otoczony przez krąg dudniących organów, wciągnięcie do wąskiego komina, wrażenia zawrotnej rotacji, wibracji i wpadania, bo Vladimír kompleks Łazarza przeżywał przy pracy, gdy chcąc osiągnąć pożądany kształt, musiał umierać wraz z materiałem. Sam na sobie doświadczył syndromu Łazarza, kiedy w skroniach cykała mu podwójna

maniakalna delta nerwu trójdzielnego, kiedy bretnale barometrycznego ciśnienia przelatywały mu od mózgu aż do ust, gdy niezrozumienie jego artystycznego dorobku sprawiało, że padał na plecy w ataku histerii, gdy depresja i euforia deformowały mu twarz grymasem płaczu i nieludzkiego krzyku. I będąc pod moralną presją dylematów, kiedy za cenę stłumionych impulsów oraz wypartych życzeń już nie umiał, choćby przez moment, zaznać twórczego spokoju i ciszy, by odpocząć, aby osiągnąć nieświadomość i spróbować spojrzeć na siebie, na świat, na swoją pracę pod innym kątem, inaczej, wtedy zaciskał sobie pętlę. W ten sposób robił na sobie niemal naukowe eksperymenty odnawiania życia poprzez unicestwienie, jego przyjaciele twierdzą, że ponad czterdzieści razy przeżył syndrom Łazarza i zawsze, do ostatniej chwili, potrafił patrzeć na siebie jak na kogoś postronnego, nasłuchując przy tym kroków, które czterdzieści razy przyniosły mu ratunek, by wskrzeszony, po jakimś czasie móc o swoim zejściu napisać kliniczny raport. Tak samo traktował własną twórczość, która była mszą z ofiarowaniem, zawsze dobrze wiedział, że kalecząc duralową lub miedzianą płytkę, musi jednocześnie poprzez dotykowe doznania umierać wraz z materiałem i spłynąć z nim, a zarazem z wyprzedzeniem widzieć finalny efekt. Dlatego ta aktywna twórcza praca była dla Vladimíra miłosnym aktem, kiedy kochankowie w trakcie orgazmu kaleczą paznokciami ukochaną skórę, dlatego pracował i zmagał się z ręczną prasą nagi, dlatego graficzne arkusze Vladimíra są erotycznie czułe i okrutne, właśnie dlatego różnią się wyraźnie od tych, które stworzył już wcześniej, ponieważ Vladimír urzeczywistnił to, co napisał André Breton… – „I tak odkryłem tajemnicę, jak kochać cię zawsze pierwszy raz”. Dlatego jego arkusze są zroszone zarówno krwią, jak i łzami, dlatego są niczym nowo narodzone i dawno umarłe, bo Vladimír zdołał połączyć Altamirę ze współczesnością, a syndrom Łazarza zmienić w radosną afirmację życia.

Myślę teraz o Vladimírze i o jego technice pracy, o tym, jak przystępował do pierwszej twórczej fazy, do czystej, niczym nieskażonej duralowej albo

miedzianej płyty. Była to dla niego zawsze podniosła chwila, kiedy kompletnie oczyszczony, sam w punkcie zero, zadawał matrycy pierwszy cios, robił pierwsze pociągnięcie suchą igłą, pierwszy ryt dłutem lub pilnikiem. Kto widział go przy pracy, ten może opowiadać o dużym spowolnieniu rytmu działań Vladimíra, czasami długo się zastanawiał i przymierzał, żeby potem szast-prast wykonać całą gamę uderzeń i pociągnięć, po czym znów wyhamowywał i spoglądając na powierzchnię płytki, dobierał wzrokiem materiały oraz narzędzia, które były pod ręką, bo mnóstwo matryc dla swych aktywnych grafik robił w warsztacie po godzinach, mając do dyspozycji wszystkie te ścinki, strużyny i odpady, podobnie jak narzędzia, którymi umiał się brawurowo posługiwać, ponieważ był tokarzem i narzędziowcem w jednej osobie. Nieruchomymi oczami patrzył na metalową płaszczyznę, na którą niczym sejsmograf, niczym igła kardiografu przenosił swoją aktualną sytuację, w jakiej nie był jeszcze nigdy, by potem przenieść na matrycę maksimum własnej twórczej, ogromnej potencji sprawczej, by umieścić w niej to najlepsze, co dojrzało w jego mózgu. Wsłuchiwał się przy tym, czy jego ręce są posłuszne, zdolne do spełnienia imperatywnych nakazów kogoś, kto widzi i wie. Vladimír chętnie mówił o humanistycznej abstrakcji i o kosmogonicznym charakterze swych metod pracy, które chciał uczynić widzialnymi, tak jak Jackson Pollock poprzez rozchlapywanie farb usiłował przedstawić *energy made visible*. Po dokończeniu każdej matrycy Vladimír był śmiertelnie zmordowany, lecz jednocześnie zachwycony. Chował ją do szafy, aby przez noc, przez parę dni czerpać siłę, by w chwili wyjęcia matrycy być dla siebie nie tylko pierwszym widzem, ale i krytykiem, który oceni, czy nowa matryca popchnęła go do przodu, czy odpowiada jego zamysłowi i wreszcie, czy również oddziałuje na niego lirycznie oraz estetycznie. W jednym ze zdobionych graficznie listów Vladimír pisze, że przystępując do pracy, często czuje się tak, jakby stał na odpuście przed stertą puszek i piłeczką miał zrzucić jedną z nich, ale najczęściej bywa tak, że spadają wszystkie, chociaż on nawet nie trafił w tę, którą sobie wybrał. Widok Vladimíra, oglądającego swoją nową matrycę, to było coś niesamowitego.

Wykręcał płytkę tak, żeby na jego twarz padł odblask, i po kolei oglądał każde wcięcie, każdą rysę i linię, w końcu podnosił wzrok, wzdychał i znów zamknąwszy oczy, kiwał potakująco głową, ale rzadko kiedy mówił do siebie z uznaniem… „Vladimírku, zdolniacha jesteś… Znasz się na rzeczy…” Matryce, gdzie się podziały te dziesiątki matryc, które same zdołałyby zapełnić całą ścianę galerii, gdzież są wszystkie te matryce? Pan Merhaut twierdzi, że Vladimír część sprezentował młodym grafikom z Bratysławy, a resztę rozdał… Przepadły, ale zostały po nich graficzne arkusze. To druga faza twórczości Vladimíra. Myliłby się każdy, kto by sądził, że Vladimír pracował z ręczną prasą mechanicznie, czy też wręcz prosił swego przyjaciela Hampla, żeby ten zrobił mu odbitki na gigantycznej prasie w Akademii. Vladimír bowiem do drukowania swoich graficznych arkuszy nie podchodził bynajmniej pasywnie, tylko niesamowicie sprężony, i był to cały rytuał. Gdy nadchodził ten czas, zapraszał na taki seans przyjaciół, kolegów i ciekawskich, którzy jeszcze nigdy nie widzieli, jak się drukuje taki arkusz. Pracował ze swoją ręczną prasą, tą nieśmiertelną prasą, którą zrobił sobie sam, w której było mnóstwo usterek i która klekotała tak, jakby się miała rozpaść. Ale Vladimír wiedział dlaczego. Przy tym przedziwnym urządzeniu pracował zwykle nagi albo w specjalnych kąpielówkach, zimą zaś tylko lekko ubrany. Zanim przygotował matryce i wilgotny papier, zanim dał filcową podkładkę, zazwyczaj palił lub tęgo popijał, a potem, gdy nadeszła jego chwila, napierał swoim olbrzymim, niemal dwumetrowym ciałem, mocnymi rękami i kolanami, i pod wpływem chwili albo wyobrażając sobie tego, komu chciał ofiarować przyszłą grafikę, powoli przepuszczał matrycę na drugą stronę prasy, przytrzymując przy tym to stosunkowo małe urządzenie, żeby się nie rozsypało, żeby się nie rozkraczyło. Jedynie w ten sposób mógł przenieść drżenie własnego ciała zarówno na matrycę, jak i na odbitkę. Każdy, kto widział taki seans, myślał sobie, że Vladimír przesadza, że próbuje swoją pracę dramatyzować, przedstawiać ją jako zapaśniczą walkę, grę mięśni… Jednak kto z perspektywy czasu ma okazję obejrzeć graficzne arkusze z jednej matrycy, ten ku swemu zaskoczeniu stwierdza, że każdy

z nich jest inny, ma piękne aberracje, odstępstwa, odchylenia, co znaczy, że w tworzeniu odbitek uczestniczyło nie tylko ciało Vladimíra, ale i duch, a jego prasa dzięki swemu rozedrganiu nasłuchiwała i była w stanie wykonać wszystko, co przebiegało przez ciało Vladimíra, zupełnie jakby jechał konno i kolanami, rękami oraz całym ciałem zmuszał konia, by ułatwić mu wzięcie przeszkody… Dlatego też Vladimír był tak nieszczęśliwy, kiedy nawet pan Jiří Kolář zdecydowanie go nakłaniał, żeby przeszedł na większy, a najlepiej na duży format. Teraz, z perspektywy czasu, można powiedzieć, że Vladimír wiedział, że ta ręczna prasa jest częścią jego ciała i duszy, że przez nią wyraża w pewnym sensie własne myśli, a ponieważ nie mógłby wziąć do ręki wielkoformatowej prasy, więc z zamiaru, żeby całemu przejść do graficznego arkusza, będą nici, dlatego wymyślił sobie gigantyczną ręczną prasę, przez którą przepuściłby całą swoją fabrykę, tworząc w ten sposób aktywny arkusz ciut większy od stadionu na Strahovie…

Teraz, gdy życie i dorobek Vladimíra Boudníka można postrzegać z góry, wzrokiem sfinksa, często myślę o Wielkich Arkanach tarota, opracowanych przez Rajmunda Lulla w księdze *Ars Magna*, która zainspirowała Hieronima Boscha do namalowania kilku obrazów na podstawie symboli w tarocie. Vladimír to w taroku karta numer jeden, Kuglarz. Według niej jest magikiem z czarodziejską różdżką w ręce, mężczyzną, który jeszcze się nie rozwinął, więc wszystkie jego zalety są na razie ukryte w podświadomości, to człowiek, który właśnie się zbudził i stopniowo uzmysłowił sobie swoją misję, który ujrzał, że w ogóle istnieje, po raz pierwszy zdał sobie sprawę z absolutnej egzystencji, z pierwszego przebłysku świadomości, który stał się iskrą, ta jednak jeszcze nie dotarła do swej substancji. Vladimír jako dziecię boże, jako numer jeden, który czarodziejską różdżką wyobraźni może otwierać wszystkie zamknięte drzwi podświadomości. Magik gotów ruszyć drogą poznawania siebie samego, by wyrazić podstawową naukę Hermesa Trismegistosa: Co jest na górze, jest także na dole, zarówno na górze, jak i na dole. Patrząc teraz na dorobek

i życie Vladimíra Boudníka, widzę, że musiał on być jeszcze inną kartą tarota, zastrzeżoną wyłącznie dla niego − Wisielcem. Na tej karcie Vladimír znów jest magikiem, tyle że powieszonym. Mimo to nawet się uśmiecha, pogodzony ze swym losem. Widzimy tam dwa drzewa Salomona, Jachin i Booz, każdy pień ma po sześć kikutów konarów, a przez ogołocone wierzchołki jest przerzucona deska, z której zwisa Vladimír w pozycji, do której doprowadziło go życie, i widzi wszystko odwrotnie niż inni. Powieszony trwa w nieustannym konflikcie ze światem zewnętrznym. Bo i rzeczywiście, osiągnąwszy tę fazę, ludzie przeżywają stan, kiedy mają wrażenie, że są powieszeni, zwisają niczym nietoperze. Teraz, gdy życie i dorobek Vladimíra Boudníka można postrzegać z góry, wzrokiem sfinksa, widzę, że Vladimír, który w tarocie występuje jako Kuglarz i Wisielec, nieuchronnie musiał też być numerem trzynaście, kartą z wizerunkiem kościotrupa, trzymającego kosę odwrotnie niż ludzie. Lecz ta karta wyraża nie śmierć, lecz życie. Kościotrup kosi ogniem ducha i wiarą duszy w Boga. A skoro duch się ucieleśnił, przybierając postać dziecięcia, musiał w nim zemrzeć, stać się śmiertelny. Owa karta jest jednocześnie końcem i początkiem. Te syndromy Łazarza i w końcu także prawdziwa śmierć dotknęły Vladimíra, a umierał on wielokrotnie, tak jak Dostojewski na padaczkę czy Gustaw Flaubert, który od dwudziestego trzeciego roku życia cierpiał na ataki epileptycznej histerii. Dlatego Vladimír uśmiercał się poprzez krańcowe sytuacje, w które wpędzał się sam, a pomagała mu w tym społeczność ludzka, dlatego przez wzburzone emocje usiłował się odnowić, odmłodzić, dotrzeć do zerowego punktu swej moralności, by później, już oczyszczony, ruszyć na poszukiwanie dalszej przygody, którą było jego życie oraz tworzenie, twórczość jako pełne odbicie istnienia. Tak więc celowo doprowadzał siebie na próg życia i śmierci, by dotarłszy do zwrotnego punktu kompleksu Łazarza, stać się bezosobowym, ale zawsze zmartwychwstawał z małą chorągiewką w palcach, jak Chrystus. Myślę teraz o ostatniej grafice Vladimíra. To zaledwie parę cienkich niczym włos kresek, już całkowicie wyblakłych i bezosobowych, kilka falujących pionowych linii, jakby pociągniętych ołówkiem numer cztery, później linia

pozioma, symbolizująca deskę, z której na dwunastej karcie tarota zwisa za kostkę Wisielec. Myślę też o dalekiej siostrze Vladimíra, pani Emmie Bovary, ślicznotce, która nie umiała się leczyć i zabliźniać ran poprzez sztukę, tak więc rozstrzygnęła wszystkie swoje nierozwiązywalne moralne dylematy, trując się arszenikiem. Gustaw Flaubert, gdy kończył smutną historię swojej Emmy, zwymiotował obiad, a pisząc ostatnie zdanie, stale miał w ustach smak i zapach arszeniku. Takie było jej przeznaczenie, powiedział mąż Emmy Bovary. Życie i śmierć Vladimíra Boudníka były również wyłącznie przeznaczeniem dandysa z Żiżkova, który zawsze podnosił sobie poprzeczkę tak, by pokusić się o zakazane, który wpędzał sam siebie w skrajne sytuacje, by w ten sposób nabrać sił i móc robić to, czego nie chciał. Jakże często odwiedza mnie jego niemal dwumetrowa postać, ozdobiona złotymi kędziorami i gorejącymi oczami, zawsze jednak z chorągiewką w ręce, jak Chrystus. A ja już się nie lękam tej wieży, rażonej gromem z jasnego nieba, i przytakuję wszystkiemu, co było jego przeznaczeniem i sekretem, ponieważ Vladimír był domem pokrzepianym przez błyskawicę, tak, panie Hrabal, domem pokrzepianym przez błyskawicę…

lipiec–sierpień 1984

Przełożył Jan Stachowski

Piękna rupieciarnia

Panie Hrabal, czy jest pan nacjonalistą?

Trudno powiedzieć. Kocham Połabie, Nymburk, praskie peryferie, kocham język, którym się tu mówi, kocham niekonwencjonalną czeską literaturę. Ale jak mógłbym być nacjonalistą, skoro pochodzę z Moraw, skoro mam wystające kości policzkowe, jak wszyscy moi krewni, te wystające kości policzkowe zawdzięczam pewnie najazdom Awarów i Tatarów, a może i Madziarów, kiedy spotykamy się na pogrzebach, witam się z dziesiątkami kobiet i mężczyzn, których imion nawet nie pamiętam, ale łączą nas te wystające kości policzkowe, zresztą okazało się, że po dziadku, który się nazywał Kilian, nasza rodzina w połowie wywodzi się z Francji; to był napoleoński żołnierz ranny w bitwie pod Austerlitz, który został tu i młode wieśniaczki spod Brna tak się o niego zatroszczyły, że jedną z nich wziął sobie za żonę, i dlatego w moich żyłach płynie nieco tej krwi. Trudno powiedzieć, czy mógłbym być nacjonalistą, skoro dorastałem jako chłopiec – przez rok jako gimnazjalista, a potem każdego roku przez dwa miesiące wakacji na Balbince – przy ulicy, gdzie połowa mieszkańców to byli Niemcy, robotnicy, którzy umieli mówić po czesku tak samo dobrze jak ja, pamiętam ich dzieci, Vilosza Kiezla, Rudolfa Nietzschego i Richarda Alkra, z którymi się przyjaźniłem, także jedna Bartlówna, to nasza dalsza rodzina ze strony babci, wyszła za Niemca z Brna, mieszkali gdzieś w Bratysławie. Więc jak mógłbym być zdeklarowanym nacjonalistą? Raz nawet spędziłem wakacje na wymianie w Cvikowie (Zwickau), mieszkałem u szwaczki, to było chyba w trzydziestym drugim roku, i wtedy jeszcze w tym niemieckim miasteczku Niemcy byli całkiem tacy sami jak ja, jak moja matka i ojciec. Tak więc moim nacjonalizmem była ta zgoda lat trzydziestych, zanim pojawił się Hitler, Konrad Henlein, gdy w Nymburku całe miasteczko żyło w zgodzie z kilkoma żydowskimi rodzinami i tym

chyba jedynym Niemcem, który pracował na poczcie i któremu sprzedaliśmy kozę, i ta koza mu zdechła, było tam nawet kilku Węgrów, jedna Rosjanka, która przyjaźniła się z moją matką, a kiedy matka zapraszała ją do nas, to ta Rosjanka mawiała… „Pewnie, czemu nie?” I tak księżna z Czerbacka chodziła między prostych ludzi. Chadzaliśmy do ogrodu naprzeciw browaru, panami na włościach byli tam Bułgarzy, ci umieli hodować fantastyczne warzywa, podlewali je wodą z przygotowanych w tym celu beczek, które napełniali na noc, żeby woda ustała, a potem rozprowadzali ją drewnianymi łopatami po zagonach, przesiadywaliśmy u nich całymi godzinami, przyglądając się, jak pracują, a potem zapraszali nas do takiej chałupki z glinianym klepiskiem, pryczami i piecem i tam zdawało mi się, że jestem w raju. Gdy w czasie wakacji pieszo albo na rowerze wędrowałem po Słowacji, zawsze gdzieś tam na południu znajdowałem nocleg u Węgrów, jeden nawet prowadził mnie kiedyś parę kilometrów na kwaterę, Węgrów poznawałem zawsze z najlepszej strony, przez dziesięć lat nieraz odwiedzałem Budapeszt i inne miasta, Węgrzy zawsze byli dla mnie mili, podobnie jak i Polacy, pewnie sprawiał to ten mój sposób bycia na odwyrtkę, który w końcu uczynił mnie pisarzem, zawsze nastrajałem się na tego drugiego, zawsze przyjmowałem jego punkt widzenia, całkiem świadomie, utożsamiałem się z nim, miałem i wciąż jeszcze mam tę zdolność, by w mgnieniu oka stać się tym drugim. Więc jaki tam nacjonalizm? Zawsze lubiłem Żydów, kolegowałem się z chłopcem z klasy Karlem Szmolką, jego ojciec Hugo, matka i siostra mieli tak gęste włosy, że niemal zlewały im się z brwiami. Byli kompletnie niezaradni, biedni, prowadzili gospodę we wsi za Nymburkiem, należącą do naszego browaru, wszyscy jednak poszli do gazu. Lubiłem ulice na krańcach Nymburka, takie domki, małe wille oddzielone od siebie ogródkami, secesyjne fasady, chodniki z ozdobnej kostki z ozdobnymi, kulisto strzyżonymi drzewami, jaworami, głogami, rosnącymi regularnie w dwudziestometrowych odstępach, w letnie dni, na ogół koło południa, w lipcu i sierpniu, powietrze drżało i czułem się w Nymburku jak w Galicji, nie wiem, dlaczego galicyjskie żydowskie miasteczka, o których czytałem,

i place przypominały mi Drohobycz; kiedy podróżowałem po Węgrzech, przejeżdżałem przez takie właśnie miasteczka, o identycznej strukturze jak te na Śląsku i Morawach, dlatego nie tylko na Węgrzech, ale i w Polsce już jako student czułem się swojsko, teraz także mam poczucie ogromnej bliskości z Węgrami i Polakami, i Żydami, chociaż z zewnątrz wszystko już wygląda inaczej… Ale wystarczy przeczytać jedną trzecią nazwisk w książce telefonicznej, żeby spojrzeć na to w inny sposób…

Czy nie o tym właśnie opowiadają Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych*?*

Oczywiście, o tym starym austriackim świecie, o tej Europie Środkowej pierwszy opowiedział mi mój stryj Pepin, który był zagorzałym miłośnikiem starej Austrii, chociaż niczego mu nie dała. Ale podobnie jak ja, był zachwycony tym, czym monarchia nacieszyła jego oczy, bo chociaż był zwykłym żołnierzem, bez jednej gwiazdki, to przecież mam gdzieś jego *Feldpost*, w którym dzielił się z nami nowiną… „W dzień Bożego Ciała wkroczyliśmy z paradą do wyzwolonego Przemyśla”. Tak więc mój stryj zaszczepił mi poczucie przynależności do innych miasteczek i miast, nie tylko do Nymburka, Pragi i Brna, które znałem, codziennie wieczorem spacerowaliśmy ze stryjem po Wiedniu i Budapeszcie, po galicyjskich miasteczkach, byliśmy w Ziegenhals[1] na Śląsku, zajeżdżałem z transportem wojska do Jugosławii i na Istrię, ze stryjem wypiekaliśmy chleb w Nezdenicach u jego brata z południowych Moraw, a nade wszystko uwielbiałem dostojników kościelnych, marszałków, generałów, o których stryj potrafił opowiadać z takim entuzjazmem, że kiedy potem w końcu zacząłem jeździć po świecie, to we wszystkich metropoliach i miasteczkach Europy Środkowej, czyli dawnej Austrii, przekonywałem się, że mój stryj miał rację, chociaż nie miałem tyle szczęścia, żeby spotkać hrabiego Żeligowskiego albo arcybiskupa Kohna…

Nie jest pan chyba zatem wielkim nacjonalistą?

Chyba nie, a jeśli już, to tak, jak mnie tego uczył stryj Pepin, wystarczyło przy nim wspomnieć o Karlu Havliczku, a po paru minutach płakał tak, że opowieść o Julince, żonie Havliczka, całkiem więzła mu

w gardle, więc tylko szlochał i łkał. I ze mną też tak bywa. A historia Smetany? A perypetie czeladnika rzeźniczego Dvořaka? Stryj płakał nie tylko, kiedy słyszał którąś z ich kompozycji, ale na sam dźwięk ich nazwisk. Ja nie mogę oglądać czy słuchać czegokolwiek ze *Sprzedanej narzeczonej*. Mimo że się przed tym bronię, zaczynam wzdychać i w końcu płaczę… czemu? Ta historia Marzenki i Jenika, ta banalna *love story*, zabija mnie, tak jak stryja Pepina, podobnie historia Katii Kabanowej, naprawdę muszę uważać, żebym od tego nie umarł… To chyba jest ten nacjonalizm, to coś *a priori*. Tylko że ja zaczynam beczeć także wtedy, gdy słyszę i widzę *Królewnę Śnieżkę i siedmiu krasnoludków* Walta Disneya…

Czym w takim razie jest dla pana zagranica?

Zagranica to dla mnie Paryż, bo to on skonfrontował mnie ze sławnymi pisarzami i malarzami, zagranica to dla mnie Londyn, w którym napatrzyłem się do syta na płótna Turnera, zagranica to dla mnie Nowy Jork, gdzie przez dwa tygodnie upajałem się wielokilometrowymi spacerami od Pierwszej Alei aż tam, na samą górę, do Sto Pięćdziesiątej, a przede wszystkim Jacksonem Pollockiem, który mnie oczarował… A zwłaszcza to Odessa, po której chodziłem śladami Jaszy Heifetza i Izaaka Babla…

A w jakich miastach czuje się pan jak u siebie w domu?

W Wiedniu, Budapeszcie, Lwowie, Prziborze, Budziejowicach, Mikulovie, ale najbardziej czuję się w domu tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłem, a dokąd zaprowadził mnie Bruno Schulz w swych *Sklepach cynamonowych*. To dla mnie najpiękniejsze miasto na świecie, którego już nie ma, a więc chyba właśnie dlatego. Bruno Schulz, którego jakiś niemiecki żołnierz podczas drugiej wojny światowej zastrzelił na ulicy tylko dlatego, że był Żydem…

Gdzie chciałby pan dzisiaj mieszkać?

Jak powiedziałem, w Drohobyczu, od czasu, jak przeczytałem *Sklepy cynamonowe*, przeprowadziłem się tam i mieszkam tam do dziś, choć nigdy tam nie byłem, ale co z tego? Fikcja bywa doskonalsza i prawdziwsza niż rzeczywistość. Albo nie… kiedy przejeżdżam przez miasteczka i miasta,

zestawiam fragmenty widoków ulic i panoram, wybieram te domy, te ulice i te place, te strumyki i rzeki, które współgrają z tym, co przeżyłem jako chłopiec i student, jako dziecko, to jest kombinacja strzępów, z których tak jak dziecko, kiedy ustawia klocki, układam sobie swoje miasteczko, w którym naprawdę mój czas stanął w miejscu…

A Nymburk?

Już go skreśliłem, ten Nymburk, jaki jest teraz. Kiedy tam przyjeżdżam, mam wrażenie, jakby przed paroma dniami przejechała tamtędy walcząca armia i zostawiła za sobą zrujnowane place, ulice. Byłem tam wczoraj i dowiedziałem się, że ten mój sad księdza dziekana, te stare kwitnące drzewa, jabłonie i grusze, to wszystko, co wciąż rozkwita, w przyszłym roku zostanie wyrwane i powstanie tam park miejski. To boli. Wystarczyłyby alejki pod starymi koronami. A potem poszedłem do gospody U Gregorów i znów się wzdrygnąłem. Kręgielnia rozwalona, daszek nad podwórkiem gdzieś przepadł, stary kasztan ścięty. I to jeszcze bardziej boli. No więc cóż? Niech o tym Nymburku piszą młodzi, niech spróbują uchwycić istotę tego nowego Nymburka, ja już nie mam do niego klucza. Mnie wystarczy, że przejdę się wzdłuż starych murów, tych przy ulicy Jizdeckiej, do których z jednej strony przylepiły się malutkie domki, a z drugiej biegły w dół, w stronę Łabiczka, małe szopy i chlewiki, malutkie ogródki, pralnie, altanki, gdzie wzdłuż strumienia Małe Wały na wbitych w ziemię palach wznoszą się wiszące terasy, gdzie na maleńkiej powierzchni kwitną tulipany i są miniaturowe ogródki warzywne, gdzie tu i tam rosną krzewy i drzewka, wygląda to jak jakaś scena z Goldoniego, niewiarygodnie wzruszająca lilipucia scenka, na której człowiek wyglądałby jak olbrzym… całkiem jak na gotyckim malowidle.

Każde z tych podwórek i ogródków ma tyle wymiarów, jakby je namalował malarz naiwny albo narysował w stanie ogromnej koncentracji, w napięciu któryś grafik z Grupy 42, Hudeczek, Gross, Smetana… To jeszcze jest ten mój widzialny Nymburk, ten prawdziwy Nymburk jednakże jest już niewidzialny, istnieje tylko pod mymi zamkniętymi powiekami. Kiedy byłem tam ostatnim razem, zaszedłem na Kozin, tam gdzie

znajdowały się stajnie, które zostały po austriackich ułanach, odwiedzałem tam jako chłopiec swego szkolnego kolegę Lizala, który tak się spóźniał do szkoły, że skończył tylko pięć klas. Mieszkał tutaj w tych wielkich stajniach z resztą biedoty, podłoga była porysowana kredą i w ten sposób podzielona na cztery wyimaginowane izby, i rodziny, które tam żyły, respektowały te ściany, a najbardziej dzieci, właściwie to tutaj nauczyłem się z Lizalem, przynajmniej przez chwilę, żyć w wyimaginowanej przestrzeni, dzieci krzyczały na siebie i były złe, kiedy któreś z nich przekroczyło kredową linię i weszło tylko na chwilę do sąsiedniej izby bez pozwolenia. Tak naprawdę to istniało tylko dla dzieci, w tych dawnych stajniach… Dla dorosłych jednakże to było nieszczęście, udawali, że są od siebie oddzieleni ścianą, ale czasem im się to nie udawało, ponieważ gotowali tylko na jednej kuchni, więc kiedy napięcie osiągało szczyt, kobiety ciskały w mężczyzn garnkiem, a ci znów butem i wrzeszczeli na siebie, i ściany nie stanowiły żadnej przeszkody, garnki przelatywały do sąsiedniej izby, a tam znów były te rozgniewane dzieci i krzyczały na siebie przez wyimaginowane ściany, nieraz jednak udzielało się to całej izbie i wszyscy mieszkańcy dawnych austriackich stajni brali się za łby… Potem, po Lizalu, zamieszkał tu ze swoją liczną rodziną inny nasz przyjaciel, gołębiarz Czepiczka, mieszkali sami, więc nie potrzebowali już oddzielać się od sąsiadów linią z kredy. Stajnie już dawno zburzono, ale ja stoję przed skwerkiem i widzę tam Lizala i tych pięć rodzin, widzę Ladię Czepiczkę, wiernego przyjaciela mojego brata, widzę nawet te dziwne okna dawnej stajni, z których nigdy nie było widać ulicy, umieszczone tak wysoko, że było z nich widać tylko drzewa i niebo… Zadziwiał mnie także budynek stojący na początku ulicy Jizdeckiej, także przylepiony do starych murów, gdzie mieszkała pani Steinerová, która skupowała złom żelazny, gałgany, stary papier i nie tylko na podwórku miała cmentarzysko wszelkich rzeczy z żelaza i mosiądzu, ale i w ogródku nad Łabiczkiem, które było tak przepełnione, że musiała ustawiać drabiny ponad Wałem, na pięć metrów wzwyż, i gdziekolwiek bym spojrzał, widziałem setki i tysiące zardzewiałych, połyskujących starym, zaśniedziałym mosiądzem przedmiotów, których nie mogłem

z niczym skojarzyć, nie potrafiłem odgadnąć, do czego też te rupiecie mogły kiedyś służyć. Kiedy coś wpadło mi w ręce, zaraz szedłem z tym do pani Steinerovej, tylko po to, żeby móc się porozglądać po tych jej podwórkach… I ich także już nie ma…

Czy to, o czym pan mówi, ma jakiś związek z pańskim pisarstwem?

Dawniej o tym nie wiedziałem, ale teraz wiem, w tym roku właśnie tutaj pierwszy raz uświadomiłem sobie, że te tysiące kilometrów, które wydeptałem w tym miasteczku, głównie przy tych domkach przylepionych do murów i po tych niezwykłych podwórkach i ogródkach, gdzie każdy metr miał ogromną wartość dla swego właściciela, że właśnie to jest istotą albo szyfrem, symbolem mojego pisarstwa, ja także wyrzucam z siebie wszystko byle jak, jedno za drugim, zdarzenia, postaci, historie i drobne obserwacje, teraz wiem, że przez te dwadzieścia pięć lat, podczas których codziennie chodziłem po Nymburku, że te domki i ogródki, walące się do Łabiczka tak, jakby zostały ustawione na spadzistym dachu wiejskiej chaty albo na pochyłości, jaką ma dziesięciometrowy odcinek trasy zjazdowej, że to pozwoliło mi wypracować mój styl i zmieścić na małej powierzchni maksimum informacji… Ten mój Nymburk naprawdę jest taki mały i skurczony jak dziecięce Betlejem, jak żydowskie getto…

Co jeszcze się panu przypomniało podczas ostatniej wizyty w Nymburku?

Jak przyszła Armia Czerwona, było już po północy, same czołgi i działa, kiedy przejeżdżały przez plac, ludzie wiwatowali, a jedna dziewczynka, gdy zobaczyła, że na lawetach śpią żołnierze z założonymi rękoma i skrzyżowanymi nogami, i uszankami naciągniętymi na oczy, wołała: „Spadną! Rozjadą ich!”. A u Nechvilów przy placu na pierwszym piętrze otworzyło się okno, czerwonoarmiejcy wystrzeliwali race i rakiety z pistoletów, jeden taki fajerwerk wleciał przez to otwarte okno, gromadka ludzi na placu śpiewała: „Bój to jest nasz ostatni…”, a tam w oknie zajęły się ostatnie firanki… To sobie przypomniałem, a potem szedłem wzdłuż starych Wałów, gdzie jest następny ciąg domków, także z tej strony miasta, i aż do Wielkich Wałów ogródki i terasy, podwórka i ogródki, i altanki, a po

drugiej stronie tych wodnych fortyfikacji płonęły świece kwitnących kasztanowców, szpaler drzew moczących gałęzie i kwiaty w leniwym nurcie Wału, do dziś stoi tam budynek dawnej korkowni, którejś nocy zapaliła się i spłonęła, ale dla nas to nieszczęście było piękne, ponieważ każdy korek z wnętrza składu, tysiące, miliony korków rozpryskiwały się, płonące szpunty utworzyły olbrzymi gejzer, który przez kilka godzin zasypywał całe miasto płonącymi korkami, jakby to było wielkie kwitnące drzewo o płonących kwiatach, tak wielkie drzewo, które przykryło całe miasto blaskiem i płonącymi szpuntami… wyglądało to jak olbrzymi obraz, który wykonał pointylista Seurat…

To wspaniałe. Zdaje się, że takie zdarzenia lgną do pana same?

Ależ skąd, to dlatego, że już długo żyję na świecie, dzień się kończy. Ale i ja byłem pod wrażeniem tego widoku… Opowiadano mi, że na strychu gimnazjum, tak jak następowały po sobie epoki, leżały tam portrety prezydenta Masaryka zaraz obok pięćdziesięciu krzyży z Chrystusem, które wieszano za Austrii, i był tam prezydent Hácha, a obok prezydent Beneš… i kiedy w pięćdziesiątym szóstym roku zapadła decyzja, żeby uprzątnąć strychy na wypadek wojny, w trakcie godzin lekcyjnych ze strychów na podwórze wypadały portrety dostojników, które kiedyś zdobiły każdą klasę i korytarz, i gabinet dyrektora, i pokój nauczycielski, i pracownię, i wszystko, uczniowie zrzucali z góry na dół te podobizny, ale największa radość zapanowała wówczas, gdy w dół polecieli ci drewniani Chrystusowie, te krzyże, uczniowie powitali to dzikim wrzaskiem i na dole rozbijali je motykami, żeby je potem spalić, te stare złote czasy, w piecu centralnego ogrzewania… A potem również w naszej starej auli, gdzie odprawiano msze, gdzie grywało się teatr i gdzie także był drewniany ołtarz, uczniowie porąbali ten ołtarz siekierami i wywlekli resztki na dwór, żeby powoli spalić je razem z Chrystusem w piecu centralnego ogrzewania… I to też jest obraz, który robi wrażenie, mówi sam za siebie i o tym wszystkim, przez co musiało przejść to miasteczko, co musiało zostać wymazane z przeszłości, aby zostało zapomniane, uczynione niebyłym. Ten obraz jest jednak także obrazem naszej historii, nie tylko

dziejów miasteczka, ale i całego narodu, a nawet nie narodu, tylko tego wszystkiego, co nazywano Europą Środkową i czemu sądzony był taki sam koniec jak tym portretom, jak tym Chrystusom, które zdobiły klasy szkoły realnej, dzisiejszego gimnazjum… Ale co robić? Wciąż zaczynamy od nowa.

To smutna opowieść, ale to chyba panu nie przeszkadza, prawda?

Owszem, żałuję tylko, że nie widziałem tej defenestracji Chrystusów, poczytuję sobie bowiem za honor, i nawet to lubię, patrzeć na coś, czego się boję, czym się zdumiewam, i chętnie patrzę na wszystko, czego jestem świadkiem. I cieszę się, że nauczyłem się patrzeć na rzeczy, których nie tylko ja, ale każdy człowiek się boi. Ale to jest istota nie tylko filozofii, lecz także literatury, umieć patrzeć obojętnie na rzeczy, przy których włosy stają dęba. Widzę, że czas już kończyć, więc na pożegnanie opowiem panu jeszcze jeden horror. Z tym moim Nymburkiem, z tym miasteczkiem, w którym mój czas się zatrzymał, rozstałem się, nie to, że w złości, ale nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, więc czemu ja miałbym być wyjątkiem? Nie lubią mnie tu, tak więc kupiłem mojej żonie, z początku dla żartu, na urodziny, grób po ciotce Herclovej w Hradisztku i teraz, kiedy rozwalili nie tylko tę kręgielnię U Gregorów, ale chcą zniszczyć także ten mój sad księdza dziekana, podjąłem decyzję i wykopaliśmy z grobu nie tylko ojca i spaliliśmy, i wsypaliśmy do urny, ale wyjęliśmy także stryja Pepina i matkę, wsypaliśmy do plastikowych worków, te plastikowe worki włożyliśmy do drewnianego wojskowego kuferka i pochowaliśmy w tym grobie w Hradisztku, gdzie i ja chciałbym po kremacji znaleźć się w plastikowym worku, spocząć obok pozostałych plastikowych worków w wojskowym kuferku, w tym grobie po ciotce Herclovej, w Hradisztku…

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Odnaleziona Ósemka

Teraz, kiedy mogę popatrzeć na siebie jak na trzecią osobę, widzę, jakim w wieku dwudziestu lat byłem zachwyconym obserwatorem i słuchaczem wszystkiego, co widziałem i słyszałem wokół siebie… I wszystko to nosiłem w swojej głowie, bojąc się, czy ona mi od tego nie pęknie. Pierwsza poważna książka, którą dostałem od malarza Antonína Frýdla, *Port pogrzebany* Giuseppe Ungarettiego, była dla mnie wskazówką, jak za pomocą pisania uporać się z nadmiarem obrazów… Cały w strachu usiadłem w opustoszałej kancelarii nymburskiego browaru z ograniczoną odpowiedzialnością, w sobotę i niedzielę wkręcałem w maszynę kwit rachunkowy i patrzyłem na białą powierzchnię papieru, nie umiałem pisać na maszynie, więc szukałem właściwych klawiszy, a na dworze padało i tak napisałem swoje pierwsze słowo… Pada… i czekałem z uniesionymi palcami, jakie kolejne słowo przyjdzie do mnie w ślad za tym pierwszym… i doczekałem się, napisałem… łzy… a potem… spływają… i wystukałem szybko na tej maszynie do pisania marki Underwood… po powiekach okien… a po chwili napiętej, nerwowej ciszy… a dym zalewa miasto… i serce tłukło się we mnie, tętniły mi skronie, gdy wystukiwałem… niebieskawym wstydem… A potem to, co napisałem, przeczytałem kilka razy i znowu czekałem, nasłuchując przy tym, czy nikt nie chodzi pod oknami, po korytarzu biura albo po naszym domu… i nikt nie chodził, tak więc po długiej minucie oczekiwania z tego, co już napisałem, wychynęło ku mnie… chce mi się spać… I znów ta słodka udręka oczekiwania, co też wyskoczy mi z głowy? No i proszę… Lecz spójrz!… A po kilku minutach następne zdanie… wóz płynie rozpłataną ulicą cicho… I w ślad za tym obrazem przyszła pierwsza metafora. A ja wystukałem ją, z błędami, ale jednak… jak barka kanałem… A ponieważ konie w browarze zawsze musiały być gniade, zebrałem się na odwagę i napisałem… a konie, dwie

gniade krople… wiosłują w rytm kołyszących się szyj… i narobiłem przy tym tyle literówek, że wyciągnąłem zapisaną kartkę i to, co napisałem do tej pory, przepisałem od nowa, a potem, ze świeżą głową, czekałem, co będzie dalej, z uniesionymi palcami, jakbym chciał zagrać na pianinie… i doczekałem się… i wystukałem zdanie, które mi się objawiło… podczas gdy kontrapunkt… ulewnego szlochu… bębni nudą… Potem czekałem godzinę, a potem jeszcze pół, ale żadne słowo, żadne zdanie już mi się nie ukazało, kurek z obrazami w mojej głowie zakręcił się… i tak napisałem swój pierwszy wiersz, który czytałem wciąż i wciąż od nowa, i nie mogłem wyjść ze zdumienia, nie mogłem nadziwić się temu, co byłem zmuszony napisać… Tak więc pisałem w każdą sobotę i niedzielę, karbowałem sobie głowę…

Kiedy napisałem około dziesięciu takich białych wierszy, przyszło mi na myśl, żeby je przepisać, tak żebym miał oprócz oryginału jeszcze trzy kopie i żeby te pierwsze książeczki połączyć zszywaczem, a wszystko to w sobotę i niedzielę, ponieważ tylko wtedy mogłem korzystać z maszyny do pisania marki Underwood, i przed samym sobą czułem się jak poeta, dość długo byłem także swoim pierwszym czytelnikiem, ponieważ nie miałem nikogo, komu mógłbym się pochwalić tym, co napisałem, tymi pierwszymi słowami, którymi opisywałem swój świat, swoje miasto, tak jak mnie tego nauczył poeta Giuseppe Ungaretti, który pokazał mi, w jaki sposób można ze słów ułożyć wiersz. Myślę, że również następny wiersz napisałem pod wrażeniem prawdziwych obrazów… lubiłem grać w siatkówkę i pewnego razu, kiedy serwowałem, zobaczyłem samego siebie jako… dzwonkowego waleta… Ten walet dzwonkowy nie dawał mi spać, a gdy wyciągnąłem go z talii kart do mariasza, przyjrzałem mu się uważnie i zobaczyłem, że tam koło głowy, tam gdzie ja miałem piłkę do siatkówki, ten walet ma dzwoneczek… i po jakimś czasie zobaczyłem samego siebie, jak spaceruję sobie nad rzeką, zakochany w rozgrzanym piasku i drodze wzdłuż Łaby, dróżce wyłożonej rozsypującymi się płytami, które tak przyjemnie grzeją w bose stopy… Pamiętam, że te obrazy czekały we mnie już od środy, powtarzałem je sobie, już ujęte w słowa, które można było wypowiedzieć.

A potem przyszła sobota i nic nie stało na przeszkodzie, żebym pierwszy raz przyszedł ze słowami już ułożonymi w głowie, z całymi zdaniami, które, gdy wkręciłem w maszynę czysty kwit rachunkowy, na którym było wydrukowane zielonymi literami „Browar Nymburski, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością", zapisywałem, przepisywałem je z głowy i z szepczących, podpowiadających ust, z trudem wyszukując właściwe klawisze, którymi wyrażę to przesłanie, aż wreszcie po tych wszystkich literówkach, po tych wszystkich zmianach rachunków, napisałem je na czysto… Po grobli, chodnikiem, jak boski kochanek, z dzwoneczkiem w dłoni przechadza się dzwonkowy walet… Potem ta miliardościenna rzeczywistość, która mnie otaczała, oddawała mi się w każdą sobotę i niedzielę już tylko po kawałku, fragmentami, a ja czułem się zawstydzony, tak bardzo wstydziłem się tego zaszczytu, tego, że dane mi było to szczęście, że łapane za język i trzymane na końcu języka słowa mogłem wystukiwać za pomocą maszyny do pisania na ulotnej białej powierzchni rachunków, których przez te wszystkie lata w browarze zużyłem całe kilogramy, cierpliwie zmierzając ku temu, czego się wstydziłem, pokorny i niewinny… Tak więc wkroczyłem do świata i do poezji jako młody człowiek, prowincjusz, w sobotę i niedzielę wystrojony zawsze zgodnie z najnowszą modą, zawsze w ubraniu, które szył dla mnie pan Pisarzik w Pradze, zawsze w eleganckich pantoflach z firmy Kabele, również z Pragi, zawsze w uszytej na miarę koszuli, zawsze z białą chusteczką, wsuniętą szykownie do kieszonki marynarki; a ponieważ nie wiedziałem, co zrobić z rękoma, nosiłem zawsze rękawiczki z jeleniej skóry… Ale gdy pojawiałem się na nymburskim rynku, gdy zbliżałem się wieczorem lub po południu do głównej ulicy, za każdym razem robiło mi się wstyd i czerwieniłem się tak jak wtedy, gdy w samotności pisałem te swoje wiersze w opustoszałej kancelarii nymburskiego browaru… Tak więc bawiłem się swoim życiem, zgodnie z prawem odbicia przekształcałem wielowymiarową rzeczywistość w jednowymiarowe linijki tekstu, bawiłem się nawet wtedy, kiedy nie chciało mi się żyć, gdy ogarniała mnie rozpacz na widok tego, co przydarzało się mnie i wszystkim innym, nawet wtedy

bawiłem się zdaniami… na nic się tak nie cieszyłem, jak na tę chwilę, kiedy usiądę w samotności przy maszynie do pisania i będę próbował, czy potrafię wyrazić za pomocą klawiszy tej maszyny wszystko to, co ważne, a zatem zwyciężyć, choć tyle razy dostawałem w skórę… ponieważ zawsze dodawały mi otuchy słowa mojego mistrza Ladislava Klímy, że każde zwycięstwo składa się tylko i wyłącznie z bicia… i to jest ta boska gra, ta gra szalona i błaha, a niekiedy całkiem głupia… ponieważ także przeciwieństwo wszystkiego jest prawdą… Tak więc od czterdziestu lat z górą piszę na maszynie do pisania, ale najbardziej chce mi się pisać wtedy, gdy jestem daleko, daleko od maszyny, kiedy myśli spływają do mnie z nieba, z miejskich murów, ze zmiennej tafli płynącej rzeki, kiedy myśli same we mnie krążą, a miarą rzeczy jest moja głowa, te moje oczy, do których i z których tryskają zdania jak z otwartej przed chwilą butelki wody sodowej… Wszedłem w świat i w życie jak na zabawę, jako ten młody człowiek, który gdy chciał uczesać tę swoją niesforną, bujną czuprynę, najpierw musiał nacierać ją garściami brylantyny… a teraz jestem u kresu jako starszy łysiejący pan z surowymi zmarszczkami wokół ust, rozmyślam o ostatnich rzeczach człowieka, które także są grą, platformą startową, z której zostanę wyniesiony na orbitę tych wszystkich, którzy mnie wyprzedzili. Ale i to jest grą, niczym więcej jak bożą grą, szaloną, błahą i głupią… i piękną, jak te moje pierwsze nymburskie wiersze… Po grobli, chodnikiem, jak boski kochanek, z dzwoneczkiem w dłoni przechadza się dzwonkowy walet…

Teraz, kiedy mogę patrzeć na siebie jak na trzecią osobę, wracam myślami do czasów, gdy w kancelarii browaru pisałem na maszynie marki Underwood te swoje wiersze; kiedy zostały zamknięte szkoły wyższe, ukończyłem pięciomiesięczny kurs w szkole handlowej Eckerta, ponieważ chciałem nauczyć się stenografii i pisania na maszynie… Do stenografii zabrakło mi cierpliwości, ale za to nauczyłem się pisać wszystkimi dziesięcioma palcami. Tak więc zapisywałem nie tylko wiersze, ale i notatki na marginesie mojego życiorysu, tylko dlatego, że sprawiało mi radość oglądanie, jak szybko można dzięki maszynie do pisania zanotować

myśli… I nauczyłem się pisać tak szybko, że niemal dotrzymywałem kroku swoim myślom, stukając w klawisze maszyny… Tak więc zestawiłem z wierszy tomik i zatytułowałem go *Zgubiona uliczka*, ponieważ wiedziałem, że to, co zawarłem w tym tomiku wierszy, to tylko refleks mojej lirycznej natury, że to, co uchwyciłem w tych wierszach, przypomina raczej dziennik albo listy miłosne, że w tej *Zgubionej uliczce* jest tylko jeden wartościowy wiersz, który nosił tytuł *Kolekcji nie ma. Mathias* i składał się z pięciu części: *Wiosna*, *Lato*, *Jesień*, *Zima* i *Wieczny sylwester*. W tym wierszu są już rozmowy ludzi i pewna właściwość mojego losu, w tym wierszu, w części zatytułowanej *Wieczny sylwester*, przepowiedziałem swoją przyszłość, tytuł tego wiersza – *Kolekcji nie ma. Mathias* – był niczym innym jak smutnym telegramem, który otrzymałem od swojej ukochanej, że nie jest w ciąży, jak się obawialiśmy, że to tylko opóźnił się okres…

Teraz, kiedy mogę patrzeć na siebie jak na trzecią osobę, wiem już, że tylko ten jeden wiersz powinienem był zaproponować wydawnictwu firmy Hradek w Nymburku, ponieważ jedynie ten wiersz miał rangę rękopisu… Napisałem go pod wrażeniem lektury *Ziemi jałowej* T. S. Eliota… właściwie dziś już nie mam powodu kłamać, ten tytuł – *Kolekcji nie ma. Mathias* – był wprawdzie lakoniczną treścią telegramu, ale był to również szyfr, za pomocą którego moja miłość informowała mnie, że usunęła dziecko w pierwszym miesiącu, a zatem że jestem współwinowajcą, wspólnikiem zbrodni, że ponoszę intelektualną odpowiedzialność za morderstwo… Ten wiersz nie był wyśniony, nie mówił o spacerach po miasteczku, nie wyrażał zachwytu nad zachodzącym słońcem, które przegląda się w rzece… był bezlitosnym oskarżeniem samego siebie, wejrzeniem w smętny ludzki los, wejrzeniem, za które trzeba zapłacić… Ten wiersz był zatem moim pierwszym rękopisem, smutną spowiedzią, publicznym obwinieniem siebie samego… Ale firma Hradek z Nymburka tak długo odkładała wydanie *Zgubionej uliczki*, aż przyszedł rok 1948 i drukarnie znacjonalizowano, a ja zostałem z dwiema szczotkowymi odbitkami… I ulżyło mi, pisałem dalej… bynajmniej nie pod wpływem

Kolekcji…, lecz pod wpływem nowych wrażeń, nowych notatek na marginesie mojego nieodpowiedzialnie beztroskiego życia… Aż wreszcie zrozumiałem, że jeśli nadal będę żył tak jak dotychczas, nigdy nie stanę się człowiekiem, który zdoła stworzyć prawdziwy rękopis i zawrzeć umowę ze swoimi czytelnikami… Tak więc wyprowadziłem się z Nymburka i zacząłem nowe życie na Libni, skąd jeździłem do Kladna do huty Poldi… A tam żyłem tak, że odechciało mi się liryki… zetknąłem się z nagą rzeczywistością, zacząłem pisać tak, jakbym był reporterem, jakbym pisał do gazet, dla masowego czytelnika. I napisałem *Jarmilkę*, mój drugi rękopis, a kiedy go czytałem, moi pierwsi czytelnicy, a właściwie słuchacze, byli tekstem nie tylko wzruszeni, ale wstrząśnięci… tym totalnym realizmem. Ten tekst był tak drastyczny, że nie zdobyłem się na odwagę, by zaproponować go wydawnictwu jako swój prawdziwy rękopis… *Jarmilka* musiała poczekać do lat siedemdziesiątych, gdy ukazała się w swojej okrutnej postaci… Tak więc dalej pisałem te swoje notatki na marginesach tylko dla siebie i dla swoich przyjaciół… Aż w końcu w latach sześćdziesiątych zacząłem publikować nie tylko opowiadania, ale wydałem także swoje pierwsze książki, tyle że o tych trzech pierwszych byłem zdania, że są to wprawdzie moje teksty, ale nie są to prawdziwe rękopisy, jakimi były *Kolekcja*… i *Jarmilka*. Wykorzystując swoje intymne zapiski i notatki na marginesach, zacząłem więc pisać książkę *Pociągi pod specjalnym nadzorem*… I właśnie pisząc tę nowelę, pierwszy raz w życiu poczułem, że nie piszę jej już tylko dla siebie, ale że piszę ją dla masowego czytelnika, że wprawdzie opowiadam o tym, co mnie spotkało, kiedy byłem dyżurnym ruchu w Kostomlatach koło Nymburka, ale że jednocześnie opowiadam o tym nieszczęściu, które dotknęło całą Europę i moich rodaków pod postacią drugiej wojny światowej… A zatem *Pociągi pod specjalnym nadzorem* sprawiły, że nie tylko napisałem, ale i opublikowałem zaangażowany rękopis, jakby w definicji Rolanda Barthes’a, który stwierdził, że rękopis to akt historycznej solidarności…

Teraz, kiedy mogę patrzeć na siebie niecodziennym spojrzeniem z góry, kiedy jednocześnie jestem sfinksem, który patrzy, i tym, w kogo wlepia on

swój badawczy wzrok, muszę wyznać, że napisałem jeszcze jeden rękopis, którego się boję. Ta ballada nosi tytuł *Auteczko*… i opowiada o tym, jak znalazłem się w sytuacji takiego konfliktu moralnego, że w końcu zmuszony byłem zabić dwoje ukochanych kociąt. Tych kotów miałem ogółem dwanaście i wydawało mi się, że skoro dwanaście kotów nie potrafi żyć ze sobą w zgodzie, wolno mi zabić przynajmniej dwa. Ale myliłem się, ponieważ od tej pory nie mogłem uwolnić się od poczucia winy, nie chciałem już żyć. Tak więc to wszystko opisałem, ten rękopis miał być moją prośbą o wymazanie z rejestru karnego… Ale nawet straszny wypadek samochodowy, który przeżyłem i przyjąłem z pokorą, łudząc się, że w zamian opuści mnie poczucie winy, niczego nie zmienił… Tak więc napisałem tę balladę *Auteczko*, tak się nazywał jeden z tych zamordowanych kotów, ten, którego kochałem najbardziej… A kiedy ją pisałem, miałem przed oczami wstrząsające zdjęcia z albumu *Sto lat fotografii wojennej*, nie mogłem się od nich oderwać, wciąż przeglądałem tę książkę, którą opatrzył przedmową pan Koellwitz… I kiedy zaniosłem tekst do wydawnictwa, wiedziałem już, że bezkarnie nie można zabić nie tylko człowieka, ale nawet kota… i poczucie winy za uśmiercenie tych zwierząt zostało we mnie, jestem tym, kim pragnąłem zostać, kiedy byłem młody i głupi… poetą przeklętym…

Teraz, kiedy mogę patrzeć na siebie niecodziennym spojrzeniem z góry, kiedy tak naprawdę moim życiem są moje książki, gdy patrzę na to wszystko, co dotychczas napisałem, dochodzę do wniosku, że moje pisanie przypomina sinusoidę, spiralę, którą tworzą książki składające się wyłącznie z poetyckich obrazów i metafor, jak i książki złożone jedynie z gołych zdań… są tam książki, których do dziś się boję, i są książki, przy których się uśmiecham… książki, które są literaturą piękną, i książki, które są reportażami, gazetami… są tam książki, w których jest mój los, i są książki, które można czytać dla rozrywki…

Dziś wiem, że ta moja sinusoida w rzeczywistości jest także sinusoidą mojego narodu, że jestem medium społeczeństwa i środowiska, w którym żyję… A ponieważ od dzieciństwa żyję w Europie Środkowej, ponieważ

mieszkam w samym sercu Europy, dopiero teraz w pełni pojmuję, że zarówno na mnie, jak i na tym moim pisaniu odcisnęły piętno wydarzenia polityczne, a chociaż czasem ich nie akceptuję, muszę w końcu się z nimi pogodzić, ponieważ są…

Tak więc chociaż nie wybierałem sobie polityki tego kraju, mimo to biorę w niej udział, jestem lojalnym obywatelem kraju, w którym od pokoleń biedzimy się nad tym, jak to było z tymi ósemkami. Jak to właściwie było w ubiegłym stuleciu z rokiem czterdziestym ósmym? A jak to właściwie było w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym? A jak w roku trzydziestym ósmym? A jak w roku czterdziestym ósmym, a wreszcie jak to właściwie było w tym roku sześćdziesiątym ósmym? Co to były za sinusoidy, po których sunie nie tylko ten kraj, ale i kraje sąsiednie… a więc i ja? Ten mój wieczny upadek i podnoszenie się, ten przypływ i odpływ, ta wielka sinusoida, która ciągnie się przez ten kraj od niemal tysiąca lat? Przypominam sobie, że jako student prawa uczyłem się, że o rozwoju wydarzeń politycznych nie tylko w moim kraju, ale w całej Europie Środkowej decydowali zawsze ci silniejsi sąsiedzi, zapewne mający bardziej postępowe ideologie, które następnie wyznaczały sens, a więc i kierunek historii…

Jednakże teraz, kiedy mogę patrzeć na siebie niecodziennym spojrzeniem z góry, kiedy starość pozwala mi na ten luksus, żebym jednocześnie był sfinksem i tym, w kogo wlepia on swój badawczy wzrok, dochodzę do wniosku, że mój los, a zapewne także los wszystkich innych, przypomina kartę tarota w Arkanach Wielkich, Wieżę rażoną piorunem… jak wtedy, gdy z jasnego nieba spadnie grom i porazi człowieka tak, że musi zacząć żyć na nowo… jak bóg Sziwa, który dokonuje zagłady starego, by mogło narodzić się nowe życie… Tak więc chociaż odczuwam dumę z tego powodu, że jestem Wieżą rażoną gromem z jasnego nieba, to nadal przemierzam ten kraj, ale nad ciemieniem, na mojej głowie wciąż unosi się ta nasza zagadkowa ósemka, tylko że tym razem pozioma, jak znak i tajemny symbol matematycznej nieskończoności, leżąca ósemka, boski krąg, który przegląda się w sobie samym, krąg postawiony przed lustrem,

ósemka, w której jeden krąg przechodzi w drugi, sinusoida, która została przecięta w pół drogi i złożyła się jak secesyjne damskie lorgnon…

Tak więc ja, który dziś jestem w sytuacji, w której mogę spoglądać na siebie niecodziennym spojrzeniem sfinksa, ja, który zostałem kiedyś doktorem obojga praw na Uniwersytecie Karola, dochodzę do wniosku, a zatem wiem na pewno, że jedna, trwająca niemal tysiąc lat epoka skończyła się i zaczęła się epoka całkiem nowa, widzę po sobie samym, a niekiedy widzę to także po tych wszystkich, z którymi dzielę los, że ta długa, mierzona na stulecia deska pękła, a ja jestem poraniony tymi drzazgami, lecz nie przeklinam losu, ponieważ wiem, że tak musiało być, ponieważ sytuacja polityczna w Europie Środkowej, a więc i w Pradze, i w całym moim kraju dojrzała za sprawą tych historycznych ósemek do tego, że deska musiała pęknąć… ja zaś miałem to szczęście, że to widziałem, że widziałem to już jako student historii politycznej świata i Europy Środkowej, a zatem jestem świadkiem, dożyłem tego, że mogę opisać to uczucie, kiedy jestem co prawda poraniony drzazgami złamanej epoki, ale jednocześnie jestem zaszczycony, że mogę dać o tym świadectwo, że mogę tworzyć rękopis o końcu jednej epoki i początku nowej, że mimo wszystko jestem tym, którym jestem, starszym panem, spacerującym w kapelusiku, nad którym unosi się leżąca ósemka, szyfr i znak nieskończoności, zabawna, wesoła ósemka, szyfr, w którym wyraża się wieczny duch i świat materii, świat realny i świat snu, rezolutna ósemka, zawiązany na kokardkę początek i koniec świata, wypaczona sinusoida przypływu i odpływu, form skostniałych i takich, w które tchnięto życie… unosząca się nad moją głową leżąca ósemka, która daje mi pewność, że nawet gwiaździste niebo kiedyś zgaśnie, żeby wszystko zaczęło się na nowo…

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Moja Libeń

Libeń, ta stara Libeń pojawiła się w moim życiu jak koło ratunkowe. Musiałem opuścić nymburski browar, miasteczko, w którym mój czas stanął w miejscu i w którym beznadziejnie utknąłem, nie mogąc pójść naprzód ani w tył, i gdzie pewnego dnia zrozumiałem, że nie mogę dłużej żyć tak, jak żyłem dotąd. Opuściłem więc piękne czteropokojowe mieszkanie, zmieniłem kilka tymczasowych adresów w Pradze, mieszkałem w hotelu robotniczym w Kladnie, aż pewnego dnia moja stryjenka Milada powiedziała mi, że na Libni przy ulicy Na Grobli jest w podwórzu wolny lokal po dawnej kuźni i że właścicielka wynajęłaby mi wolny pokój za pięćdziesiąt koron. I tak pewnego dnia w latach pięćdziesiątych stanąłem w tym wolnym pokoju, zatęchłym i cuchnącym pleśnią, ze zwisającą spod sufitu lampą. I od razu wiedziałem, że właśnie na to czekałem, że stoję tu jak malarz przed naciągniętym czystym płótnem i że od tej chwili tylko i jedynie ode mnie zależy, co z tym pokojem uczynię.

Kupiłem więc secesyjne mosiężne łóżko, a potem wielką żeliwną kuchnię i stół, i kilka krzeseł, gospodyni pożyczyła mi kredens, a ja nakryłem stół obrusem, śnieżnobiałym obrusem, i postawiłem na nim kwiaty, i nadal jeździłem do Kladna do huty Poldi, nie mogąc się doczekać, kiedy skończę zmianę i znów stanę na środku mojego pokoju. A kiedy napaliłem pod kuchnią tak, że ogień aż huczał, a blask przez szczeliny między fajerkami odbijał się na suficie, kiedy pod lampą zajaśniał biały stół, a na nim otwarta książka, nie mogłem uwierzyć w to szczęście, które mnie spotkało. Nade wszystko jednak zafascynowała mnie Libeń, urządzałem sobie wycieczki do miejsc, w których nigdy przedtem nie byłem, uliczka Na Grobli, główna aleja, boczne uliczki wiodące do Żydów, ulica Braterska, ulica Na Żertwach, po której jeździły jeszcze lokomotywy na parę, Kotlaska i przede wszystkim potok Rokitka, wszystko to

wprawiało mnie w zachwyt, chodziłem tam nawet nocą, tak bardzo nie mogłem nasycić się poezją tych peryferii, nad którymi wznosił się w kształcie kuli zbiornik gazu na Palmovce. Na piwo i na kolację chodziłem za każdym razem do innej gospody i za każdym razem, gdy wszedłem do środka i dalej na salę, byłem jak rażony gromem, tak bardzo pokochałem tę okolicę, między Maninami i brzegiem Wełtawy, nad którą wznosiły się wierzchołki Bulovki i wzgórza Hajek z Czerwoną Kopułą. Miałem wtedy wrażenie, a potem wręcz pewność, że wszystkie te ulice i uliczki, wszystkie te gospody, że wszystko to istnieje tylko i wyłącznie dla mnie, że ta okolica na mnie czeka, że jest przeznaczona tylko i jedynie dla moich oczu. Wszyscy mieszkańcy Libni wydawali mi się zrobieni z tego samego ciasta co ja, przypominali mi mieszkańców mojego Nymburka. A ja zaprzyjaźniałem się z nimi, codziennie z nimi jadałem i wypijałem te niekończące się kolejki piwa u Hausmanów i w Starej Poczcie; chodziłem z dzbanem po piwo i do Liszków, i do browaru, do Kroftów i do Klouczków, czasem docierałem z dzbanem aż do Doudów i pod Merkurego, tylko po to, by nacieszyć się tą drogą uliczkami pełnymi rozświetlonych knajp. I niemal każdego wieczora, czasem nawet późno po zmroku, wspinałem się po cichu na Hajek, a innym razem na Szlosberk, skąd nie mogłem się napatrzeć do syta na rozpościerającą się pode mną Libeń, podczas gdy na horyzoncie migotały światła śródmieścia. Przyglądałem się twarzom innych mieszkańców peryferii i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nikt poza mną nie zachwyca się tym pięknem, które ma wokół siebie. Kiedy zaś wybrałem się wzdłuż Rokitki aż do Hloubětína, musiałem przystawać niemal co metr, by nasycić się urodą tego potoku, by odgadnąć, co też za rupiecie walają się w jego mętnym nurcie.

Niekiedy szedłem na dworzec wysoczański, gdzie chłonąłem poezję torów kolejowych i wznoszących się w oddali fabryk. Innym razem poniosło mnie główną aleją aż na samą górę, do gospody u Ferklów, gdzie dopiero po roku odkryłem najmniejsze kino w Pradze, mieszczące się w salce tylko trochę większej niż dwa złączone wagony trzeciej klasy. Chodziłem tam na każdy seans, nie mogąc się nasycić tym stęchłym

zapachem podłogi miniaturowego kina; nie mogłem sobie darować, że w samym tym roku, w którym zamieszkałem na Libni, zlikwidowano letnie kino w ogródku gospody U Ferklów, gdzie widzowie rozsiadali się z kuflami piwa i gdzie mogli nawet palić podczas projekcji. Białe płótno zszarzało już i postrzępiło się od deszczu, lecz ja mimo to zaglądałem tam i oczami wyobraźni widziałem wszystkie te piękne filmy, które pragnąłbym tu obejrzeć.

Tak więc przemierzałem Libeń z góry na dół, zatrzymywałem się przed pałacykiem nad Kolczawką, gdzie w ubiegłym stuleciu mieścił się przepiękny park, gdzie była winnica i gdzie mieszkał filozof Czupr, i gdzie nawet, w tej Kolczawce, jak niektórzy nazywali potok Rokitka, bywały pstrągi. W tamtych czasach przechodziłem przez płot przy dworcu libeńskim i za dnia i w nocy spacerowałem po starym żydowskim cmentarzu, przysiadałem na przewróconych nagrobkach i ukryty pod bujnym krzewem czarnego bzu nie mogłem się nadziwić temu wszystkiemu, co przygotowano tu jak gdyby specjalnie dla mnie, tak bym tylko i wyłącznie ja był tym, kto potrafi dostrzec to piękno. I naraz miałem w Libni tylu przyjaciół, że latem nie zamykałem drzwi ani okien, by każdy, kto darzy mnie sympatią, mógł wejść do mojego pokoju, który stał się miejscem publicznym, jak knajpa czy szynk na Dziedzince. Chociaż ożeniłem się w tym pokoju i choć postarałem się o dodatkową klitkę, dzięki czemu mieliśmy z żoną dwa pokoje z ubikacją na podwórku i łazienką w pralni, czasem nie mogłem napisać choćby dwóch zdań, bo miałem coraz więcej przyjaciół, którzy wpadali ni z tego, ni z owego; niekiedy nocowało u nas nawet pięciu lub sześciu gości. A mimo to byłem szczęśliwy i wydawało mi się, że piszę swoim życiem prawdziwą powieść, że tym ludziom, którzy przychodzą i obdarowują mnie swoimi historiami, odwdzięczam się, obdarowując ich samym sobą. Wtedy, w latach pięćdziesiątych, w klitce za ścianą mieszkał Vladimír Boudník, który podobnie jak ja, był zakochany w praskich peryferiach, tak samo kochał te wszystkie libeńskie kurioza, całkiem jak ja nie potrzebował atelier, wystarczała mu prasa, przez którą przepuszczał graficzne arkusze

o potępieńczym powabie i porażającej wymowie. Jeździliśmy razem do huty Poldi, a przy tym dyskutowaliśmy do białego rana, wałęsaliśmy się po starej Libni. Zachodziliśmy na przykład do gospody Pod Zielonym Drzewem, stamtąd szliśmy do Starej Ciupy i dopiero potem do Karola IV, gdzie Vladimír bywał najchętniej i gdzie pewnego razu spotkał nas ten zaszczyt, że właściciel w wigilię Bożego Narodzenia zamknął lokal wcześniej niż zwykle, wyciągnął z córką fisharmonię, i pan Vic, tak się nazywał ten właściciel, grał i śpiewał dla nas, stałych bywalców, kolędy. To Vladimír nauczył mnie nie żałować tego wszystkiego, co właśnie znika, co przemija, wręcz przeciwnie, najchętniej ciągnął mnie właśnie tam, gdzie buldożery kruszyły stare ściany małych domków i wielkich kamienic. To Vladimír nauczył mnie kochać całą tę dewastację i demolkę. Nawet dziś uwielbiam wpadać na Libeń i przyglądać się, jak znika wszystko, co stare i przebrzmiałe, wszystko, co wyszło z mody, nawet dziś chętnie odwiedzam swoje podwórko przy ulicy Na Grobli 24; podwórko zarosło, ktoś powybijał szyby w moich oknach, a gdy zaglądam tam, gdzie przeżyłem szczęśliwie całe ćwierć wieku, upewniam się z zadowoleniem, że podłoga całkiem przegniła, a ściany są krzywe i wilgotne, że nikt już tu nie mieszka ani nawet mieszkać nie może, chociaż na górze, na galeryjce, ktoś jednak mieszka; widzę suszące się pieluszki i słyszę, jak ktoś tam nade mną pisze na maszynie, i sądząc po rytmie, naiwnie próbuje wcisnąć ten zachwycający, wielowymiarowy świat na taśmę, która ma tylko jeden wymiar, tak jak jednowymiarowe są linijki tekstu. Tak, ktoś tu pisze na maszynie, całkiem tak samo jak ja: maszyna dzwoni jak oszalała, lecz za chwilę przerywa, zastanowienie, po czym tekst znowu rusza, pełen literówek, i ja tak pisałem, nie zwracając uwagi na błędy. Ktoś w tym mieszkaniu nade mną, tam gdzie mieszkali państwo Slaviczkowie, zdaje raport o sobie samym i otaczającym go świecie, suszą się pieluszki, a zatem jest i niemowlę, tak więc temu, kto tam pisze, też chyba nie będzie lekko, bo wprawdzie najpiękniejsze w pisaniu jest to, że nie trzeba tego robić, ale jeśli już ktoś ma po temu powód, nie powstrzyma go ani żona, ani dziecko. Wychodzę przez próg mojego dawnego mieszkania, podwórko zarosło

krzakami, otwieram drzwi do pralni i wciąż jest tam ta szwedzka pralka i balia, w której się kąpaliśmy, za to nie ma śladu po długim warsztacie, jego ściany leżą zwalone i przykryte ziemią, ten sam los spotkał daszek z lekkim spadem, gdzie wynosiłem krzesło, któremu przyciąłem nogi tak, żebym mógł ustawić na nim maszynę i pisać w słońcu te swoje teksty. Z sąsiedniej posesji sterczy wysoki mur, z którego po jesiennych deszczach odpadały kawałki tynku, ten tynk tłukł przeraźliwie o spadzisty daszek warsztatu, w którym wyrabiano farby i lakiery. Schodzę po schodkach, no tak, to podwórze wciąż wygląda jak pokład starego szkunera, w bramie wciąż ta sama wilgoć, jak za moich czasów, z tego wszystkiego już trochę kręci mi się w głowie; tak jak kiedyś umazałem sobie tynkiem najpierw prawy, a potem lewy rękaw, wychodzę na ulicę, a tam wciąż stoi ta stara latarnia gazowa. Uśmiecham się i wracam do głównej alei, tam, gdzie ulica Braterska zbiegała się z uliczką Na Grobli, był niewielki placyk, o którym mawiałem Vladimírowi w żartach, że kiedy będę sławny, ten plac zostanie nazwany imieniem Bohumila Hrabala… Ale dziś pracuje tu buldożer, z wielką werwą pustoszy domki i małe warsztaty, w których wyrabiano lampki nagrobkowe, właśnie zawalił się maleńki domek, którego okienka wychodziły na ten mój placyk, lecz ja jestem szczęśliwy, że przy tym jestem, że to widzę, że mogę stanąć w samym sercu tego pobojowiska, o które nikt nie dba, i czerpać perwersyjną rozkosz z tej chwili słodkiej apokalipsy, z zagłady starej Libni, ponieważ zawdzięczam jej wspomnienia i klucz do piękna, którym żyłem i będę żyć tak długo, aż i mnie przykryje czas, jak ten żydowski cmentarz i dach warsztatu, na którym pisałem w słońcu te swoje teksty…

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Pearl of Love Stories

Pod Tygrysem nie zawsze jest tylko wesoło. Wczoraj odwiedzili nas goście aż ze Słowacji, to byli chyba psychiatrzy. Jeden miał piękne oczy, krucze wąsy i brodę, karminowe wargi, a w kącikach ust strumyczki śliny, jakby zamiast piwa chrupał jabłka. Gadali o samobójstwach, jak na seminarium, i ten młody facet z wielką pewnością siebie stwierdził, że wszystko na ten temat jest już w *Ojcach i dzieciach*, w tej rosyjskiej powieści, i że Turgieniew był taki sam mądry jak my… I powiada: „Raz na konferencji w Trenczynie pewien słuchacz opowiedział mi taką historię: chłopak nienawidzi swego ojca, a tak naprawdę to jego poglądów, jest w permanentnym konflikcie ze światopoglądem tatusia, każda ich rozmowa kończy się atakiem histerii…”. A potem ten słuchacz zapytał: „I co pan o tym sądzi?”. Odpowiedziałem, że to jasne, najdalej za dwa lata chłopak nagra na magnetofon wszystko, co ma przeciwko ojcu, no i społeczeństwu, albo to wykrzyczy, wyrzuci z siebie to wszystko, z czym nie może się uporać, całą tę dialektykę młodości i… pójdzie na tory pod pociąg… „I jak to się skończyło?”, zapytałem po cichu, „*prepáčte, pekne prosím*”, szepnąłem… Młody psychiatra nie krył dumy… Miałem rację. Chłopak skoczył pod pociąg razem z tą taśmą… „A czy jego matka nie miała na imię… Perła? *Prepáčte, pekne prosím*”, szepnąłem. A młody psychiatra z poważną miną skinął głową…

Tak więc samolot mimo wszystko zdołał oderwać się od ziemi, serce waliło mi jak oszalałe, poczułem, jak krew tętni mi nawet pod paznokciami palców stóp i stamtąd pędzi aż ku resztkom włosów, i nawet byłem rozczarowany, gdy przeszliśmy z pozycji wznoszącej do horyzontalnej, a i sam lot był całkiem przyjemny, pozwolili nam rozpiąć pasy i zapalić, ale ja na wszelki wypadek zostałem w pasach, tylko zzułem buty, bo przeczytałem gdzieś, że pasażerowie na bosaka mają większe szanse

przeżycia w razie katastrofy… i dobrze zrobiłem, bo nasz samolot miał międzylądowanie w Paryżu, okazało się nawet, że dalej polecimy angielską maszyną… Tak więc wylądowaliśmy i to już był szok, bo przeżyliśmy, a później czekaliśmy w hali odlotów, aż ogłoszą: „Samolot do Londynu jest gotowy do przyjęcia państwa na pokład”. Ten angielski samolot… A ja siedziałem tam zzieleniały, oczy same mi się zamykały, lecz naraz zobaczyłem, że trzej zasapani tragarze niosą na pasach ogromny fortepian, nie mogli dać sobie z nim rady, więc uniosłem ręce i zacząłem dawać im znaki, jednym palcem, a potem drugim, a wreszcie obydwoma rękoma poprowadziłem ich aż na schody, tych mężczyzn niosących resztką sił czarny fortepian marki Pleyel, i za pomocą międzynarodowych sygnałów prowadziłem ich coraz niżej i niżej, kilka pięter w dół, aż do piwnicy, gdzie na mój znak ci biedacy ostrożnie postawili instrument na podłodze, a wtedy wzruszyłem ramionami i uciekłem do poczekalni, między swoich, po chwili jednak tragarze mnie dogonili, już z daleka grozili mi pasami i klamrami, i nawet przewrócili mnie na podłogę, a naszym dziennikarzom ze Słowacji, którzy znali francuski, powiedzieli, że sprowadziłem ich z fortepianem do samej piwnicy i że teraz będą musieli taszczyć znów pleyela na górę, dwa piętra wyżej… A ja siedziałem na podłodze i zbierało mi się na płacz, wokół mnie stali panowie redaktorzy i krzyczeli, że jestem skończonym wałem, najgłośniej krzyczała taka dziennikarka, prawdziwa piękność, gdyby była tylko trochę ładniejsza, wyglądałaby całkiem jak moja żona albo jak pani Katharine Hepburn… No i ta dziennikarka krzyczała, że przyniosłem wstyd naszej ojczyźnie, że wstyd jej za mnie, bo zakpiłem z francuskich tragarzy, uraziłem przedstawicieli klasy robotniczej.

Ulice Londynu zachwyciły mnie bogactwem kolorów, świeżym powietrzem, czystym asfaltem, lśniącymi fasadami domów, tak jakby pucowali tu nie tylko jezdnie, ale też przy okazji szprycowali armatkami wodnymi czy sikawkami wszystkie budynki użyteczności publicznej, wszystkie kamienice, a nawet najmniejsze domki, Anglia przywitała nas czystością, lśniącymi, kolorowymi dostawczakami, z których każdy miał porządnie naciągniętą plandekę, chroniącą przewożony towar przed

deszczem. Tłum ciągnął ulicami i alejami, widzieliśmy wielu eleganckich, staromodnie ubranych panów w melonikach, a kiedy mijaliśmy Hyde Park, gdzie zbierały się kółka dyskusyjne, gdzie roztrząsano i omawiano wszelkie możliwe kwestie, redaktor Mrnka nie wytrzymał i powiedział… „Całkiem jak u nas”. A wtedy prezes związku dziennikarzy, który siedział z tą piękną dziennikarką, odwrócił się do mnie i zapytał: „Jak się nazywała żona Williama?”. A ja cicho odparłem: „Anne Hathaway… Joyce napisał o niej, że była trzy lata starsza od Williama i że zgwałciła go na rżysku pod Stratfordem”… A dziennikarka odwróciła się z takim impetem, że aż przejechała mi po czole ostrą krawędzią swego słomkowego kapelusza, zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale zobaczyłem jeszcze, że chciała mnie także walnąć piąstką, tylko że nie zdążyła wyciągnąć spod torebki tej swojej pachnącej rączki… A ja ujrzałem jej powabną szyję, jej kark i włosy, które pejsami, jak ostrużyny, opadały spod kapelusza, i powiedziałem na głos: „Pejzes!”. Ona zaś podskoczyła jak na szpilkach i zawołała: „Asa chucpe!”. Ale w jej oczach dostrzegłem nagle zrozumienie i lęk, i powiedziała całkiem spokojnie: „Niech pan pokaże, zadrapałam pana tym okropnym kapeluszem…”. „To nic takiego”, odparłem. „Proszę pokazać!” Podniosła się, odwróciła ku mnie i przyklęknąwszy na swoim fotelu, klęcząc tak nade mną i jedną ręką przytrzymując mi skroń, w drugą rękę wzięła chusteczkę i usunęła kilka kropel krwi, które wyryła mi na czole tym swoim kapeluszem. I wtem autobus zahamował, i obydwoje wpadliśmy na siebie, i prawie się pocałowaliśmy, no, nie całkiem, ale poczułem ostrą woń jej policzków, tę ostrą, egzotyczną woń, i po chwili zrozumiałem, że tak samo pachniała moja Żydóweczka z placu Karola, ta, w której kiedyś byłem zakochany, kochałem się w niej na zabój, moja Blanka Krause, którą pierwszy raz zobaczyłem w firmie Bracia Zinner, cztery piętra galanterii, tam naprzeciwko szkoły żydowskiej w samym centrum Pragi, przy ulicy Jachyma… I ta mocna, powabna woń sprawiła, że uświadomiłem sobie, że w samolotach i teraz w tym autobusie spośród wszystkich jazzowych szlagierów zwracałem uwagę tylko na ten jeden, *Blueberry Hill*, wyśpiewany przez Louisa Armstronga… I w tej samej chwili dotarło do

mnie, że nie tylko na londyńskim lotnisku, ale i w samym Londynie w zapadającym zmierzchu na przejeżdżających tramwajach widziałem barwne, ciągnące się przez całą długość tramwaju, wzdłuż okien i okienek, podświetlone, tasiemcowe reklamy… Pearl of Assurance… A potem się dowiedziałem – i wtedy nie dziwiłem się już niczemu – że ta moja piękna dziennikarka, która tak naprawdę była jedyną kobietą na naszej wycieczce, ma na imię Perła, i to imię zachwyciło mnie tak, jak zachwycony i wstrząśnięty był André Breton, gdy damulka, którą spotkał w paryskim zaułku, taka, po której mógł się spodziewać wszystkiego, ale równie dobrze niczego, że ta osóbka ma na imię Nadia i że w tym imieniu jest już cała jego przyszłość, nie tylko mężczyzny, ale także pisarza. A jakby tego było mało, zameldowaliśmy się w hotelu, którego nazwy już nie pamiętam, ale mógł to być Hotel Pod Łabędziem z Avonu albo Hotel Perła, a w każdym razie powinien był tak się nazywać. I gdy tylko podeszliśmy do recepcji, zaraz puściły mi wszystkie zawleczki, nie byłem już uczestnikiem zwykłego, prozaicznego wyjazdu, lecz świadkiem szokujących i cudownych zdarzeń, partią partytury, i poczułem, że teraz jestem tym, którym jestem, choć nigdy dotąd nie byłem sobą. I tak to, co niewiarygodne, powoli, lecz nieubłaganie zaczęło stawać się faktem, a przecież tylko to, co się wydarza, może mieć status faktu i wprawić nas w zdumienie, a niekiedy w zachwyt.

Dość powiedzieć, że gdy recepcjoniści dawali nam klucze do pokojów, ja dostałem pokój numer dwadzieścia osiem, a pani Perła, redaktorka, numer dwadzieścia siedem, a więc spaliśmy obok siebie, wprawdzie oddzieleni murem, ale byliśmy razem przez ścianę, więc zrozumiałem, że przez kolejne dziesięć dni będziemy nasłuchiwać swoich kroków, pokasływania albo prowadzonego na głos monologu, odgłosu wody spływającej w kabinie prysznicowej, a może nawet wycierania się do sucha ręcznikiem frotté, a gdyby ściany były ze szkła, to nawet moglibyśmy przyglądać się sobie podczas intymnej toalety, w trakcie ubierania się i przy rozbieraniu. Nie zdążyliśmy zresztą wejść po tych samych schodach na te same piętra, a wreszcie na to piętro, do którego tylko my dostaliśmy klucze,

gdy pani Perła powiedziała mi, że zasypia i że w ogóle może zasnąć tylko wtedy, gdy weźmie proszek nasenny, że jej życie to wcale nie jest bajka, że i ona ma prawo do neurastenii i że tylko jej praca, to, że jest dziennikarką, że może robić coś ważnego dla społeczeństwa, sprawia, że jeszcze w ogóle chce jej się żyć… więc czy mógłbym być tak miły i zastukać w ścianę pokoju, żeby ją obudzić?

Myślę, że te dni, które mijały jeden po drugim, tak jakby ktoś wykładał karty na stół, a więc że to wszystko, co wydarzyło się w rzeczywistości, było tak nadzwyczajne, jak o tym marzył, a przede wszystkim pisał o tym i tym żył André Breton. Że piękno będzie nadzwyczajne albo nie będzie go wcale. Myślę, że pani Perła budziła się każdego ranka, gdy zastukałem w ścianę, dla mnie przez całą noc ta ściana była membraną, przez którą słyszałem jej płytki oddech, a spała tak, jak śpią wieśniacy po całodziennej harówce, któregoś razu zachrapała, potem wydała z siebie taki długi skowyt, aż pomyślałem, że to zmora przysiadła jej na piersi, więc podniosłem się i cichutko zapukałem w ścianę, ledwo jej dotykając, i usłyszałem z drugiej strony, że już wszystko w porządku, ona też poskrobała ścianę jak myszka, aż pod paznokciami zostały jej drobiny farby, i zasnęła. Myślę, że nasze śniadania też nie były zwyczajne, pierwszego dnia usiedliśmy razem, ale ja byłem niemożliwy, nie mogłem sobie poradzić z tą poranną herbatą, te dzbanki z mlekiem i herbatą, i ten okropny *porridge*, i te słoiczki z dżemem, bez przerwy coś przewracałem albo rozlewałem, każdy mój ruch to była katastrofa, tym większa, im bardziej starałem się uważać, chciałem się zapaść pod ziemię, ale spostrzegłem, że panowie redaktorzy, widząc, jak bardzo jestem skrępowany, z tym większą satysfakcją gapili się nie na mnie, tylko na panią Perłę, która z kolei wyglądała na zadowoloną, a może nawet zachwyconą, że wprawiła w zakłopotanie i zawstydziła takiego trzykrotnie skrzyżowanego osła dardanelskiego, bo przecież ci wszyscy dziennikarze uważali mnie za komedianta, prowokatora, chuligana. Ponieważ jednak siedziałem twarzą w twarz z damą, do której sam nie wiem dlaczego zacząłem zwracać się, chociaż poprosiła, żebym mówił jej po imieniu, ale

ja zwracałem się do niej… Madameken, tak jak w Berlinie, bardzo mi się to spodobało, jeszcze przed wojną, gdy spędziłem dziesięć dni w Herberge zur Heimat przy Alexanderplatz…

Często jeździliśmy autobusem na wycieczki bądź przejażdżki po Londynie albo po cudownych okolicach, pani Perła zawsze siedziała przede mną, a ja za nią… nadstawiała uszka, a ja, lekko zgarbiony, szeptałem jej te swoje głupoty, ulubione cytaty: „Może dawniej byłeś inny, lecz mnie wzrusza smutek oczu, twoje włosy, szklany dym…” albo „W noce z księżycem i gwiezdnym pyłem, Ja kiedyś piękny i młody byłem…”[2] Sierioży Jesienina… i jeszcze „Kilometry mgnień gdy jedyny cel to znaleźć pewną śmierć…” Éluarda… opowiadałem jej nawet jakieś dawno zapomniane historie z dzieciństwa i lat młodzieńczych… Pani Perła lekko potakiwała z zamkniętymi oczami, a ja, jak wszyscy piwosze, miałem odrobinę zachrypnięty, podziębiony głos, więc troszkę chrypiałem, ale naprawdę szło mi jak z płatka, bo to wszystko, co jej mówiłem, już dawno, dawno temu opowiedziałem samemu sobie. I zdarzyło się, że zgodnie z programem odwiedziliśmy „Timesa”, redakcję gazety, gdzie i mnie zaproszono. A kiedy wysiedliśmy z autobusu, ostatni pojawił się parasol, to szofer wysiadł z parasolką i zapytał: „Czyja to zguba?”. Po czym dodał z uśmiechem: „Aha, zakochana para?”. Wszyscy dziennikarze gapili się na nas, a moja piękna Madameken wróciła po parasolkę, ale wcale nie wyglądała na zawstydzoną, przeciwnie, powiedziała do nich: „No, zdarza się, nic nie poradzę”.

Tak więc odwiedziliśmy redakcję, dziennik „The Times”, jak powiedzieli dwaj wicenaczelni, jeden był specjalistą od Ameryki Południowej, a drugi od Afryki, przyjęli nas w biurze, ten mój wielbiciel, dyrektor i przewodniczący związku dziennikarzy, tłumaczył nasze pytania, obydwaj wyglądali jak piłkarze, którzy dopiero co zakończyli karierę, najdalej w ubiegłym sezonie, byli bardzo eleganccy, choć jak dla nas może zbyt staromodni, nosili krawaty i mieli włosy nasmarowane brylantyną, „Madameken – szepnąłem – gdybym ja miał takie włosy, to też wylałbym na nie flakonik brylantyny, ale, Madameken, coś sobie przypomniałem, czy

wie pani, skąd miałem forsę na wycieczkę do Londynu?”. A ona powiedziała czule: „Ośle dardanelski, a skąd mam wiedzieć?”. Szepnąłem więc, podczas gdy redaktor naczelny „Timesa” odpowiadał na pytania… „Za tę książeczkę, która nosi tytuł… *Perełka na dnie*”.

Potem słuchałem już tych redaktorów „Timesa”, tłumaczenia ich odpowiedzi na nasze pytania… „Ile u was zarabia redaktor?” A oni na to: „Dwieście funtów miesięcznie, ale nasza publicity jest anonimowa…”. A redaktor Mrnka wtrącił: „Całkiem jak u nas…”. A potem ta nasza kompania wstała z miejsc, zastępcy redaktora naczelnego „Timesa” uprzejmym gestem zaprosili nas do działu, który wyglądał jak montażownia, pracownicy trzymali w rękach nożyczki, a na stołach przed sobą mieli porozkładane i porozcinane egzemplarze gazet dosłownie z całego świata, pan Kolář byłby zachwycony, ale zastępcy redaktora naczelnego prowadzili nas jeszcze dalej i dalej, tam, skąd dobiegał szczęk nożyczek i gdzie piętrzyły się wycinki z gazet i czasopism chyba naprawdę z całego świata, ale ja musiałem wrócić do pierwszego pomieszczenia, bo moja Madameken zostawiła tam górę od swego kostiumiku dżersej, ledwo zdążyłem potem wślizgnąć się za wszystkimi do głównego magazynu wycinków niemal z całego świata, tej kwintesencji żurnalistyki, i stały tam ich całe rzędy na półkach chyboczących się regałów, podwieszonych do sufitu, kilkaset metrów regałów, obok stały drabiny na kółkach, a na nich, rozrzuceni to tu, to tam, po wszystkich piętrach mężczyźni w czarnych fartuchach, wkładali do właściwych rejestrów i działów wycinki ułożone w teczkach, to było coś niesamowitego, coś jak wtedy, gdy Orson Welles kręcił *Proces* Kafki i wynajął dworzec w Paryżu, dworzec główny, i posadził tam dwa tysiące dziewcząt, które stukały w maszyny do pisania, i w tak spektakularny sposób przedstawił wizytę Josefa K. u siostrzenicy… szeptałem to zza pleców mojej Madameken, ona zaś, gdy pierwszy raz wspomniałem o Kafce, odwróciła się do mnie i wreszcie spojrzała mi prosto w oczy… A jeden z tych zastępców redaktora naczelnego zapytał: „Czy któryś z panów napisał kiedyś artykuł do jakiejś amerykańskiej lub angielskiej gazety?”. A wtedy nasz przewodniczący wyszedł przed szereg

i ukłonił się… A czy może nam pan powiedzieć, kiedy to było i dla jakiej gazety? „Dla »New Herald Tribune«, napisałem ten artykuł 17 marca, gdy Wehrmacht zajął Pragę, byłem wtedy korespondentem…” Zastępca redaktora naczelnego „Timesa” zamienił kilka słów z mężczyzną w czarnym fartuchu, ten zaś, jakby pompował wodę, poruszył uchwytem, a wtedy cała ściana segregatorów odsunęła się, mężczyzna w zarękawkach z czystego sukna wbiegł po drabinie niemal pod sam sufit magazynu, ujrzeliśmy jego nogi, które zbiegły z firmamentu „Timesa” tak samo, jak nań wbiegły, i zobaczyliśmy, że miał zdarte obcasy, a po chwili czarny fartuch wręczył zastępcy naczelnego skoroszyt, a wtedy redaktor otworzył go i podsunął kierownikowi naszej wycieczki, będącemu jednocześnie tłumaczem naszej grupki dziennikarzy z Czechosłowacji… „Czy to pan był łaskaw napisać ten artykuł?”

„Tak, to był ten dzień, gdy wrogie wojska, gdy faszyści zajęli Pragę i cały kraj, z wyjątkiem Słowacji, która stała się samodzielnym państwem…” Zapadła cisza, tylko zastępcy redaktora naczelnego „Timesa” przełykali ślinę, zamknęli pewną epokę europejskiej historii, a w końcu rozbrzmiał głos redaktora Mrnki: „Całkiem jak u nas…”. A gdy wychodziliśmy, powiedziałem: „Madameken, zapomniała pani torebki, ale ja, osioł dardanelski, pilnuję jej, jakbym strzegł sekretu pani miłości… tylko ku czemu?”.

Z tą moją Madameken ustaliliśmy więc pewien rytuał, coś pomiędzy *manwantara*[3] i *pralaja*[4], pomiędzy czuwaniem i snem, między nocą i dniem, właściwie najlepiej nam było, ale co ja gadam, przecież to była udręka, wpatrywać się sobie w oczy, tak więc najlepiej nam było, gdy już się pożegnaliśmy i każde zniknęło za swoimi drzwiami, bo wtedy nasłuchiwaliśmy się i rozumieli nawzajem znacznie lepiej niż twarzą w twarz, prawdę mówiąc, w świecie widzialnym najlepiej nam wychodziła jazda autobusem, ona z przodu, ja z tyłu, chłonąłem jej zapach, jej upojną, kuszącą woń, tak jak chłonie się zapach kwiatów podczas ciepłej majowej nocy, a ona, pani redaktorka Perła, wiedziała o tym, będąc pod wrażeniem tej intymnej sytuacji… Tego, co jej się przytrafiło, podczas gdy ja, gdy

autobus hamował i gdy woń Murzynów, tych kierowców i konduktorów, których dziesiątki tysięcy przywędrowały z Martyniki i Mozambiku, oni wszyscy pachnieli tak samo jak moja Madameken, dlatego tak lubiłem Cyganki, gdy byłem młodszy, dlatego musiały u mnie nocować, ponieważ pachniały tym, co kobietę czyni kobietą, idą za tym rogacze i jelenie, i koty, i w końcu każdy facet, jeśli tylko jest mężczyzną. „Słyszała pani – powiedziałem mojej Madameken – że mołdawscy magnaci pojedynkowali się o piękne Cyganki?”

Tak więc naszą *love story* była ta jazda autobusem, było mi wszystko jedno, dokąd jedziemy, myślę, że moja Madameken też o to nie dbała, bo zawsze była wystrojona tak, jakbyśmy mieli pójść do najlepszego lokalu, jakby zaprosili nas na *party*, choć w rzeczywistości było jeszcze lepiej, jechaliśmy autobusem, ale dokąd? A co za różnica? Siedziałem za nią, a ona, w eleganckiej sukience, za każdym razem innej, siedziała przede mną, jakbym był jej przewodnikiem po obcych krajach i zaspokajał jej ciekawość… A ja dziwiłem się, jak to możliwe, że każde moje słowo wprawia tę piękną kobietę w zdumienie i zachwyt, zaskoczenie i szok, tak że z głową podpartą na ręce wpatrywała się w swoje kolana, mimowolnie zmiatając nieistniejące pyłki z sukienki, która napinała się na kolanach… tak, miała piękne ciało, ileż razy zerkałem na jej przyjaciół i kolegów z pracy, czy widzą, że towarzyszy nam taka piękność, ale było tak, jak na obrazach Paula Delvaux, które pokazałem jej potem bez słowa w Tate Gallery… tak, tamci mężczyźni rozmawiali na poważne tematy, mężczyźni z obrazów Paula Delvaux kroczyli dostojnie i wyliczali swoje dekalogi, swoje *tertium non datur*, podczas gdy przed nimi leżały, bądź mijały ich pięknie, nagie kobiety, stworzone do miłości, która łączy ziemię z niebem… no tak, ale ja zawsze byłem trochę barbarzyńcą, ja dla pięknej szyi, dla zapachu, który bezwstydnie bił od ciała prężącego się przede mną w rytmie autobusu i szlagierów Louisa Armstronga, zawsze byłem gotów zapomnieć o wszystkim… Nie wiedziałem wtedy, co robię, moje serce i mój mózg reagowały tylko na tę woń i upojenie, i to wszystko, co ukochała epoka nazywana secesją… Tamtego dnia, gdy wracaliśmy

autobusem z redakcji „Timesa”, gdy znów przemierzaliśmy Londyn wymyty do czysta przez rzęsistą ulewę, a ściany ciężarówek oszałamiały mnie feerią barw, krwistą czerwienią i zielenią, błękitem i żółcią, jakby ktoś przyszykował je na wystawę impresjonistycznych plakatów… świnek morskich… gdy na co dziesiątym autobusie czy tramwaju widniała tasiemcowa reklama jakiejś ubezpieczalni czy co to tam było, otóż ten napis brzmiał jak imperatyw, byłbym durniem, gdybym zignorował to poselstwo, to wezwanie… „Pearl of Assurance…” Tutaj co setna kamienica czy dom towarowy, czy pub miały „*pearl*” w nazwie… a ja siedziałem za panią Perłą, za moją Madameken, i chłonąłem wszystkie jej wonie, o których nic nie wiedziała, ponieważ była naiwna jak dziecko… więc gdy już nie miałem pojęcia, co począć z tą moją secesyjną żądzą, powiedziałem jej: „Madameken, kiedy pojedziemy do Oksfordu, wyrecytuję pani coś, czego pani nie zna i nawet nie może znać…”.

„Dałeś mi hiacynty rok temu pierwszy raz.
Nazywano mnie hiacyntową dziewczyną”.
– Ale gdy wracaliśmy, późno, z Hiacyntowego Ogrodu
I miałaś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już
Mówić i ćmiło mi się w oczach, i nie byłem
Żywy ani umarły. Nie wiedziałem nic,
Zapatrzony w serce światła, w ciszę.
Oed’ und leer das Meer[5].

Tak jej szeptałem jak zawodowy aktor, znałem to na pamięć od niepamiętnych czasów, szeptałem jej do ucha, dla zabicia czasu, ale także po to, by zdusić tę woń kwiatów oleandra i hibiskusa, ta woń wciąż biła od niej, podczas gdy jej szyja skłaniała się coraz niżej i niżej, jak we śnie, jak odjęta mieczem… Naraz Perła ocknęła się ze śmiertelnego letargu, jakby zmartwychwstała, odwróciła się do mnie i w zatłoczonym autobusie, który jeszcze nie ochłonął po wizycie w „Timesie”, odwróciła się do mnie i wyciągnęła ku mnie swoje pazurki, wyszczerzyła zęby i wytrzeszczyła oczy wielkie jak węgierki albo jak renklody, aż przekonałem się, jak przerażająca musiała być Madameken z wizji Dumasa w *Damie kameliowej*, przeląkłem się, cóż takiego zrobiłem mej hiacyntowej

dziewczynie, a tymczasem ona, moja Madameken, moja Perła na dnie, wrzasnęła na cały głos… „Ja pana zabiję, skończy pan tak, jak Louis Armstrong z tą swoją *Blueberry Hill*, bo ja, panie ośle, jestem córką rabina z Bratysławy… i ja też coś niecoś wiem…”.

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Za Budziejowicami

Za Budziejowicami dosiadła się nowa konduktorka, kiedy podałem jej bilet do Alpbach, zawołała: „O raju, jadę nie tym pociągiem!”. Ale zaraz się wyjaśniło, że to mnie wydali w Czedoku bilet w niewłaściwą stronę, więc choć zbliżałem się do granicy, to według biletu powinienem był dojeżdżać do Pragi.

Góry otaczające Alpbach są piękne jak byki. Miasteczko wyrosło wokół cmentarza, w centrum same luksusowe hotele w tyrolskim stylu, a za nimi, na okolicznych wzgórzach, gospodarstwa wiejskie. Nocą księżyc świeci nad lasem, a do tego jeszcze „20” z żarówek, ku czci dwudziestego sympozjum myśli europejskiej. Oświetlona wieża kościelna rzuca na niebo czarny, fantastyczny cień. Na księżycowych łąkach pasą się krowy, wielkie jak łaciate szafy, nawet kiedy ich nie widać, to słychać dzwonienie dzwonków. Pewnego razu na wzgórzu mgła była tak gęsta i piękna, że gdy do niej doszedłem, mogłem zanurzyć w niej rękę aż po łokieć.

Ale nie po to tam pojechałem, tylko żeby razem z innymi zaproszonymi gośćmi chodzić na wykłady i seminaria. A że na niczym konkretnym się nie znam, to zaliczyłem wszystkie wykłady jak leci i za każdym razem byłem na innym seminarium. Raz było to seminarium Akademii Chrześcijańskiej, potem znów „Abstrakcja i fantastyka w sztuce”, potem „Powojenna muzyka europejska”, potem znów „Materializm, idealizm, pozytywizm”, „Problematyka gospodarcza inflacji”, a wreszcie „Europa – Ameryka” i na koniec „Kwestie cybernetyczne w biologii i psychologii”. Tak więc w zasadzie groch z kapustą. Tylko że ja zostałem zaproszony do Alpbach jako człowiek, który sądzi, że pojawił się na tym świecie tylko po to, żeby zostać pisarzem. A te seminaria były nadzwyczajne, wszystkie bez wyjątku, raz na tarasie przed hotelem, innym razem pod rozłożystym drzewem, gdzie dolatywał szczęk kufli z pobliskiej gospody i zapachy kuchenne, chlupot

wody w błękitnym basenie i warkot silników. Czy wiecie, że miejscowi chłopi jeżdżą po siano volkswagenami, a grabie wystają im przy tym przez tylne okienka aut?

Mieszkałem z Francuzami w Inenhofie u jednego chłopa. Najpierw myślałem, że ma tam małe przedszkole, ale okazało się, że to wszystko jego dzieci. W każdym gospodarstwie mają przeciętnie ośmioro dzieci. Raz, kiedy gospodarz akurat strzygł owce, a zaraz potem ostrzygł dzieciarnię, poprosiłem, żeby i mnie opędzlował. Strzygł mnie w izbie, w której na ścianach wisiały fotografie trzech poległych młodych Tyrolczyków, podobnych jak krople wody do mojego fryzjera. Między te zdjęcia poutykali głowy zastrzelonych jeleni, a znów między porożami wisiało lustro. Lubiłem przejść się wieczorem wzdłuż wiejskich zabudowań, przez okna widziałem nakryte stoły, a za nimi te liczne jasnowłose rodziny. Co chwila wpadasz tu na ulicy na dziewoje, które wyglądają, jakby czesał je własnoręcznie sam mistrz Holbein. W ogródkach roi się od bujnych aksamitek, dalii, floksów. Na werandach lśnią wodospady krwistych pelargonii. Łąki strzygą tu wielkimi maszynkami do włosów. Do samej ziemi. Trawę suszą na stojakach albo na napiętych drutach. Na strychach upojna woń, jak w destylarni. Gdziekolwiek pójdziesz, tam bulgocze, szemrze, szumi woda. Powietrze można by łyżeczkami jeść. Każde domostwo ma fantastyczny piec chlebowy, piec z czarną japą. Każdy młyn w lesie straszy jak w niemieckiej bajce. Obchodziłem je z każdej strony, ale nie miałem odwagi do nich zajrzeć. Jeszcze bym od tego zemdlał. Stara wieśniaczka w kapeluszu wielgachnym jak słonecznik opowiedziała mi o grzybach trujących i grzybach leczących. A potem o tym, jak przychodzi fen i ludzie dostają kręćka, niektórzy nie mogą wytrzymać, wieszają się albo podcinają sobie gardła. Brrr! Ale co tam, idę przed siebie, na górę Wiedersberger. Chadzał tędy Ladislav Klíma, to tu napisał opowiadanie o Erato, jak to zniknęła na Jeleniej Głowie; filozof Ladislav Klíma, który znów pod Chlumcem jeździł automobilem jak z burleski, a potem mieszkał, pisał i uprawiał praktyczną filozofię w hotelu Piękno na Vysoczanach. Kończą się świerki i sosny, dalej droga prowadzi między krzakami

czarnych jagód. A potem wśród różaneczników. I pośród cynamonowych wrzosów. Siadam na występie. Wokół góry, lodowce, iskrzący śnieg. W Austrii największy plon z hektara osiągają z lodowców. Tylko w ubiegłym roku przyjechało tu trzydzieści dwa miliony cudzoziemców, żeby na własne oczy zobaczyć tę zamrożoną, zzieleniałą z zimna, zmarzniętą bryłę lodu. I gdzieś tutaj Klíma wykombinował tę swoją absolutnie dyrygującą wolę, swój ludibrionizm, na który dopiero teraz wpadł Beckett. Góry, po których chodził Zaratustra *alias* Fryderyk Nietzsche. I sam sobie zacytowałem Goethego: „*In allen Wipfeln* […] *Spürest du* / *Kaum einen Hauch*…”. Musiałem przysiąść, lecz w tej samej chwili poczułem, że coś zalewa mi palce, a po chwili już całą rękę, bałem się na to spojrzeć, pocieszałem się, że to tylko sen, *Tagträume*. Ale to była rzeczywistość, kto by pomyślał, że krowy pasą się na takich wyżynach?

Aż nadszedł ostatni dzień, dzień rachuby. W ostatniej dyskusji panelowej wzięli udział filozofowie Bloch, Feigl, Moser, Carnap. Nie zapomnę Carnapa, który na pytanie o swój pogląd na materializm, idealizm i pozytywizm powiedział, że wszyscy chcą od niego, by wskazał im swój *Standpunkt*, ale on niczego takiego nie ma, ponieważ kiedy obcuje z Niemcem, to mówi po niemiecku, a jak z Anglikiem, to po angielsku, a jak z Francuzem, to po francusku, i dokładnie tak samo, kiedy obcuje z materialistą, to sam jest materialistą, a jak z idealistą, to jest idealistą, a jak z pozytywistą, to pozytywistą… I tak samo ja, przybysz z Pragi, człowiek, który sądzi, że mógłby być pisarzem, pozornie przywiozłem stamtąd tylko kupę skorupek. Dowiedziałem się, że kiedy biskup umiera, to Kościół wdowieje, że Anton Webern przeczekał wojnę w piwnicy, a gdy jeszcze cały w sadzach wyszedł na spotkanie Amerykanom, to jeden z nich zastrzelił go przez pomyłkę, dowiedziałem się o istnieniu teorii nadziei i struktury oczekiwania, tego, że akurat wtedy, gdy Arthur Schopenhauer sformułował swoją myśl *„Alle Liebe ist Mitleid”*, nadeszła służąca i zawróciła mu głowę, więc zrzucił ją ze schodów i aż do śmierci musiał płacić jej rentę, nauczyłem się także, że dogmat to tradycja bez debaty i że Platon na starość miał już idei powyżej uszu, więc wrócił do zjawisk, do

tego, co w Indiach nazywają Maja, *Schleier des Truges*, ale największe wrażenie zrobiła na mnie wiadomość, że Strawiński i Schönberg mieszkali w tym samym mieście, przy tej samej ulicy, przez całe lata, ale nigdy się nie spotkali, za to gdy Schönberg umarł, to Strawiński był zdruzgotany, dowiedziałem się też, czym jest *Purifikationsfenomen*, i tak dalej… Wiadomości, które tworzą tekst mieszany…

A w ogóle to najbardziej ze wszystkiego w tym Alpbach spodobał mi się starszy pan, mężczyzna ze srebrną brodą i monoklem, który przybył z Italii, jak wiele razy przedtem, wcale nie po to, by nasycić się mądrymi myślami, tylko żeby przeflancować do świata filozofii idee Ezry Pounda, Jamesa Joyce'a i T. S. Eliota. Ten pan wnosił do seminariów i dyskusji taki chaos, jakby wybiegł goły prosto z sauny. Kilka razy zjedliśmy razem kolację. Mawiał o sobie, że jest „*advocatus diaboli*", że jest „*stinkende Person von Alpbach*", że zdobył zaszczytny tytuł „*Alpentrottel*". Lecz mimo to napisze jeszcze wielki poemat, w którym objawi wspólny mianownik filozofii Pounda, Joyce'a i Eliota. A kiedy tylko to powiedział, monokl wpadł mu do talerza, on zaś rozciął go nożem za jednym zamachem, razem ze sznyclem. Może naprawdę uda mu się ten wiersz, kto wie?

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Cud gospodarczy

Siedzę w knajpie w Monachium, dupiaste kelnerki roznoszą piwo w dzbanach, a do tego golonki, wątrobianki i kaszanki z kapustą, i czuję się jak u siebie w domu. Wokół te same cudowne, zachlane facjaty, bo i tu, w Monachium, dobrze wiedzą, że pragnienie wymaga starannej pielęgnacji, a jeśli komuś chlanie przeszkadza w robocie, to powinien rzucić ją w diabły, jak mawiał pewien poeta. Tak więc siedzę nad trzecim dzbankiem piwa, to już mój jedenasty dzień w krainie cudu gospodarczego, i myślę o młodziutkiej kelnerce z Bacharachu, która roznosiła wino w kieliszkach i beczała nad każdym kieliszkiem, a do tego jeszcze puszczała z szafy grającej… *Amore mio… Du bist mein süßer Engel*… i płakała wciąż bardziej i bardziej, bo jak mi się zwierzyła, jeszcze tego samego wieczora musi wrócić do domu, do Berlina, nie ma tu już dla niej zajęcia… I puszczała kolejną płytę, to grające ustrojstwo świeciło jak choinka i bezlitośnie wypominało jej utraconą miłość, a z dziewczęcych oczu płynęły już nie strumyczki, lecz dwa wodospady łez… *Ich hab dich einmal geküsst… Heute Nacht oder nie…* Siedzę więc w knajpie w Monachium i przez łzy tej młodziutkiej kelnerki nie widzę już cudu gospodarczego, choć podziwiam go od jedenastu dni.

Siedzę w ogromnej knajpie w Monachium, z piwnicy wytoczyli właśnie kolejną beczkę piwa, tysiące oczu patrzą, jak barman zakłada pipę, jedno uderzenie pałką i gotowe. *Frisch abgezapft!* Dyrygent podnosi batutę, a tyrolska orkiestra intonuje skoczną pieśń: *In München steht ein Hofbräuhaus, Eins, Zwei, G'suffal*… I wszyscy śpiewają, obejmują się wpół i kołyszą w rytm piosenki, w tę i we w tę. Ale ja nie mogę przestać myśleć o młodziutkiej kelnerce z Berlina i wciąż zadaję sobie pytanie, jaki obraz pomógłby mi o niej zapomnieć. I z początku tylko jako strzęp, a później bezbarwna powierzchnia, a wreszcie w całej okazałości objawiła mi się

olbrzymia mapa wszystkich połączeń kolejowych w Niemczech Zachodnich, ujrzałem wszystkie dworce i poczekalnie, zobaczyłem, że na każdym dworcu jest knajpa, a w każdej knajpie siedzą w grupkach po kilku, po kilkunastu Turcy, Grecy, Jugosłowianie i wieczorami wypatrują pociągów, którymi można dojechać do Reichu z ich krajów ojczystych. Tutaj, w monachijskiej knajpie, zobaczyłem tę autentyczną mapę z jej główną arterią, po której suną międzynarodowe ekspresy z tabliczkami na wagonach: Istanbul – Athen – Skopije – Belgrad – Ljubljana – Maribor – Salzburg – München – Stuttgart – Dortmund, i widziałem, jak za każdym razem wytarabaniają się z tych wagonów całe rodziny i pojedynczy przybysze, na których zawsze czeka jakaś stęskniona ferajna, zbieranina ludzi o podobnych rysach, familia, która tych, co właśnie przyjechali, zagarnia, obściskuje i zacałowuje na śmierć.

Siedzę więc w knajpie w Monachium i piję czwarty dzban piwa, przez sam środek lokalu zasuwa na rękach jakiś obywatel, któremu obcięli nogi w pachwinach tak akuratnie, że zamiast stóp używa dłoni, pijany sąsiad już drugi raz wylał piwo na stół, goście skaczą na równe nogi i wkurzeni strząsają z siebie tę piwną perfumerię, kelner w zielonym fartuchu podchodzi i bierze pijaka za fraki, w drzwiach obrotowych drugi kelner w takim samym fartuchu chwyta pijaka z drugiej strony i razem wyrzucają go przez drzwi z takim impetem, że widać tylko, jak facet fika giczołami, całkiem jak na płótnach Chagalla. Ja zaś odsuwam od siebie ten przepiękny obraz wszystkich niemieckich dworców, na których dwa i pół miliona tureckich i greckich, włoskich i jugosłowiańskich robotników wysiaduje co wieczór, by nie przegapić pociągu, którym mógłby nadjechać ktoś z ich rodzinnych stron, odsuwam od siebie ten obraz i myślę o pięknym dziele Muncha, które widziałem w Kolonii, o obrazie *Dziewczęta na moście*, na którym słońce jest tak wielkie i żółte jak słomkowy kapelusik jednej z dziewcząt, przypominam sobie wszystkie te cuda architektury, te ślimaki i obwodnice, mosty i autostrady, myślę o muzeach i przed oczami staje mi wystrugany drewniany Jezus na drewnianym osiołku, ten osiołek ze Stuttgartu stoi na drewnianej deseczce, a znów ta deseczka jest na

drewnianych kółeczkach, jak koń na biegunach, i myślę o tej uliczce w Hamburgu, tej z rozświetlonymi witrynami, za każdą witryną leży rozwalona naga kobieta i wszystkie one są na sprzedaż, myślę o tych wszystkich tysiącach tablic pamiątkowych przyśrubowanych po całych Niemczech na wszystkich gościńcach, w których spędził noc J. W. Goethe, myślę o tej tablicy w Heidelbergu, na karczmie Pod Złotym Szczupakiem, na której napisano: „*Hier möchte beinahe J. W. Goethe über Nacht bleiben*”, myślę o tym, jak jechałem nocą przez Zagłębie Ruhry i mijałem setki zakładów i fabryk, które świeciły się jak karuzele przy odpuście, i z tego wszystkiego przypominam sobie jeszcze wspaniałości Paryża, gdzie kobieta przed południem spaceruje nago po bulwarze i nikt nie zwraca na nią uwagi, myślę też o tym Amerykaninie, który na wiecznym ogniu przy grobie nieznanego żołnierza pod Łukiem Triumfalnym usmażył sobie na patelni jajecznicę z dwóch jaj, na bekonie, myślę tak sobie i wspominam, lecz żaden obraz nie zagłusza tej przepięknej wizji dworców z całych Niemiec, do których nie tylko pociągi pośpieszne, ale i osobowe codziennie przywożą do pracy wciąż nowych i nowych Turków, Greków i Jugosłowian, a każdego z nich niecierpliwie wypatruje gromadka krewnych, oni też niedawno przyjechali za pracą, gromadka krewnych, którzy co wieczór wyczekują stęsknieni wieści z ojczystego kraju i zapachów rodzinnych stron. Myślę teraz o tych milionach robotników, siedzę w knajpie w Monachium i doskonale rozumiem tę ich tęsknotę za domem, to *heimweh*, tę nostalgię, która niewidzialną żyłką przyciąga tureckie i greckie, włoskie i jugosłowiańskie serduszka na każdy dworzec, i wiem, że spotkają się na nim wszyscy w ten cudowny wieczór wigilijny, w wigilię Bożego Narodzenia, gdy przez niemieckie niebo przemkną srebrne jelonki, ciągnąc na sankach małego Jezuska. On każdego roku odwiedza leśną polanę, na której zwierzęta domowe, cały żywy inwentarz, zbierają się na znak dany przez jelenia świętego Huberta, a wtedy wszystkie istoty skarżą się na gospodarzy, którzy nie dość o nie dbali.

Siedzę w knajpie w Monachium, piję piąty dzban piwa i myślę o tym oceanie czarnookich robotników, którzy pomogli zbudować i wciąż budują

ten niemiecki cud gospodarczy… Siedzę i cichutko chichoczę.

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Z zapisków zapisywacza

Któregoś razu w Zurychu wpadłem na pomysł, by pokłonić się kolebce dada. Stałem więc na Spielgasse 1 z Michelinem otwartym na stronie 133, gdzie stoi jak byk, że Cabaret Voltaire powstał przy ulicy Spielgasse 1, czyli w domu, z którego chwilę wcześniej przegoniła mnie dozorczyni, bo szedłem ciemnym korytarzem z wyciągniętymi przed siebie rękoma i na końcu korytarza dotknąłem dłońmi czegoś wilgotnego… i to była twarz tej dozorczyni, która wybiegła za mną z wrzaskiem, że wybrudziłem jej świeżo umytą podłogę. Stoję więc teraz przed poprawionym błędem drukarskim, który wprawdzie ma pewien sens, to Spiegel-, a nie Spielgasse, i serce wali mi jak szalone. Musiałem się uspokoić tak, jak to robi pan Kubišta, szofer teatru S. K. Neumanna, który jak mu się w trasie zepsuła ciężarówka, uspokajał się tak, że najpierw długo siedział za kierownicą, potem zerkał złowrogo na swego forda z pewnej odległości, później starannie przetarł w aucie wszystkie szyby i dopiero wtedy dał radę zajrzeć pod maskę i sprawdzić, co się zrypało. Ja natomiast uspokajałem się w ten sposób, że najpierw przeszedłem się tą uliczką Lustrzaną, mijałem sklepiki z afrykańskimi fetyszami i maskami, minąłem zuryską szkołę nauki gry na gitarze, sklep z minerałami, postałem chwilę na placyku jak z obrazu Chirico, z fontanną, którą zamiast posągu zdobił kamienny zegar z cyferblatem na cztery strony świata, potem minąłem dom numer 12, gdzie na tablicy pamiątkowej napisano, że w tym domu zmarł Georg Büchner, a potem nie mogłem już iść dalej, ponieważ w sąsiedniej kamienicy na trzecim piętrze wybuchł pożar, dwa czerwone wozy strażackie wjechały w uliczkę Lustrzaną na styk, jak tłoki w walcu, i przez wybite okno lały wodę do płonącego mieszkania. Dom, w którym się paliło, miał numer 14, w suterenie jest restauracja Jakobsbrunnen i Cafe chez Leo oraz tablica

pamiątkowa, że od 21 lutego 1916 do 2 kwietnia 1917 roku mieszkał tu wódz rosyjskiej rewolucji, Lenin.

Wróciłem na ulicę Lustrzaną i wstąpiłem do Cabaret Domino pod numerem 1. Bar był oświetlony jak obwoźny ołtarz. Dwie barmanki czyściły kieliszki, na podium trzej muzycy, trzy zimorodki w jasnobłękitnych atłasowych frakach, przegrywali jakieś szlagiery przed wieczornym występem, „TRIO HAYES", głosił napis na bębnie, coś jak szwajcarski *Strahowiaczek* czy *Chałupki pod górami*. Łzy stanęły mi w oczach. A więc to tu się zaczęło, powiedziałem do siebie, a więc to tu dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności powstało dada, przez przypadek, jaki trafia się raz na sto lat i nie można go ani przewidzieć, ani wytłumaczyć, ponieważ to właśnie tu przed pięćdziesięciu laty zetknęły się mózgi elektryczne Balla, Janco, Arpa, Tzary, Huelsenbecka, Emmy Hennings… Wtem otworzyły się drzwi, wszedł przez nie kelner, a za nim dostrzegłem jeszcze jedno pomieszczenie i zaraz straciłem humor. Zaczepiłem kelnerkę: „Panienko, Cabaret Voltaire był tu… czy tam?". A ona na to: „*Was?*". Więc spytałem raz jeszcze, pokazywałem nie tylko tej kelnerce, ale także jej koleżance, a potem kelnerowi, a wreszcie Triu Hayes, ale żadne z nich nie umiało mi pomóc, w ogóle nie mieli pojęcia, o czym mówię. Zapłaciłem za swoje *Henningbier* i poszedłem prosto do „Zürcher Zeitung", do działu kultury, gdzie dali mi adres pana Petera Schifferliego, wydawcy serii Arche i Sanssouci, autora książek o dadaizmie. Siedziałem w pięknej willi, pośród kolekcji arystonów i kołowrotków wszelkich możliwych modeli i typów, a potem dostałem od pana Schifferliego pięć książek o dada, które wyszły w tych jego seriach.

Cabaret Voltaire rzeczywiście mieścił się przy Spiegelgasse 1, tylko że wchodziło się tam od głównej ulicy Zeltweg, trzeba zejść po schodkach, i nazywa się tak samo jak wtedy, Meierei, to holenderska knajpa z witrażami w oknach, łączy się je ołowiem, parę stolików, pod ścianami czerwone ławy, na ścianie końskie chomąto, a w nim lustro i papierowa róża. Kelner, który przyszedł z sali, gdzie wciąż jeszcze ćwiczyło TRIO HAYES, przyniósł mi Henningbier i wzdrygnął się, gdy powiedziałem mu,

że Cabaret Voltaire był właśnie tu, gdzie siedzę, tak stało czarno na białym w mojej książce. „Tak, panie starszy – powiedziałem – to właśnie tu przed pięćdziesięciu laty przyszedł Hugo Ball i poprosił właściciela Meierei: »Panie Epfreim, użycz mi pan tej sali, chciałbym tu urządzić kabaret«. I pan Epfreim się zgodził. Potem Hugo Ball przeszedł się po znajomych i wszędzie mówił tak: »Daj mi jakiś obraz, szkic, rycinę. Chcę połączyć kabaret z małą wystawą«. A potem Hugo Ball udał się do »Zürcher Presse« i powiedział: »Zróbcie małą notkę, że rusza międzynarodowy kabaret. Będą się tam działy cudowne rzeczy«”.

I tak 5 lutego 1916 roku, pośród futurystycznych plakatów i obrazów zainaugurował działalność Cabaret Voltaire, panna Hennings i panna Leconte śpiewały francuskie i duńskie szansony, pan Tzara recytował rumuńskie wiersze, orkiestra bałałajek grała rosyjskie pieśni ludowe i tańce. Kelner wzruszył ramionami i przyniósł mi kolejne piwo Hennings, a potem rozłożył gazetę i w dawnym Cabaret Voltaire zapadła cisza jak makiem zasiał, a przecież przed pięćdziesięciu laty w tej salce Huelsenbeck urządził czytanie poezji przy akompaniamencie afrykańskiego bębna, Tristan Tzara czytał swój wiersz i w nieskończoność szukał zakończenia po wszystkich kieszeniach, Huelsenbeck podczas recytacji wymachiwał na wszystkie strony hiszpańską laską, czemu towarzyszyły gra na bębnie, wrzaski, pomrukiwanie, piski i śmiech, co wprawiało w niezrozumiałą ekscytację nie tylko występujących, ale i publiczność. Tutaj czytano wiersze w czarnych habitach, tu Janco zrobił maski, w których lepiej wzlatywały słowa wyzwolone Marinettiego. Tu wymyślono słowo „DADA” i po dziś dzień nie wiadomo, kto je wymyślił. Hans Arp twierdził, że pierwszy użył go Tristan Tzara 8 lutego 1916 roku o szóstej wieczorem w Cafe Terasse, w której według Lacota Tzara grywał w szachy z Leninem, Huelsenbeck twierdzi, że na to słowo wpadli przypadkiem z Hugo Ballem, gdy szukali w słowniku niemiecko-francuskim pseudonimu dla pani Le Roy, śpiewaczki Cabaret Voltaire, którym kierowało pięciu przyjaciół, nigdy nie mieli wspólnego zdania w żadnej sprawie, raz Arp dogadywał się z Huelsenbeckiem przeciwko Tzarze i wydawało się, że są nierozłączni, to znów Janco

z Arpem zawierali żelazne przymierze przeciwko Huelsenbeckowi, a potem znów Huelsenbeck z Tzarą przeciwko Arpowi i tak w kółko, te ich światopoglądowe konstelacje wciąż się zmieniały, jak przegrupowują się molekuły materii, by uzyskać najpiękniejszy kształt.

No i w tej holenderskiej gospodzie Meierei zaczęło mi świtać, gdy tak przez całe popołudnie wertowałem podarowane książki, że w kontrze do filozoficznego, naiwnego dadaizmu niemieckich członków grupy stanęła francuska linia Tristana Tzary, który pierwszy pojął, jaki potencjał ma słowo „DADA", i zaczął bombardować Włochy i Paryż niebywałą ilością listów, w których przedstawił nowatorską estetykę dadaizmu, owej permanentnej rewolucji w sztuce, gdzie przestała obowiązywać estetyka sądów apriorycznych, a każde dzieło można było zinterpretować jedynie *a posteriori*, gdy z inicjatywy Tristana Tzary już 30 marca 1916 roku w Cabaret Voltaire po raz pierwszy w dziejach przedstawiono poemat symultaniczny *Admirał szuka domu do wynajęcia* w wykonaniu panów Tzary, Janco i Huelsenbecka, gdy Hugo Ball 23 czerwca 1916 roku wygłosił swoje słynne wiersze bez słów, przebrany za pomnik, mając na sobie jedynie papierowe spodnie, ogromny kołnierz z kartonu, oklejony złotem i szkarłatem oraz szpiczasty, jasnobłękitny kapelusz czarnoksiężnika… *Gadji beri bimba glandridi lauli lonni cadori gadjama bim beri glassala*… Następnie 14 lipca 1916 roku Huelsenbeck zaskoczył wszystkich cyklem wierszy *Modlitwy fantastyczne*, a także poematem *Schalabenschalabai-schalamezomai*, lecz jeszcze tego samego dnia Tzara odpowiedział manifestem *La première aventure céleste de Monsieur Antipyrine*, po czym dał nura w podziemny strumyk czasu i wypłynął z dadaistyczną, zieloną gałązką w ustach w Paryżu, gdzie przekazał pałeczkę André Bretonowi, który powitał go jak Mesjasza. Hans Richter w swoich *Profilach dadaistów* powiada o Tristanie Tzarze, że był nie tylko wielkim poetą, ale także praktykiem i bankierem ruchu. Nie na darmo Tzara nazywał się Rosenstock. Gdy podczas wieczoru dada w Kaufleuten – opowiada Richter – tańce i recytacje przerodziły się w dziką bijatykę,

zaniepokojeni koledzy odnaleźli Tzarę pod knajpą, gdzie z niewzruszoną miną przeliczał pieniądze, które zainkasował tego wieczora…

Tak więc siedziałem w Meierei, w holenderskiej restauracji, w której zaczęły się dada i Cabaret Voltaire, nigdzie nie było ani śladu… a jednak! Kiedy zerknąłem na tackę do piwa, ujrzałem zwiniętą w kłębek reklamę Henningbier, reklamę piwa, które piłem przez całe popołudnie, słowo, które skrywało w sobie nazwisko gwiazdy, tancerki i śpiewaczki, kochanki Hugo Balla… Emmy Hennings. I od tej pory piłem jasne piwo na cześć tej ślicznotki, a z książek dowiedziałem się, że dada to był krzyk młodych ludzi, którzy absurdowi pierwszej wojny światowej przeciwstawili poetykę skandalu, prowokacji, sprzeciwu wobec tak zwanego zdrowego rozsądku, moralności, reguł i praw, które bez cienia wstydu w imię wzniosłych słów pognały ludzkość na bagnety, dowiedziałem się, że dada było apelem o wolność jednostki, a zarazem apelem o wyzwolenie ludów, o nienaruszalne ludzkie prawa, które służą człowiekowi, doczytałem się, że dada było protestem przeciwko kulturze, odrzuceniem świata uprzedmiotowionego, że dada zaczęło się od słów wyzwolonych Marinettiego, a także wierszy symultanicznych i bruitystycznych koncertów, podczas których głosom ludzkim towarzyszył akompaniament maszyn do pisania, bębnów, dziecięcej taczki i dekli, że dadaiści wiedzieli, że świat systemów wali się w gruzy i że nadchodzi wyprzedaż filozofii bez Boga, i że dadaiści to dzieciątka nowej ery, gdy tymczasem niedaleko Cabaret Voltaire, tuż za rogiem, mieszkał Lenin, który – jak wspominała Emmy Hennings – „oczywiście nie miał czasu wpaść na nasze przedstawienie. Nie mógł nie słyszeć naszych bruitystycznych koncertów, ale najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia. Widywaliśmy go każdego dnia, jak idzie naszą ulicą z niewzruszonym, kamiennym czołem i teczką pod pachą. Nocą, gdy wracaliśmy do domu, w jego oknie paliło się światło”. Z tych książek pana Schlifferi dowiedziałem się, że Hugo Ball zapisał w swoim dzienniku: „7.06 Magadi 1917: Szczególna koincydencja. Podczas gdy my mieliśmy swój Cabaret przy Spiegelgasse 1, naprzeciwko nas, pod numerem 6, jeśli się nie mylę, mieszkał pan Uljanow – Lenin.

Z pewnością co wieczór słyszał nasze tyrady i muzykę, nie wiem jednak, czy mu przypadły do gustu. I podczas gdy my w alei Dworcowej otworzyliśmy galerię, Rosjanie wyruszyli do Piotrogrodu, by postawić rewolucję na nogi. Czy dadaizm jako znak i gest jest kontrapunktem bolszewizmu? Ciekawie byłoby obserwować, co wydarzy się tam, a co tu". Siedziałem, piłem duże jasne na cześć Emmy Hennings, gwiazdy kabaretu Voltaire, i czytałem o tym, że Tristan Tzara i jego przyjaciele powitali rewolucję październikową jako śmiertelny cios wymierzony wojnie.

Potem dyskretnie zapłaciłem i wyszedłem ze światła żarówek na szwajcarskie słońce, szedłem nabrzeżem Limmatu, karmiłem łabędzie, usiadłem na ławce, na której siadywał James Joyce, bo i on przed pięćdziesięciu laty wysadził tu w powietrze nie drzwi, lecz wrota światowego formatu swoim *Ulissesem*, słuchałem rozmów emerytów, którzy wściekali się i spierali, czy to dobrze, że w Szwajcarii księża święcą nie tylko wiernych, ale każdą publiczną rzecz, więc któregoś razu w Locarno zdarzyło się, że pewien obywatel się utopił, bo ksiądz nie zdążył poświęcić łodzi ratunkowej, a zatem nie nadawała się do pełnienia swojej publicznej funkcji. Dowiedziałem się jednak, że w Szwajcarii prawdziwą grozą wieje na Przełęczy Świętego Gotarda, gdzie szosa przebiega przez lodowiec, a obsługują ją i kierują na niej ruchem ze śmigłowców, z północy Europy na południe i z powrotem jeżdżą tamtędy setki tysięcy aut i co chwila jakiś kierowca z nizin, gdy tylko zerknie w dół na te przerażające zbocza, nie jest w stanie dalej prowadzić, więc policjanci muszą siadać za kółkiem i zwozić na dół całe rodziny. Spacerowałem potem przy zachodzącym słońcu, w kawiarnianych ogródkach siedzieli kochankowie, zgodnie z francuską modą, gruchali jak gołąbki i wcinali lody, potem szedłem aleją Dworcową, gdzie działała Galeria Dada, zatrzymałem się przed olbrzymim domem towarowym Globus, gdzie z neonów i zdjęć pod ogromnym szyldem „Rekordy Rekordy" dowiedziałem się, że rekord w podawaniu ręki należy do Theodore'a Roosevelta, który w Nowy Rok 1907 w Białym Domu przywitał się osobiście z 8513 osobami, dowiedziałem się, że najdłuższa nazwa miejscowa w Walii,

Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwllllantysiliogogogoch, ma 58 głosek, że największy hotel na świecie to Conrad Hilton Hotel, Michigan Avenue w Chicago, 3000 pokojów, 2000 pracowników, że najwęższa restauracja na świecie to Die Groene Lanteerne, Amsterdam, 128 centymetrów szerokości, że Johann Ketzler z Niemiec w roku 1880 w ciągu 42 dni zjadł całego pieczonego wołu, że najdłuższy bar na świecie jest w restauracji na torze wyścigowym w Birmingham, 100,58 m, z czego na jednej prostej 68,18 m, że Beduini na weselu serwują pieczonego wielbłąda, którego przyrządza się tak: najpierw trzeba zapiec jajka w rybie, te ryby w kurczakach, te kurczaki znów w jagniętach i dopiero tymi jagniętami nadziewa się rozpłatanego wielbłąda, którego oczywiście też trzeba jeszcze upiec.

Otworzyłem książkę i w blasku tego domu towarowego odczytałem następujące zdanie Richarda Huelsenbecka: „…my, dadaiści, wszyscy bez wyjątku byliśmy misjonarzami. Byliśmy forpocztą nieskończoności. Byliśmy dziećmi gwiazd”.

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Pewnego dnia

Pewnego dnia wpadłem na pomysł, że odwiedzę wszystkie domy, w których mieszkał James Joyce – a Joyce zmieniał mieszkania jak rękawiczki. Co prawda tylko na fasadzie domu przy Universitätstrasse 38 wisiała tablica pamiątkowa: „Tu mieszkał od stycznia do października 1918 roku James Joyce", ale i tak we wszystkich pozostałych miejscach związanych ze słynnym Dublińczykiem więcej dowiedziałbym się o tym genialnym pisarzu z haseł reklamowych. I tak na pierwszym domu był taki napis: „OKULARY – OPTYK". A na drugim: „MOŻESZ NAM ZAUFAĆ. NIEUSUWALNY RÓŻ". Na trzecim: „VILA FORTUNA – KLINIKA DLA PAŃ". Na czwartym: „TEA ROOM MALORCA". Na piątym: „FRYZJER DLA PSÓW CARINA – RASOWE PUDLE". Na szóstym: „PRODUKTY MLECZNE". Na siódmym: „AUTO RENAULT ROVER 2000…". Potem nie pragnąłem już niczego więcej, jak tylko zobaczyć ostatni adres Jamesa Joyce'a, a mianowicie miejsce, w którym pogrzebano doczesne szczątki poety. Fritz Senn, znawca i badacz dzieła Joyce'a z Zurychu, powiedział mi, że ten ostatni adres to Friedhof Fluntern, dawny cmentarz dla biedaków. Tak więc późnym popołudniem wybraliśmy się do restauracji Rigblick. Szliśmy przez ogrody, coraz wyżej i wyżej. Najpierw zdawało mi się, że widzę kapliczkę, tam pod kępą samotnych drzew, ale to był tylko skromny pomnik, a zarazem grób Georga Büchnera, co to przywędrował do Zurychu z Darmstadt i dał rewolucji serce, biedakom pokój, pałacom wojnę, a ludom wyklętym współczucie, i zmarł 19 stycznia 1837 roku. „*Ein unvollender Lied sinkt er ins Grab, der Verse schönsten nimmt er mit hinab*". Fritz Senn powiedział mi, że kiedyś był tutaj cmentarz, ale wszystkie groby przeniesiono, został tylko ten jeden, po protestach studentów. Później droga poprowadziła nas jeszcze wyżej, w las; poniżej, po skosie, widzieliśmy miasto nad jeziorem, w samym środku parków i ogrodów. W oddali wznosił

się Matterhorn, blady jak lody cytrynowe. Dalej napis na murze „ZOO 300 m”, potem restauracja Morgensonne. A wreszcie Friedhof Fluntern. Wszystkie groby były do siebie podobne jak domki robotników na przedmieściach, ziemię święconą porastały barwinek i bluszcz. Fritz Senn rozgarniał gałązki i liście, żeby odczytać napisy na nagrobkach, poukładanych poziomo jak płyty chodnikowe. Ściemniało się już, gdy znalazł grób z tablicą: „NORA JOYCE 1884–1951”. Matterhorn poróżowiał i w dolinie rozbłysły światła miasta, a na jeziorze statki wycieczkowe. W ciemnościach, na końcu kwartału męskiego Fritz Senn ogłosił, że jesteśmy na miejscu. Przyklęknąłem i odgarnąwszy woskowe liście bluszczu i barwinka, chuchnąłem na kamienną tablicę, która przypominała kałużę albo wgłębienie z wodą, a potem opuszkami palców dotknąłem wyrytych ostrym dłutem liter, które w moim mózgu połączyły się w komunikat:

JAMES JOYCE
1882–1941

W drodze powrotnej Fritz Senn opowiedział mi, że Joyce zmarł na skutek błędnej diagnozy, zresztą wkrótce umrze przez nią jeszcze raz, a to za sprawą swoich krewnych, którzy zamierzają ekshumować Norę i Jamesa i przenieść ich szczątki do wspaniałego grobowca ze złotymi literami i napisami. Poczułem, że ktoś wyjada mi łyżeczką mózg. Ale tymczasem w mieście rozpoczęły się już obchody sześćsetnej, czy nawet sześćset którejś rocznicy ustanowienia republiki szwajcarskiej, w delikatesach rozlepiono plakaty: „*Zur Bundesfeier St.Gallen-Bratwurst, extra gross, per Stuck 1,20*”, a po jeziorze błąkały się popychane przez łagodny wietrzyk dziesiątki tysięcy maleńkich czerwonych łódeczek z papieru woskowego, ze świeczkami zamiast masztów, a nad ulicami mieszały się woń jeziora oraz narkotyczny zapach spalin i benzyny, neonowe slogany i loga firmowe tworzyły mieszany tekst, a zdania same wyskakiwały z dadaistycznego kapelusza. DOM NA WIETRZE STÜSSI – COCA-COLA – KWIATY

W NAJDALSZE ZAKĄTKI GLOBU DOSTARCZY INTERFLORA – LODÓWKA SYBIR DLA KAŻDEGO – Z RÓŻOWEJ APTEKI – SAUNA – CAFE BAR TU I TAM – ORNAMENT BEZ ORNAMENTU? – PUSZKIN TYLKO DLA PRAWDZIWYCH MĘŻCZYZN – SZLIFIERNIA BRYLANTÓW… A znów spod dachu wieżowca na głównym placu płynęły, wyciekały wiadomości świetlne – - – W USA ROSNĄ CENY ŻYWNOŚCI – - – WITAMINA B NAJLEPSZA NA NERWY – - – PEKIN: KOMUNISTYCZNE CHINY OSKARŻAJĄ ZSRR O ZDRADĘ – - – WITAMINA B NAJLEPSZA NA NERWY – - – ZAKŁADY W TURYNIE ZATRUDNIAJĄ 125 000 ROBOTNIKÓW I PRACOWNIKÓW BIUROWYCH – - – 350 000 WIDZÓW NA REKORDOWYM NÜRBURGRINGU – - – WITAMINA B NAJLEPSZA NA NERWY – - – MECZ O WSZYSTKO PODCZAS MISTRZOSTW ŚWIATA W PIŁCE NOŻNEJ: ARGENTYNA – PARAGWAJ 3 : 0 – - – podczas gdy nad miastem, tam na cmentarzu, wśród barwinka i bluszczu, skrywała się jeszcze taka informacja:

JAMES JOYCE 1882–1941

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Ja i Semafor

To już dwadzieścia lat z okładem, jak zaprosili nas do Wiednia na premierę *Pociągów pod specjalnym nadzorem*. Nadia Urbánková wyjechała przed nami, ja i reżyser Jiří Menzel ruszyliśmy za nią trabantem. Jirka dorabiał wtedy jako reżyser w Semaforze, więc w głowie miał tylko panów Suchego i Šlitra i przez całą drogę opowiedział mi wszystkie dowcipy i wszystkie skecze, i nawet zaśpiewał mi wszystkie piosenki z ich repertuaru. W Wiedniu zatrzymaliśmy się tam, gdzie Nadia, a potem spędziliśmy noc w hotelu na koszt dystrybutora filmu, ale trzeciego dnia, choć *Pociągi…* cieszyły się wzięciem, menedżerka powiedziała nam, że nazajutrz musimy opuścić hotel, bo ona nie ma już kasy na nasz pobyt, albo więc znajdziemy sobie coś sami, albo będziemy musieli wrócić do domu.

Spuściliśmy nosy na kwintę, w końcu zaprosiłem przyjaciół do Café Hawelka, żeby poprawić im nastrój, a potem poszliśmy do hotelu Am Graben, gdzie przeczytaliśmy na tablicy pamiątkowej, że ów hotel wielokrotnie gościł w swoich progach Franza Kafkę i Maxa Broda, ale to wcale nie poprawiło im nastroju. Poszliśmy więc na spacer po Wiedniu.

Kilka placów dalej gapiliśmy się wraz z innymi, jak młody oficer sprężystym krokiem prowadzi na zamek gwardzistów w galowych mundurach. No, bomba. Tylko że w pewnej chwili jakaś ślicznotka w kostiumie kąpielowym i czerwonych kozaczkach, a do tego jeszcze z wielkim czako z kokardą na głowie zabiegła im drogę i teraz to ona prowadziła gwardzistów, a nie oficer, ta modelka z szarfą na biuście, na której miała wypisane hasło reklamowe, teraz to ona salutowała i pozdrawiała gapiów, nie pozwalając się odpędzić oficerowi, a młody kamerzysta szedł rakiem tuż przed nią i kręcił wszystko jak leci. I to była Olinka Schoberová. Oczywiście poszliśmy za gwardzistami, a gdy młody dżentelmen odłożył kamerę, Olinka wyrwała się z tego wojskowego

konduktu, nadjechał mercedes i szofer podał jej futro, bo to był dopiero kwiecień. Ach, gdyby panowie Suchý i Šlitr mogli zobaczyć, co nastąpiło później, toby dopiero mieli ubaw! Nadia i Olinka padły sobie w ramiona, a ile przy tym było śmiechu, pisku i radości! Olinka przedstawiła nas młodzieńcowi z kamerą, to był jej menedżer i przyjaciel, facet zaprosił nas do mercedesa, żeby Olinka mogła się ogrzać, a potem ruszyliśmy ulicami Wiednia, Nadia i Olinka zaczęły śpiewać piosenki Semafora, a Jiří Menzel im wtórował i na dodatek sypał żartami i skeczami, bo przecież był reżyserem w Semaforze, więc po chwili to już nie był mercedes, tylko Semafor na kółkach. A gdy Olinka zapytała, gdzie mieszkamy, a my odparliśmy, że nigdzie, bo nasza menedżerka zostawiła nas na lodzie, Olinka przylgnęła do swego przyjaciela jak kociak i po chwili powiedziała nam, że już mamy gdzie spać. I tak wśród piosenek i skeczy z teatru Semafor pojechaliśmy do hotelu Europa, z najwyższej półki. Dżentelmen pobiegł do recepcji, po chwili wrócił i powiedział, że mamy zamówiony nocleg.

Aha, i zawiózł nas jeszcze do naszego hotelu, szybko się pożegnał, bo śpieszyli się z Olinką na konferencję prasową, Olinka zawołała, że wpadnie z samego rana i pojedzie z nami do Pragi, razem ze swym przyjacielem.

Zanieśliśmy więc rzeczy na dół, Jiří Menzel przyprowadził trabanta i pojechaliśmy do tego hotelu Europa. Trabant był taki brudny, że cokolwiek było widać tylko przez przednią szybę, tam, gdzie sięgały wycieraczki i utworzyły coś w rodzaju wielkiej lunety, taki wachlarz. A kiedy tylko zajechaliśmy na miejsce, wybiegła pokojówka i trzech boyów hotelowych. Jiří otworzył bagażnik i wręczył pokojówce taki kuferek, co to dawniej nosiły je babki położne albo maszyniści, taki na drugie śniadanie i obiad, Nadia przerzuciła jej przez nadstawiony łokieć swoją turkusową koszulkę nocną, boye chwycili nasze dwie walizki i weszliśmy po schodach do luksusowej recepcji. A potem wjechaliśmy windą na dziesiąte piętro, recepcjonista osobiście zaprowadził nas do apartamentu, w którym ostatnio zatrzymał się afrykański premier ze swoją strażą przyboczną.

Gdy tylko stanęliśmy pośrodku olbrzymiego pokoju, Jiří Menzel wpadł w taki zachwyt, że złapał Nadię na ręce jak pannę młodą i biegał z nią z pokoju do pokoju, z jednej łazienki do drugiej. Obydwoje śpiewali przy tym piosenki i przekrzykiwali się ripostami, które napisali panowie Suchý i Šlitr, wszyscy byliśmy w siódmym niebie, w poetyckiej euforii z powodu tego szczęścia, które nas spotkało, Jiří odkręcił kurki w dwóch łazienkach naraz, i tylko ja gapiłem się na nich, i jakoś zmarkotniałem, bo nie znałem na pamięć ani jednej piosenki Semafora, a przecież chętnie, z rozkoszą bym jakąś zaśpiewał, tak jak moi przyjaciele, których głosy dobiegały z łazienek. I tak spędzaliśmy czas w hotelu Europa, mieszkaliśmy tam jak paniska, całkiem jak afrykański premier Czombe, który był tam przed nami ze swoją strażą przyboczną. Ależby się ucieszyli panowie Suchý i Šlitr, gdyby wiedzieli, że teatr Semafor zmartwychwstał w Wiedniu.

Rano zjedliśmy śniadanie w restauracji z najwyższej półki, przyszła Olinka Schoberová i z jej pomocą wtrząchnęliśmy parę koszyczków chrupiących wiedeńskich rogalików i kajzerek, dziewczęta były jeszcze zaróżowione od snu, wyglądały, jakby dopiero co chlapały się pod hydrantem. Nadia ni z tego, ni z owego zaśpiewała tym swoim demonicznym altem: „Mój piekarz bułki piecze, więc zaniedbuje mnie!”. A przy tym tak waliła do taktu pięścią w stół, aż odsunęła się pluszowa kotara, zza której wyglądali kelnerzy, nie mogli pojąć, skąd taki apetyt u młodych kobiet, nie mogli zrozumieć, jak mogą śpiewać z pełnymi ustami, na dodatek piosenki, które wpadały w ucho, choć nie znali ich autorów. I tylko ja wiedziałem, że słów tej piosenki o piekarzu nie napisał pan Suchý i że melodii nie skomponował pan Šlitr… Potem zeszliśmy powoli po schodach hotelu Europa, na dole czekał już na nas mercedes, pokojówka zniosła walizeczkę Nadii i tę jej turkusową koszulkę nocną, dwaj boye hotelowi znieśli w palcach nasze dwie walizki, Jiří Menzel otworzył bagażnik swojego trabanta, pokojówka starannie ułożyła tam damską turkusową koszulkę i bagaże wzięte od boyów, kelnerzy ustawili się na schodach niczym nasza straż przyboczna, uśmiechali się przy tym,

pokojówka dygnęła i wbiegła po schodach, stali więc teraz w szeregu ci nasi hotelowi przyjaciele, nie odrywając wzroku od mercedesa i od naszego trabanta. Przyjaciel Olinki powiedział, że pojedzie przodem i wyprowadzi nas na autostradę, a dziewczęta zaczęły śpiewać piosenki Semafora, potem wsiedliśmy do samochodów, mercedes ruszył, Jiří Menzel otworzył okno, pomachaliśmy na pożegnanie kłaniającemu się personelowi i przy wtórze piosenek, do których teksty napisał pan Jiří Suchý, a muzykę ułożył Jiří Šlitr, ruszyliśmy w drogę, a moi przyjaciele uderzali jak w bęben w plastikowe ściany i drzwi auta, które było zabłocone od kół aż po sam dach.

I tak biedni, ale zadbani, przy wtórze piosenek, wśród wesela i swawoli, w duchu poezji, pod znakiem poetyzmu, wyjeżdżaliśmy z Wiednia, gdzie wprawdzie ukazaliśmy praską kulturę z najlepszej strony, ale też właśnie tam uświadomiłem sobie, że się starzeję, że tak naprawdę już jestem stary. No i co? Szeptałem sobie wiersze Sierioży Jesienina:

Znów do rodzinnych wrócę stron,
Cudzą radością się ucieszę,
W zielony pod oknami zmierzch,
Na swym rękawie się powieszę.

W Kersku, w styczniu 1989

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Czy na darmo jeździłem po świecie?

Co mi dały podróże po świecie, podglądanie świata? Uświadomiłem sobie niedawno, że w wielkim świecie zawsze myślałem tylko o tym, co powinienem zrobić, kiedy już wrócę do domu. Dlatego w miarę możliwości odwiedzałem nie tylko wszystkie knajpy, ale przede wszystkim galerie i wystawy, wszystkie te cuda architektury sakralnej i świeckiej, które znamy z Pragi i które Pragę czynią Pragą. Ja zresztą do literatury trafiłem przez sztuki plastyczne i nadzwyczajne spotkania, teraz to wiem. Kiedy włączę projektor wspomnień, mogę urządzić sobie seans obrazkowy.

W Nowym Jorku, w samym środku miasta, wchodzę prosto z ulicy do pokoiku w Galerii Sztuk Plastycznych. Mają tam kilka prac Pollocka, dla mnie to kulminacja światowego malarstwa. Dwa wielkie płótna, jedno w tonacji błękitnej, drugie w złotej, z daleka przypominają obrazy jesieni Moneta. Dopiero z bliska widać, na czym polega technika Pollocka, który rozbryzgiwał farbę na płótnie i rzucał na nie także wszystko to, co akurat walało się w atelier: pinezki, igły, szpilki, tubki, włosy, niedopałki, a wreszcie, niczym kotły w *Symfonii losu*, zostawiał wyraźny odcisk dłoni. Ogólne wrażenie jest tak nadzwyczajne, wstrząsające i upajające, że na wszelki wypadek umieścili tam krzesła, więc na jednym sobie klapnąłem.

Chodzę po Paryżu i wciągam to wolne powietrze, bo w Paryżu czuć wolność, ledwo się wyjdzie z dworca. Pędzę do pokoiku z artefaktami Chagalla, bo jest tam obraz, który nie pozwala mi zasnąć. *À ma femme*, malował go przez dziesięć lat, obraz w bukiecie, na którym poeta obejmuje ukochaną, a ona ma szyję długą jak u pięknego łabędzia. Są na tym obrazie sceny z życia Żydów, tych nawiedzonych chasydów, którzy pomimo wszelkich niedoli cieszą się życiem, tę radość uosabia wesoły skrzypek, który skocznie przygrywa do każdej biedy. Być na dnie, lecz mimo to radośnie patrzeć w górę.

W Paryżu, tak jak w Nowym Jorku przed Pollockiem, też stoi kanapka, na którą można wskoczyć i tymi obrazami wylizać sobie pokiereszowane łapy.

Siedzę w Café de la Paix i wzdycham: „Ach, ileż bym teraz dał za szklankę pilznera!”. A ponieważ w Café de la Paix spełniają się wszystkie życzenia, *garson* podwija rękaw, zerka na zegarek i mówi po czesku: „No dobra, kończę o trzeciej, tu za rogiem, U Luizy, mamy czeską knajpę z orkiestrą dętą i pilznerem, może pan pójść ze mną”.

Berlin Zachodni. Stoję na cmentarzu, z lotniska Tempelhof startują te ogromne, podrasowane boeingi 828, silniki grzmią między domami z taką mocą, że jakiejś kobiecinie podmuch wyrywa konewkę z dłoni. A znów w galerii starożytny Egipt, złote popiersie Nefretete, której uśmiechnięta twarz tak bardzo przypomina Audrey Hepburn, ten widok łamie serce i mózgownicę. Jej nakrycie głowy w kształcie rozszerzającego się do góry stożka zajmuje dokładnie dwie trzecie popiersia, a tylko jedną trzecią jej twarz, którą każdy zapamięta do końca życia. W Berlinie jest też taki pagórek, a na nim planetarium, a kiedy spadnie śnieg, dzieci z całej okolicy zjeżdżają z niego na sankach. Ale to nie jest zwykły pagórek, inaczej pan na niego spojrzy, tak jak ja spojrzałem, gdy dowiedziałem się, że to wzgórze składa się z ruin ulic i domów, zwiezionych tu po bombardowaniach z czasów drugiej wojny światowej. A zatem to jest nie tylko góra cegieł i tynku, lecz także ludzkich kości, westchnień i jęków, tak samo jak stutysięczne stadiony w Lipsku i Warszawie. Stadion Wojska Polskiego, na którym – podczas gdy usta krzyczą gol! – nogi kibiców tupią po murach i kościach zrozpaczonych mieszkańców, którym Niemcy spalili Warszawę, a przede wszystkim getto – został po nim tylko jeden budynek.

A w Budapeszcie nokaut, El Greco, jego *Ogród Getsemani*, szaty unoszą się w mistycznej jedni, jakby były utkane z delikatnie wyklepanej blachy, a potem znów odpoczynek w Hortobágyer Csárda, gdzie puszta drga w wiosennym powietrzu, a jak okiem sięgnąć kwitną miliony drobnych białych kwiatuszków, puszta drży na wietrze jak wielka schnąca firanka, że nic, tylko łykać to piękno.

Z Tate Gallery moglibyśmy nie wyjść nawet przez trzy dni, podziwialibyśmy dzieła Turnera, artysty, który na początku ubiegłego wieku malował tylko i wyłącznie mgłę, ale czynił to tak, że położył kamień węgielny pod impresjonizm i późne obrazy Josefa Šímy, który z kolei maluje tylko i wyłącznie powietrze, jakby się bał, że oślepnie, a spośród wszystkich kształtów, które łączą go z tym światem, został mu tylko unoszący się, rozbujany pięciokąt.

Potem poszlibyśmy na whisky, w Anglii przepuściłem wszystkie diety na ten szlachetny trunek, robią go z wody czerpanej ze źródeł na wrzosowiskach, usiedlibyśmy z nieboszczykiem redaktorem Mrnką w tej opuszczonej restauracji Blue Berry Bar przy kontuarze i kiedy szlag by nas trafiał, że akurat już się spłukaliśmy, odsunęłaby się kotara i wyszedłby młody kelner w czerwonym fraku, i powiedziałby po czesku: „Panowie, jesteście moimi gośćmi, na co macie ochotę?”. Pan odparłby, tak jak ja: „Watt 69”. Ale młody kelner w czerwonym fraku powiedziałby na to nienaganną czeszczyzną: „Dobry wybór, ale polecam Glenn Gross, mówimy na nią Żiżi”.

Z jedną setną tych filmów, które noszę w głowie, zabiorę pana autem na Grossglockner, jest tam lodowiec jak statyczny artefakt, prawdziwe dzieło Przyrody, którego struktura przypomina dzieła Pollocka. Jeśli pan chce, kupimy za dolara pelerynę i nieprzemakalny kapelusz, taki sam, jaki nosił Latający Holender, i pójdziemy tunelem; wyjdziemy z niego prosto na wodospad Niagara, jeszcze jedno kinetyczne, przyrodnicze dzieło sztuki. Wszystkim, którzy nie dorośli, pozwolę zrobić to samo, co my zrobiliśmy na jego widok. Nikt akurat nie szedł, więc zaczęliśmy się odlewać wielkim łukiem prosto w tę walącą się w dół masę wody, ale nakryła nas jedna angielska ślicznotka. Musieliśmy więc przerwać ten uroczysty akt, zamoczyliśmy sobie spodnie, ale za to śpiewaliśmy na dwa głosy: „Tęsknie huczy Niagara…”.

Wiedeń to też nie byle co, te sale pełne dzieł Petera Breughla, w których skromnie doszukałem się podobieństw do mojej pisaniny, Akademia z Hieronimem Boschem i jego Sądem Ostatecznym w kolorach rtęci

i siarki, z jego apokaliptycznymi wizjami. Niech pan nie zapomni choć raz wpaść do secesyjnego hotelu, bodajże przy Philharmonikerstrasse, do hotelu Sacher, i rozejrzeć się, gdzie też siadywał Salvador Dalí, kiedy przyjeżdżał do Wiednia złożyć hołd obrazowi Vermeera van Delft, tej muzie w kolorach błękitu i żółci. Dalí szukał też Zygmunta Freuda, ale na próżno, znalazł go dopiero w Londynie. Aha, w Wiedniu niech pan nie zapomni jeszcze wpaść na Dorotheergasse, do hotelu Am Graben i do Café Hawelka, to ostatnie centrum wiedeńskiej bohemy, o jedenastej wieczorem pani Hawelková roznosi do stolików ciepłe bułeczki, a goście zamawiają likier gruszkowy.

I tak dalej, i tak dalej. Chyba już dość się nagadałem, czytelnik już wie, że nie obijałem się za granicą, tylko od rana do wieczora dokształcałem się, jak to mam w zwyczaju. Nigdy nie noszę mapy ani planu miasta, idę na chybił trafił, pozwalam, by rzeczywistość zaskakiwała mnie za każdym rogiem. Ach, to było piękne! Szybko, zanim zapomnę!

Wsiadłem raz w Londynie do pierwszego lepszego autobusu i nie znając angielskiego, poprosiłem czarnego kierowcę o bilet. Zdaje się, że zapytał: „Dokąd?”. A ja na to: „A choćby do putni”. A Murzyn wyszczerzył zęby: „*Aaa, yes, Putney!*”. I tak po półtorej godzinie jazdy bez celu, przez pomyłkę, wysiadłem przed pałacykiem, w którym podczas drugiej wojny światowej miał siedzibę nasz rząd na uchodźstwie.

Ktoś mógłby pomyśleć, że te moje wędrówki po świecie były po nic, bo przecież nie piszę o nich w książkach. To całkiem możliwe, że niepotrzebnie jeździłem do tych wszystkich miast. Ale chciałbym, żeby każdy mógł tak sobie pojeździć, jeśli tylko go na to stać i chce się dokształcać. Ja, prawdę mówiąc, nigdy za wiele nie użyłem, bo wciąż się bałem, co to będzie, jak dojdzie do jakiegoś kryzysu światowego, opuszczą szlabany na granicach i nie będę miał jak wrócić do domu. Ja nawet teraz, całkiem jak po powrocie z podróży, oddycham swobodnie dopiero wtedy, gdy mogę przejść się zakurzoną, brudną aleją Narodową albo przejechać się rowerem wzdłuż Łaby, i niczego więcej nie pragnę, wciąż myślę tylko o tym.

Przełożył Aleksander Kaczorowski

O klauzulach wyjazdowych

W ostatnią niedzielę sierpnia chodziłem po lesie z radyjkiem tranzystorowym, nasłuchując wszystkich możliwych wiadomości. Zląkłem się jak diabli, gdy o trzynastej Wiedeń podał, że mnie i jeszcze kilkudziesięciu innych pisarzy pobito i wywieziono w nieznanym kierunku. Prezes Pen Clubu Arthur Miller złożył protest w tej sprawie. A ponieważ przez całe popołudnie nie usłyszałem ani jednej wiadomości, która by zdementowała tę z godziny pierwszej, ba, przeciwnie, podano kolejne szczegóły, że wywieźli nas niezidentyfikowani osobnicy przebrani za sanitariuszy, zacząłem z tego wszystkiego popadać w lekką demencję, nie będąc zdementowanym, dementowałem się sam, że być może spaceruję po lesie, śniąc o tym, że jestem związany w kij i wywożą mnie karetką w nieznanym kierunku, bez klauzuli wyjazdowej, bądź też że uprowadzili mnie fałszywi sanitariusze i teraz leżę na podłodze karetki, śniąc o tym, że spaceruję po lesie. I jak tu się potem dziwić, że w grudniu, w pewnej wsi w Górach Orlickich, nie zdziwił mnie widok kilku świeżo wykopanych grobów. Grabarz wyjaśnił mi później, że w tej okolicy, gdy chwyci mróz, ziemia zamarza na kość, a wtedy kopać w niej to straszna mordęga, dlatego zawczasu wypatruje, kto jest na wylocie, i kopie mu grób, zanim ziemia stwardnieje na amen, obywając się bez klauzuli wyjazdowej w postaci aktu zgonu. A skoro tak, to już zupełnie nie ma się co dziwić, że wczoraj spotkałem przyjaciela, który zdziwił się, że co jeszcze tu robię. Kiedy zapytałem, co ma na myśli, czy to, że jestem jeszcze na tym świecie, czy też to, że jestem jeszcze w kraju, odparł, że wiedział, że jestem cały i zdrów, ale myślał, że już wyjechałem, że, krótko mówiąc, dałem dyla. Powiedziałem mu, że nie mam bladego pojęcia, dlaczego jego zdaniem powinienem był wyjechać. Przyjaciel odparł, że każdy porządny człowiek, jeśli dotychczas nie wyjechał, powinien mieć przygotowaną klauzulę

wyjazdową, ponieważ w razie gdyby sytuacja w kraju stała się niepewna jak pogoda w marcu, że w takim wypadku porządny człowiek nie powinien kłaść uszu po sobie, tylko starać się wyjechać.

Powiedziałem mu, że żadnej klauzuli wyjazdowej nie mam, choć oczywiście uznaję prawo każdego obywatela do tego, by ją posiadać i móc wyjechać albo i nie wyjechać, dokąd mu się spodoba, jeśli jednak chodzi o pisarzy, to niestety, jestem tego zdania, że nie powinni opuszczać kraju, a zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja jest delikatna jak pupcia niemowlęcia. Dodałem, że moja sytuacja jest o tyle skomplikowana, że za granicą, za szlabanem, wydano ponad dziesięć moich ordynarnych i subtelnych książek i że za kolejne przekłady, które powstają za granicą, mógłbym z powodzeniem przeżyć resztę życia na obczyźnie, tylko że ja swoich czytelników mam tutaj, w kraju, tych swoich *pábiteli*, którzy właśnie z moich książek dowiadywali się, jak iść przez życie z podniesioną głową, z nich uczyli się, jak żyć bez lęku i przechodzić z ironią i humorem obok wydarzeń, wobec których krew zamiera w żyłach. A teraz miałbym tych swoich *pábiteli* zostawić na lodzie i gdzieś tam, za granicą, wieść żywot rentiera za tantiemy z książek, których przecież nie napisałem sam, lecz wspólnie z tysiącami ludzi, których spotykałem od dziecka i wciąż spotykam, ludzi, którym spijałem słowa z ust, ludzi, z których przygód, przeżyć i losów wycinałem nożyczkami kawałki biografii i robiłem z nich kolaże do swoich tekstów – co by ci ludzie powiedzieli, gdybym wyjechał? Czułbym się chyba, jakbym zdefraudował pieniądze sierotki, wcześniej czy później musiałbym się powiesić jak During, który zamordował książątko. Myślę, że w tym kraju pisarz, choć czasem ma powyżej uszu i tego języka, i ludzi, nie może się bez nich obyć.

Sam już nieraz widziałem się w sytuacji, gdy jedną nogą stoję jeszcze na terytorium tego kraju, a drugą już mam przekroczyć granicę państwa wymienionego na klauzuli wyjazdowej, lecz wiem, albo mi się wydaje, że wiem, że gdybym ją przekroczył, że w miarę jak oddalałbym się od granicy, w duchu już bym do niej wracał, tak więc wolę zostać na miejscu, podwieszać ciężarki na skrzydłach strachu, sobie i innym, i udawać, że

wygraliśmy los na loterii, bo duch dziejów uszczęśliwił nas, wtykając nam głowy w drzwi obrotowe.

Ostatnio często myślę o Sokratesie, o tym zawadiace z ironicznym uśmiechem na twarzy, któremu przyjaciele proponowali klauzulę wyjazdową, żeby z niej skorzystał, póki czas, bo w ojczyźnie został skazany na śmierć, jako że psuł młodzież i oddawał cześć nie tym bogom, co trzeba. Lecz Sokrates, który nauczył się sprowadzać nowe idee na świat od matki, ponieważ była położną, Sokrates, który od kłótliwej małżonki nauczył się dialektyki, metody pozwalającej filozofowi porozmawiać z każdym o boskości człowieka, boskości, której warunkiem jest miłość, otóż ten humanistyczny bohater odmówił przyjęcia klauzuli wyjazdowej i popijając śmiertelną truciznę, został ze swymi przyjaciółmi i uczniami, filozofując aż do chwili, gdy na przejściu granicznym swojej egzystencji, zmierzając już ku esencji, sam przystawił sobie pieczątkę i w ten sposób bez klauzuli wyjazdowej dokonał jakościowej przemiany z obywatela Aten w obywatela świata – trochę tak jak ten młody budowniczy z ludzką twarzą, który choć umęczony w piątek, zmartwychwstał w sobotę i niczym statek Apollo, wyniesiony rakietą Saturn 5, o ciągu czterech tysięcy ton, na niebieskie szlaki, króluje na nich po dziś dzień jako agent niebios.

PS Dziś jednak najczęściej myślę o tych spośród moich rodaków, którzy zawdzięczają swoją aureolę własnej ludzkiej twarzy, myślę o tych mężczyznach, którzy nie wierzą w uczłowieczenie małpy za pomocą razów, trzymam palce za tych, którzy walczą słowem o sens słów wyszytych na prezydenckim sztandarze, jestem z tymi, którzy mają jeszcze w żyłach trochę tej krwi Przemyślidów, a jeśli nie krwi, to przynajmniej trwa w nich idea czeskiej państwowości. Myślę o królu Janie Luksemburskim, który do tego stopnia utożsamił się z ideą Korony Czeskiej, że gdy znalazł się w sytuacji granicznej, oświadczył: „Niedoczekanie, by czeski król uciekał z boju”. I tak Jan Luksemburski, choć przecież nie Czech, dzięki swemu męstwu, bez klauzuli wyjazdowej, znalazł się w samym sercu naszego panteonu, podczas gdy Komunistyczna Partia Luksemburga przyjmuje do

wiadomości, że pięć bratnich armii weszło do nas w sierpniu bez klauzuli wyjazdowych i wtrąciło się w nasze sprawy.

(1969)

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Grozy wojenne

Urodziłem się na początku pierwszej wojny światowej, ale zrządzeniem losu linie frontu przebiegały daleko od miasteczka Polná na Wyżynie Czesko-Morawskiej, w którym mieszkałem z rodzicami, toteż jako dziecko poznałem wojnę tylko pod postacią kolejek za chlebem i mąką, powszechnej biedy i przygnębienia. Później mieszkałem ponad czterdzieści lat ze swym stryjem, który codziennie opowiadał o tej pierwszej wojnie światowej z tyloma szczegółami, że wprawdzie niebezpośrednio, ale jednak dowiedziałem się o jej okropnościach. A kiedy stałem się młodym mężczyzną, Niemcy zaczęli drugą wojnę światową, zajęli Czechy i Morawy, wszczęli wojnę z Polską i Zachodem, a w końcu i ze Związkiem Radzieckim. I przekonałem się, jak bezsensowna i okrutna jest każda wojna agresywna, w której jednak znów osobiście nie wziąłem udziału, ponieważ mieszkałem w miasteczku nad Łabą, w Nymburku, widziałem przejeżdżające kolumny armii Rzeszy, transporty pociągów, widziałem urzędników niemieckiej administracji i gestapo, ale front był daleko, ominął Połabie, tak że o wojnie dowiadywałem się z gazet i radia i chociaż miałem wyobraźnię, nigdy nie potrafiłem w pełni wyobrazić sobie tego wszystkiego, co działo się na frontach, kiedy ginęły miliony żołnierzy i cywili. Na pewno wiedziałem tylko to, że prowadzona przez Niemców wojna agresywna jest zbrodnią, która domaga się odpłaty, ponieważ wyzwoliła siły obracające wniwecz owoce ludzkiej pracy, miasta i miasteczka, i wioski, wojna, która masowo uśmiercała ludzi, zwierzęta, pozbawiała ich domostw i życia. Kiedy usłyszałem o tragedii Polski, do płaczu doprowadzały mnie opowieści o tym, jak pułki polskiej kawalerii szarżowały na niemieckie czołgi, wszyscy ci polegli Polacy walczący konno przeciw czołgom byli dla mnie objawieniem, antycznym mitem, jak ten grecki hoplita, który aby uniemożliwić ucieczkę wrogiej perskiej łodzi,

sam jeden trzymał łódź rękoma, a kiedy ucięli mu ręce, wgryzł się zębami w linę i dopiero gdy perscy żołnierze odcięli mu głowę, łódź odpłynęła… Właśnie tak walczyli Polacy, walczyli jednak w słusznej sprawie i nigdy nie przyjęli do wiadomości przegranych bitew. I cóż, w końcu z pomocą armii radzieckich zwyciężyli i duch historii doczekał się sprawiedliwej zemsty, upadku Berlina. A ja wiedziałem wtedy, że każda wojna agresywna jest zbrodnią, że jedyną sprawiedliwą wojną jest wojna obronna, że to obowiązek – bronić się. Tak więc chociaż przeżyłem tę drugą wojnę światową w zaciszu, widziałem i wiedziałem, że są ludzie zamykani za udział w ruchu oporu, słyszałem o obozach koncentracyjnych, widziałem nazwiska straconych z naszego miasteczka podczas heydrichiady, aby wreszcie jako dyżurny ruchu w Kostomlatach zobaczyć pociągi z więźniami i doświadczyłem na własnej skórze, kiedy wrzucaliśmy przez zakratowane okna jedzenie i podawaliśmy wodę z wiader, że omal nie zostałem zastrzelony przez wartowników. A mimo to nadal nie potrafiłem sobie wyobrazić, co przeżywali ci wszyscy żołnierze, którzy dotarli z frontu aż do nas. Widziałem tylko Niemców uciekających przed Armią Czerwoną, pociągi szpitalne, które zatrzymywały się na mojej stacji, wiedziałem, że partyzanci wysadzą w powietrze pociąg z amunicją parę kilometrów za moją stacją, byłem przesłuchiwany, ale dopiero wtedy naprawdę dowiedziałem się, czym jest dramat wojny, gdy przez moją stacyjkę przejeżdżały ostatnie pociągi z SS, partyzanci rozkręcili szyny przed semaforem i żołnierze, kiedy już naprawili tor, wjechali na stację i wsadzili mnie na lokomotywę, czułem na plecach wyloty ich parabelek, stałem przed dowódcą, pociąg odjeżdżał ze mną, a ja, zmartwiały ze zgrozy, wiedziałem, że wystarczy jeden ruch i użyją parabelek, a potem zepchną mnie z lokomotywy jednym kopniakiem i już mnie nie będzie. Ale dowódca pociągu był Austriakiem, poznałem to po jego czapce, i daleko za stacją, kiedy byłem już u kresu sił, dowódca dał znak, pociąg przyhamował, a ja zeskoczyłem na nasyp i wróciłem na swoją stacyjkę, moje plecy wciąż były wystarczająco dobrym celem dla pistoletów żołnierzy, którzy siedzieli na czołgach i samochodach pociągu pancernego. Ta chwila pozwoliła mi

zaledwie posmakować tego, co na masową skalę, w ogromnym wymiarze działo się na wszystkich frontach i tyłach tej drugiej wojny światowej, i od tej pory rozum i serce mówią mi, że każda wojna jest czymś strasznym, bo przecież zwykli ludzie na całym świecie, tak jak ja, nie pragną niczego więcej, jak tylko pracować i doznawać drobnych przyjemności, pielęgnować ogródek, hodować króliki i gołębie, chodzić na spacery z pięknymi dziewczętami, wychowywać dzieci, chodzić się kąpać i do knajpy z przyjaciółmi, na mecze piłkarskie, krótko mówiąc, robić to wszystko, co nazywa się zwyczajnym życiem, a to życie niesie z sobą tak wiele egzystencjalnych sytuacji, po których pozostaje często nie tylko radość, ale i żal…

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Wspomnienie pewnego sylwestra

Sylwester, szukam w radio *Heilige Nacht*, nerwy, zniecierpliwienie i ta uporczywa myśl, że nie doczekam już Nowego Roku. *Śanti, Śanti, Śanti*, pokój silniejszy i piękniejszy nad wszystko, czego zaznałem ja i czego doznali inni. I deszcz, śnieg z deszczem. Z żoną boimy się patrzeć sobie w oczy, ściśnięte gardła. A więc znów jesteśmy w Kersku, bezdzietni, tylko kocięta próbują nas rozweselić, tak jak dawniej, gdy chciały pocieszyć moją umierającą mamusię. Pogodziłem się wtedy z matką, zrozumiałem, że nikt jej nie rozumiał, że ta kobieta miała w sobie więcej z cyganki, niż z żony i matki.

Poszliśmy przez Nowe Łąki, w Leśnej wszyscy siedzieli jak trusie, jakby czekali na przyjście Mesjasza, i to właśnie było dość zabawne. Miszeńka, nasza hrabianka, której własnością byłby cały ten las i zalesie z tartakiem, i pałac, wnuczka barona Hirossa, jako jedyna miała na sobie czarną wieczorową suknię. Wypiłem piwo, a potem jeszcze jedno, w szklance Tuborg, tej samej, którą podarował mi szef restauracji Tuborg w Budapeszcie, mój czytelnik… Scenkę o północy miały odegrać trzy Królewny Śnieżki i Wilk, Wilkiem miał być pan Kucharz, ten, który wstrzykuje sobie insulinę, ponieważ ma cukrzycę, poza tym chodzi do kościoła i to on najgłośniej śpiewa podczas mszy w Łysej, ale pan Kucharz odmówił, nie będzie Wilkiem, bo nie ma ogona. No dobra, powiedziałem, sylwester i oczekiwanie na Nowy Rok to poważna sprawa, dawniej ludzie szli do kościoła, a potem, choćby przy kielichu, dumali nad starym rokiem, jaki był, każdy chrześcijanin chciał zacząć Nowy Rok z czystym kontem. Zrobiło się trochę weselej, przyszedł Zdeniek, ten, który przed dwoma tygodniami obciął sobie palec, pokazywał wszystkim ten swój kikut i przechwalał się z zadowoloną miną, że teraz manikiur zajmuje mu jedną dziesiątą mniej czasu niż dawniej. Przypomniał nam, jak opowiadał

o Carlinim, który też stracił palec prawej ręki, przypomniał nam, że od tej pory opowiadał anegdotę o jednym gościu, któremu zamiast urżniętego palca przyszyli palec Murzyna. Kupa śmiechu… Ale ja piłem jedno piwo za drugim, moja żona była wesoła, śmiała się do rozpuku, bo i ona nie chciała rozpamiętywać dawnego życia, pamiętać, że do osiemnastych urodzin mieszkała w willi, że jej rodzice mieli majątek i studebakera z szoferem, i przetwórstwo drzewa… a teraz siedzą tu z naszą hrabianką i zmuszają się do śmiechu… Podali przystawki, ale ja piłem tylko gambrinusa, bałem się, czy w ogóle doczekam Nowego Roku, wychodziłem na zewnątrz, padał deszcz, Leli był już całkiem pijany, ten, który przyleciał z Vancouver, potem przyszedł olbrzym w kożuchu, pan Kubat, ten, który przez pół roku leczył się w Bohnicach, lecz wciąż wyglądał jak Black Larsen, Wanted, poszukiwacz z *Gorączki złota*, a do tego wyborny pianista i świetny harmonista, ten, który przed pięćdziesiątką utopił nerwy w alkoholu, i w tym swoim fortepianie i harmonii, na której właśnie zaczął grać, więc w Leśnej zrobiło się weselej, i czas szybciej popłynął… i pojawili się kolejni goście, wszyscy znamy się od lat, a potem Robert Cesar, ten nasz nieszczęsny, cudowny gospodarz, który rzucił kiedyś Leśną i zemdlał kilka razy, ta dziewczyna, dla której się rozwiódł, powiedziała mu w wigilię Wielkiej Nocy, że poprzedniego dnia wyszła za mąż, tak więc Robert, który od tej pory trochę przypominał Otella, zaczął o jedenastej roznosić kotlety z frytkami i surówką, a wszyscy złapali za sztućce, bo to było jego popisowe danie, moja żona piła gorzką wódkę, pan Kubat *alias* Black Larsen z *Gorączki złota* grał *Pustelnika*, a potem mrugnął do mnie, więc już wiedziałem, że teraz zagra *Miliony arlekina*, więc i ja zjadłem z apetytem, spoglądaliśmy na siebie z żoną tak, jakbyśmy brali w nawias wszystko, co nas dzieliło i już nigdy nie miało się złączyć… bo nie mieliśmy dzieci… A potem nie było już słychać harmonii, tylko zgiełk rozmów i szafy grającej… Robert Cesar roznosił szampana, na wszelki wypadek ktoś włączył radio, zegar tykał nieubłaganie, wchodzili kolejni goście, strząsając z siebie krople deszczu ze śniegiem… a ile było przy tym udawanych uścisków i udawanej wesołości… oczywiście przed północą były też tańce,

i ja zatańczyłem z moją żoną, ale melancholia była silniejsza, niż myślałem… A potem wybiła północ, strzeliły korki, szampan tryskał na podłogę i obrusy, w kąciku siedzieli Jindrziszka i Paweł, ten nieszczęsny inwalida, który już od dwudziestu lat jest związany w kij, to znaczy jeździ na wózku, ale poradził sobie z tym i teraz w soboty i niedziele to on jest najweselszym mieszkańcem Kerska, nie to, żeby taki był, po prostu musi mieć dobry humor, gdy tymczasem ja, choć powinienem być chłopem na schwał, cierpię na niewytłumaczalną depresję, w tym roku spędziłem pięć tygodni w klinice neurologicznej, nie tylko z bezwładem nóg, ale i całej duszy… A potem były buziaki i gratulacje, toasty i łzy, nie widziałem już Leśnej, nie widziałem niczego, uświadomiłem sobie, że i na mnie już przyszła kryska, że jestem tym, kim jestem, starszym panem, który codziennie jeździ z Pragi do Kerska autobusem albo samochodem, kręci się jak bąk jedynie po to, by tu i teraz, w noc sylwestrową, zrozumieć, że jest stary. Żona dała mi buziaka, Oldrziszka tylko cmoknęła mnie w policzek, miała miękkie, kleiste, galaretowate wargi, poczułem się jak po bombardowaniu, którego nie było, jak mawiał mój ulubiony pijus z Brczalki… Piłem więc już tylko szampana, a wszyscy goście wraz z nadejściem Nowego Roku powariowali, czekali na znak i dostali go, tak samo jak w każdy piątek i sobotę, i we wszystkie te święta, które powinny być znakiem, ale dla nich chyba żadnym znakiem nie były… Ja zaś czułem się jak nowo narodzony, zdawało mi się, że wreszcie zacznie się nowe życie, bo przecież nie minęła nawet godzina, odkąd świat zaczął się na nowo… Wszyscy tańczyli i dokazywali, mężczyźni brali kobiety na ręce, a one piszczały, nasza hrabianka toczyła mętnym wzrokiem, tylko Jindrziszka była smutna jak przy Zwiastowaniu Pańskim, tańczyła z Pawłem, który szalał na wózku, jedną ręką podparł się w pasie, a drugą trzymał za paluszki swoją Jindrziszkę i śmiał się do rozpuku, wszyscy rechotali, a pan Kubat, Black Larsen z *Gorączki złota*, skakał między nimi ze swoją harmoszką… Nikogo już nie mogłem rozpoznać, bo miałem łzy w oczach, szampan płynął z nich ciurkiem, aż w końcu poczułem, że mam dość, wystarczy! Bo inaczej zabiorą mnie znów na Bulovkę, na neurologię,

i będę tam leżeć i użalać się nad sobą, i czekać nie wiadomo na co. Ale moja żona wreszcie była szczęśliwa, tańczyła, nosili ją na rękach, więc jak zawsze zabrałem kurtkę i czapkę, stanąłem na chwilę w drzwiach, które Boby wyjął z zawiasów, wszyscy, którzy spojrzeli na mnie, wiedzieli, że mam zszargane nerwy, dziękowali mi, że tak długo wytrzymałem… Wyszedłem w noc utytłaną deszczem, balustrada i ławki były utytłane siąpiącym śniegiem i marznącym deszczem, asfalt na szosie lśnił, choć lampy elektryczne już zgasły, szedłem środkiem ulicy, trzymając się kursu między koronami dębów i sosen, a śnieg w rowie wyznaczył mi trajektorię… I znów zaczął padać mokry śnieg z deszczem, odwróciłem się, w tym deszczu i mokrym śniegu Leśna niknęła mi z oczu jak okręt, jak statek w burzy śnieżnej, w morskiej nawałnicy, ale na tym okręcie było ciepło w kajutach i słychać było śmiech i cichnące dźwięki muzyki, i brzęk kieliszków… I znów zawiało śniegiem z deszczem jak na przedwiośniu, musiałem zgiąć się wpół… Gdy wyszedłem na Nowe Łąki, zamieć ucichła… Rozchmurzyło się i powoli, jak kopuła planetarium, zaczęło się ukazywać czyste niebo z nowymi, wypucowanymi w deszczu gwiazdami… Podczas gdy Leśna niknęła w zamieci, ja stanąłem na Nowych Łąkach… Gwiazdy świeciły nade mną, miałem teraz koronę z gwiazd, z moich konstelacji, Kasjopeja w kształcie litery W… inicjał Williama Szekspira w niebiosach, a nade mną pięciokąt Wozu, a dalej, na północy, idealnie w linii asfaltu, świeciła Gwiazda Polarna… Wielki Wóz i Kurczęta, gwiazdozbiór nie większy niż popielniczka wypełniona petami… A gdy się odwróciłem, na niebie ukazał się mój ulubiony gwiazdozbiór Oriona… Rigel i Betelgeza… A pod nimi Syriusz, całkiem jak nowy, mienił się kolorami niczym zimne ognie na choince…

Koty czekały na mnie przed domem, zapaliłem lampki choinkowe, a mokre kocury wbiegły do środka… Wynosiłem je po kolei na zewnątrz, powietrze pachniało jak muzyka z *Le Sacre du printemps*, pachniało wiosną jak po uderzeniu wiosennego gromu, jak po wichurze w lesie, gdy łamią się gałęzie sosen, a powietrze pachnie żywicą… Zebrałem się w sobie i jak zawsze, raz w roku, wyjąłem karty tarota, dwadzieścia dwa stopnie ludzkiej

samowiedzy, dwadzieścia dwie karty, żeby zapytać, co mnie czeka, co będzie po mojej myśli, a co przeciwko mnie, co nade mną, a co pode mną, jaki werdykt, a zatem przepowiednię, wydadzą karty… Ale nie miałem odwagi zacząć, znów wyszedłem w noc, tam na południu, za białym płotkiem, sterczał gwiazdozbiór Oriona… I Syriusz, jasna, migocząca gwiazda, nade mną zaś litera W, inicjał Williama Szekspira… Koty wbiegły na korytarz, opadłem na krzesło, sięgnąłem po talię kart i wykładałem je po kolei na stół, zdając się na przypadek, ale też trzymając się reguł… A potem odwracałem je, co dla mnie? Karta numer trzy… *La Emperatriz*… A przeciwko mnie? *El Carro de Hermes*… A co nade mną? *La Consultante*, dwójka… A która karta poprzedzi kartę losu, przeznaczenia? *La Rueda de la Fortuna*… A potem policzyłem karty zgodnie z zasadami tarota, otrzymałem wynik dwadzieścia dwa, dwa i dwa to cztery… Odszukałem więc w talii czwartą kartę i wyłożyłem ją na stół, ale jeszcze nie miałem odwagi jej sprawdzić, więc znów wyszedłem w noc, i tak, nad sobą miałem literę W, przed sobą Syriusza, a nad nim Oriona, wróciłem przez rozświetloną werandę, z letniska dobiegały okrzyki i ostatnie wystrzały fajerwerków, odwróciłem tę kartę, która była tylko dla mnie… To była karta z numerem dwunastym, *La Picota*, Pręgierz… Może ona oznaczać także Wisielca… Podniosłem się ciężko, wziąłem latarkę, cztery koty ruszyły za mną w stronę Gwiazdy Polarnej, przez mój lasek, tam na łąkę, gdzie w świetle latarki ręcznej zobaczyłem ten piękny cud, strumyczek, który przez pół roku był martwy, bez wody, martwy i bez nurtu, a teraz ożył, woda płynęła wartko, unosząc stare liście, strumyczek zmartwychwstał i gnał przed siebie, przyklęknąłem, nabrałem w dłonie świeżej wody i obmyłem sobie twarz i skronie, i jeszcze raz, a za trzecim razem pokropiłem się żywą wodą, jak gdyby to była woda święcona z kropidła w kościele przyrody, podczas gdy nad lasem, tam za polem Łoskoty, świeciła Gwiazda Polarna. Zza lasu dobiegły ostatnie wystrzały petard, kilka fajerwerków, a mnie się zdawało, że i ja powstałem z martwych, że narodziłem się na nowo…

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Z listów do Pipsi

Jest wpół do ósmej, nadzwyczajny, pełnotłusty wieczór, księżyc w pełni, tylko ja siedzę na podwórzu sam, na dnie… bez Ciebie jestem sam jak palec. Tak chciałbym podnieść słuchawkę, wybrać numer i usłyszeć Twój głos, tak chciałbym wsiąść w tramwaj i poczekać na Ciebie przed hotelem Paryż… Ty jednak z każdą chwilą się oddalasz, jesteś coraz dalej ode mnie i coraz bliżej serca Austrii, gdzie jeszcze dziś porozmawiasz ze swoim bratem, gdzie jeszcze dziś spędzisz noc. Kupiłem „Wieczorną Pragę”… ale tam nie było ani słowa o tym, że wyjechałaś, włączyłem radio… ale i tam nie wspomnieli, że wyjechałaś do Wiednia… Wyszedłem na ulicę… Wszystko wyglądało tak samo jak zwykle, po nikim nie mogłem poznać, że wie, że Ty wyjechałaś… Gdy patrzyłem na ludzi… nie poznali po mnie, nie poznali, że wyjechała moja miłość… Wszystko było i jest głuche, nawet ten księżyc sprawia, że jestem jeszcze bardziej samotny, czuję się jak jałówka, której zabrali cielątko… jak dziecko bez zabawki… ryba wyciągnięta z wody… Wbili mi w plecy hak i przeciągnęli przez rdzeń delikatną żyłkę, a to tak boli, tak strasznie boli… rozchorowałem się z tej miłości do Ciebie, zdziadziałem… Kiedy patrzę na siebie w lustrze, to widzę, że już nie lśnię jak koń browarniany… tylko wytrzeszczam ślepia jak kobyłka rymarska, jak amnestionowany recydywista… Gorzko mi bez Ciebie, ale to dobrze, bo teraz… gdy z każdą chwilą oddalasz się ode mnie, wiem, kim jesteś i jak wiele dla mnie znaczysz. A przecież nie wiedziałbym tego, nic bym nie wiedział, gdybyś nie wyjechała…

Za kwadrans ósma, wieczór marzenie, a księżyc, ten stary wariat, mówi do mnie: „Stary, wyjdź na spacerek”, no to wychodzę, patrzę, a to już jesień… jesień najłatwiej rozpoznać wieczorem, cienie są wtedy ciemniejsze i głębsze, gwiazdy bardziej zadają szyku, a Cyganki częściej kaszlą… Wpadłem do Vanisztów, ale nikt nie zapytał: „A gdzie

narzeczona?”. W Źródełku kupowałem chleb, ale nikt nawet nie pisnął: „A gdzie pan podział tę cacaną dziewuszkę?”. To takie dziwne… Gdybyś umarła, to przynajmniej w oknach wystawowych to tu, to tam, wisiałyby klepsydry… „W środę 19 września opuściła nas nasza droga córka i siostra Eliška Plevová… itd, itd…”, a ludzie gratulowaliby mi i mówili: „Patrzcie, niektórzy to mają fart…”. A tak, nikt nic nie wie… Gdybym był prezydentem, ogłosiłbym żałobę narodową, cała Praga byłaby obwieszona czarnymi proporcami, na każdej wystawie byłaby Twoja fotografia z czarną wstążką… a ja, jako prezydent, odwołałbym wszystkie wizyty państwowe, na drzwiach kancelarii wywiesiłbym tabliczkę: „Z powodu wyjazdu Pipsiułki przez najbliższe dwa tygodnie urząd będzie nieczynny…”. Ale jaki tam ze mnie prezydent, nikim jestem… Mam tylko serce i skrywam w nim te wszystkie cudowne obrazy, które zostawiło mi Twoje dobre serduszko…

Jest ósma wieczór, księżyc śmieje się do mnie pełną gębą, chętnie bym mu ją przeflancował… ale musiałbym wziąć trochę większe grabie. Siedzę na Szlosberku, a jakaś para durniów, on i ona, wgryza się sobie w twarze jak dwa króliki, które wcinają liść kapusty. Stoją oparci o barierkę, buty im skrzypią i mają wszystko w nosie, nawet tę koronę z gwiazd i światła z całej Pragi, które krążą i migoczą za ich plecami… Wokół cisza, właśnie spadła gwiazda, a ja, psiakrew, nie miałem żadnego życzenia… nie to, żebym nie miał, tylko akurat nie pomyślałem o niczym konkretnym… A zresztą gdybym nawet pomyślał… co by mi z tego przyszło? Teraz przynajmniej całuję Cię w wyobraźni… siedzisz jeszcze w pociągu, oddalasz się ode mnie, a ja Cię całuję… przesyłam Ci całusy od nas, z Libni… Libeń… *lieben*… *ich liebe dich*! Jest mi smutno, nie dlatego, że odjeżdżasz, ale że nie będę mógł być z Tobą… A wszystko przez to, że Cię kocham, że kocham Cię nad życie, nade wszystko… będę teraz sam jak pianino jazzowe… sierotka… I ubędzie mnie, podczas gdy z Tobą jest mnie więcej. Jesteś moim dynamkiem, dodajesz mi sił… Mam nadzieję, że nawet gdy będziesz daleko, Twoje wspomnienie mnie rozświetli, ponieważ teraz kocham Cię bezgranicznie i szczerze, i mam nadzieję, że gdy wrócisz

i będziesz ze mną, u mnie, Twoje oczy znów będą tylko moje, tak jak moje należą tylko do Ciebie… Tak naprawdę zakochałem się w Tobie już wtedy, gdy zobaczyłem Cię pierwszy raz, w to późne styczniowe popołudnie, gdy zobaczyłem Cię pierwszy raz, jak dobijałaś się do drzwi tam na piętrze…. Ale drzwi były zamknięte… Zobaczyłem Cię i moje serce drgnęło… od pierwszego wejrzenia… Przez ten dziecięcy, nerwowy uśmiech, który przelatywał jak smagnięcie pejczem przez subtelną twarz… ten pierwszy obraz jest mi droższy i widzę go jaśniej niż wszystkie inne… i chcę, żebyś była moim Przeznaczeniem, w które tak wierzę… Przecież to Ty zmusiłaś mnie, bym zmienił swój pogląd na ludzi, na świat, pogląd, który stawia na serce… na człowieczeństwo i wiarę… to Ty jesteś moim horyzontem, Ty i tylko Ty sprawiasz, że odzyskuję twarz… Gdyby nie Ty, ubyłoby mnie, tak po prostu, jak gdybym nie miał dość powietrza, by swobodnie oddychać… potrzebuję Cię, by żyć, tak jak i Ty pewnie chciałabyś wiedzieć, że ktoś Cię kocha, że kocha Cię bezwarunkowo i że nigdy Cię nie opuści. Bo gdyby to zrobił, utraciłby te obrazy, które zostawiłaś w jego sercu. Jak to pięknie tak pić piwo z dzbanka i zastanawiać się, co robisz, jak to dobrze pakować ten wstrętny papier i wspominać ukochaną twarz, jak cudownie patrzeć nocą w gwiazdy i myśleć o tym, że te same konstelacje świecą też gdzieś nad tym miejscem, w którym jesteś właśnie teraz, jak błogo jest chodzić pod tym samym słońcem, pod którym i Ty chodzisz. Ale równie strasznie jest zobaczyć to wszystko na odwrót. Choć i to jest życie… Patrzę na wszystko diamentowym mózgiem, zimnym i głuchym… choć moje serce płonie… Boję się osmalić sobie mózg… ale co robić? To także jest życie i Los… tak więc, moja panno, baw się dobrze w Austrii, szczęśliwej podróży, udanego pobytu u rodzinki…

PS Pipsi, życie moje, bez Ciebie jest mi tak strasznie smutno, że musiałem usiąść przy maszynie i napisać dla Ciebie opowiadanie, dla pociechy i dla zabicia czasu. Kocham Cię jak nigdy wcześniej i jak nikt inny, kocham Cię… A mówię Ci o tym tylko dlatego, że to prawda… jestem jak dom ze szkła…

Teraz, gdy zostałem bez Ciebie, moje życie jest tak przykładne, tak puste… jeszcze tyle dobrego, że gdy jechałem na motorze do pracy, to w Karlinie wjechałem w zakonnicę… to znaczy nie w nią, tylko w jej habit… i urwałem kawał materiału… A ona, gęś jedna, zamiast przytrzymać szmatkę i zasłonić te spodnie części, zasłaniała sobie oczy… No, powiedziałem sobie, Bogusiu, ty lamusie, musisz jeździć ostrożniej… przecież mogłeś spowodować wypadek… I od tej pory zacząłem się bać, że przejadę gdzieś kota albo psa… Ale całkiem niepotrzebnie, bo wpadłem tylko na jednego emeryta i wytrąciłem mu butelkę z mlekiem… przyjechała karetka, ale zaraz się zawinęli, że to przypadek raczej dla zakładu pogrzebowego, milicjanci spisali mnie i pojechałem do roboty, ale nudziłem się w pracy, bo jak jestem bez Ciebie, to cały świat wydaje mi się taki jednowymiarowy… jeszcze tyle dobrego, że przyszedł strażak, żeby sprawdzić system przeciwpożarowy… a jak tak sprawdzał i zobaczyłem, że kręci się wciąż wokół tej wielkiej dziury zasypanej papierem, to najpierw w duchu, a potem szybko pobiegłem do świętego Tadeuszka, tam za rogiem… i modliłem się, żeby strażak razem z gaśnicą spadł na dół, do piwnicy… i ledwo wbiegłem na podwórze, zobaczyłem, że błysnął hełm… i strażak zniknął… zbiegłem na dół i od razu na niego wpadłem, panie, no przecież to jest przypadek dla kryminalnych! A Heinrich von Peukert dopiero teraz zaczął na niego krzyczeć, żeby uważał, bo jak ten strażak przywalił głową w hełmie w róg prasy…. i stracił od tego przytomność… to ułamał nam dwie śruby i ździebko przesunął tę maszynę… „Panie, będziesz pan bulił, ta maszynka dostanie teraz wstrząsu nerwowego, przez pana złapie reumatyzm… i będziemy musieli jej podać walerianę!” A ponieważ byłem, kochanie, już drugi dzień bez Ciebie… i nudziłem się… to zacząłem tego strażaka trochę dusić, żeby oprzytomniał… ale ledwo złapałem go za szyję… i zerknąłem w górę na tę dziurę w suficie piwnicy… gdy zobaczyłem parę damskich nóg, sukienkę… i nim zdążyłem się przyjrzeć… zleciała do nas kobitka… tęga sztuka, szkoda, że nie widziałem, jak majtnęła nogami tam w górze… straszne babsko… *Arschklinke!* No, to była stara baba… prawie łysa… Heinrich von Peukert, jak ją zobaczył, od razu

pobiegł na lufę… i zostawił mnie samego ze strażakiem na rękach… i z tą babą, która stała nade mną i wrzeszczała, że wpadła jej peruka… gdzieś tutaj! „Gdzie niby?”, zapytałem. „No, tu… jak wpadłam w tę dziurę, zsunęła mi się z głowy…” Spojrzałem na nią… czaszka niby reflektor… i powiedziałem sobie: „Nie daj, Boże, żeby kiedyś Pipsiułce tak włosy wypadły przez jakieś cholerstwo…”. Na rany Chrystusa, toby ci była niespodzianka, jakbyśmy już byli po słowie… jakbym tak w nocy… rozespany, złapał moją żonusię, Pipsiułkę, za łysinkę… z początku nie wiedziałbym, co to takiego… dopiero, jak by się odezwała…

Ale nie zdążyłem wyobrazić sobie całej reszty, bo ta baba najpierw mnie dała parę razy po gębie, a potem strażakowi, aż mu hełm zleciał, że co z nas za łajdaki, mordercy, łachmyty… a nie dżentelmeni, bo jakbyśmy nimi byli, to zamiast gapić się na jej głowę, szukalibyśmy peruki. Zaczęliśmy więc szukać, ale weź tu znajdź coś w pięćdziesięciu cetnarach starego papieru… na dodatek perukę… więc w końcu musieli przyjść milicjanci z psem tropiącym… dali temu psu powąchać głowę tej pani… i znaleźli tę perukę dopiero w samym rogu, bo podczas zabawy zawlekło ją tam nasze nowe kociątko… Wiesz, ten kotek, co ma ubezpieczenie zdrowotne i rentę. To będzie teraz nasz kot zakładowy, chyba że Heinrich von Peukert zrobi sobie z niego baranka na Wielkanoc…

A w ogóle to ponieważ Cię nie było, droga Pipsi, tak się nudziłem i marudziłem, że aż ludzie mówili: „Panie, coś pan tak zmarkotniał jak niedorżnięte prosię?”. A ja się wykręcałem, że niby piszę wiersze, bo jak byłem mały, to spadłem rozkrokiem na dyszel… Ale potem znaleźliśmy… to mnie uratowało… znaleźliśmy w starym papierze białe wianki z jakiejś budowy, założyliśmy je sobie z Heinrichem na kapelusze i chodziliśmy tak po Pradze na mleko, kieliszeczek za jedyne trzy korony pięćdziesiąt… A kiedy szliśmy trzeci raz, komentując, jakie to zdrowe i mocne mleczko, tylko że strasznie idzie w nogi… pod świętym Tadeuszem stała dwukółka i jak żeśmy na nią weszli, to wahnęła się razem z nami tak, że zlecieliśmy z drugiej strony… ale zaraz poszliśmy dalej, prosto do Tadeuszka, żeby się za Ciebie pomodlić i coś dla Ciebie wyprosić… Uklękliśmy w tych

wiankach z białymi brudnymi kwiatkami i ja się pomodliłem: „Słuchaj no, Tadeuszku, jest taka sprawa… moja panienka jest w Wiedniu… więc bądź łaskaw mieć ją w opiece… albo lepiej pilnuj, żeby nic się jej nie stało, to dobra dziewczyna, zresztą sam wiesz… bardziej już jej zepsuć nie można, ale ja i tak bardzo ją kocham… no, co się tak dziwisz, Tadeuszku, tak już jest, że ją kocham… Więc żeby miała w tym Wiedniu ładną pogodę i żeby jej tam było dobrze, ale nie za dobrze, żeby mi… no, sam wiesz, Tadeuszku, tak że miej na nią oko… a przede wszystkim spraw, żeby ci jej krewni byli dla niej dobrzy, niech się tam o nią zatroszczą… ze mną wiele nie użyje … i ja z nią też nie, bo tak mnie rwie serducho, że pewnie wykituję…”.

„Gotowe!” Tak powiedziałem… i poszliśmy z Heinrichem von Peukertem z powrotem do roboty, a ponieważ przykazali nam wczoraj, żebyśmy byli mili i dobrzy dla ludzi, to… ponieważ byłem bez Ciebie, a bez Ciebie tak nudno jest żyć… przydusiliśmy trzy kobitki, jednemu panu na szczęście wyłamaliśmy palce, wymierzyliśmy ogółem piętnaście policzków i zainkasowaliśmy sześć… więc mieliśmy saldo dodatnie… dziewięć policzków do przodu… Potem poszliśmy jeszcze z dzbanem po piwo, bo po południu chciałem pojechać motorem na Strahov… no i pojechałem… i wzrok mi się poprawił, a ten mecz piłkarski był… no, był to kawał pięknego, porządnego futbolu… tyle że lewemu skrzydłowemu Hradca złamali nogę, a panu Przadzie z UDA wybili zęby i nie mogli ich potem znaleźć w trawie… Ale poza tym było to udane spotkanie, tyle że kibice dwa razy wbiegli na murawę i sędzia dostał z liścia… Dopiero po przerwie gra się nieco uspokoiła, drużyny współzawodniczyły w duchu przyjaznej rywalizacji, jakby stawką meczu nie były punkty w lidze… Tylko pech chciał… że sędzia musiał zakończyć spotkanie przed czasem… bo na boisku zostało tylko dwunastu zawodników… reszta była już w szpitalu albo w karetkach… a inni za linią boczną trzymali się za kolana… Ale poza tym… meczyk to był jak ta lala… Kiedy wróciłem do domu… miałem już tak dość tego dnia w jednym wymiarze… że poszedłem na spacer i kiedy tak szedłem za ładną paniusią, która

wędrowała przede mną z wózkiem dziecięcym… wyprzedziłem ją i pogratulowałem jej zawartości wózka, mówiąc: „Panienko, ależ panienka ma ładniusiego dzidziusia…”. Ale ona odparła czule: „Ty capie, przecież jestem mężatką!”.

Tak więc wolałem już pójść do domu, żeby marzyć o Tobie, kochanie… ubierałem się powolutku, ale że wynudziłem się tego dnia jak mops, powiedziałem sobie, że wyskoczę jeszcze do Karola IV, bo mają tam fisharmonię, no i tam podczas akademickiej dyskusji tak oberwałem po gębie… że na drugi dzień ludzie pytali mnie: „Panie, gdzieś się pan tak urządził…?”.

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Z listów do Karla Maryski

Drogi Karolu,

jestem już na tyle sprawny i zdrowy, w miarę zdrowy, że mogę usiąść za klawiaturą z literkami i napisać list, choć wymaga to wcale nie mniejszej odwagi niż zburzenie Niniwy. Czas mija szybko, jak wieczór w knajpie, gdzie wlewam w siebie fantastyczne ilości piwa i jestem przy tym tak nakręcony, jakbym się urwał z wariatkowa. Chodzę po mieście nienaturalnie wyprostowany, bo kiedy tylko się trochę pochylę, chlusta ze mnie piwo, jestem jak ta stągiew, napełniony po brzegi, od czasu do czasu wyciągam z konta pięć tysięcy koron i tak pomalutku przepijam spadek po matce, ponieważ doszedłem do wniosku, że na cześć matki, pani dyrektorowej z browaru, lepiej przepić tysiące (ponad sto tysięcy) koron, niż kupować za to jakieś barachło, nie wiadomo co… zwłaszcza że mamusia tak bardzo lubiła piwo, że zanim wybiło południe, zdążyła wysuszyć kilka butelek nymburskiego. Mam nadzieję, że jak przyjedziesz na wakacje, zostanie mi jeszcze coś ze spadku, przejdziemy się po Pradze i będziemy pić piwsko w nieprawdopodobnych ilościach, bo dopiero teraz zrozumiałem, że jak się pije mało piwa, to się po nim głupieje, natomiast picie w wielkich ilościach czyni człowieka genialnym. Pół roku temu, kiedy jeszcze huczało mi we łbie jak w transformatorze, kiedy łaziłem z wybitą szczęką, bo rok temu wjechałem na rowerze w płot i rozwaliłem sobie całą żuchwę, i to tak, że musieli mi wyrwać wszystkie dolne zęby, więc noszę okropną protezę, ta jej chamska obcość w ustach doprowadza mnie do szaleństwa, tak więc pół roku temu, kiedy jeszcze rozgrzany do czerwoności klucz gmerał mi w wątrobie, usiadłem i tylko śmiałem się z samego siebie, bo trzymałem w palcach zdjęcie rentgenowskie i diagnozę, że mam przeciążone wszystkie kręgi szyjne i stąd to huczenie w głowie, a zatem już do śmierci w mojej łepetynie będzie wirował ten rój pszczół,

już nigdy nie opuści mnie ten cudowny, świdrujący ton, już się go nie pozbędę i tylko ćwiczenia, porządna rehabilitacja może wzmocnić moje mięśnie szyjne na tyle, żeby ciało podtrzymywało to, z czym nie mogą już dać sobie rady moje kręgi. Śmieję się często z tej koegzystencji chorób i znów idę do banku po następne pięć tysięcy koron, ponieważ najlepsza na tego małego bechterewa, najlepsza po przejściu żółtaczki i po usunięciu pęcherzyka żółciowego, najlepsza na to okropne uczucie, z jakim ciekawski język uporczywie obmacuje protezę w ustach, najlepsza na to wszystko jest rozmowa, trzeba iść między ludzi i z nimi zapomnieć, zagłuszyć i to huczenie, i tę obcość w ustach, i bliznę na brzuchu i na wątrobie… Więc już z rana ruszam na swój obchód, przed południem leczę się głośną samotnością i wracam dopiero pod wieczór, bo wtedy człowiek jest już taki zmęczony i piękny, że nie czuje tej swojej niemocy. Zaraz! Przeżyłem też wspaniałe chwile podczas tych swoich chorób, hospitalizacji i wizyt w poradniach dentystycznych… napisałem *Czułego barbarzyńcę*, stupięćdziesięciostronicowy traktat, teksty pedagogiczne, kopię masz w domu, jak przyjedziesz, nie warto, żebym wysyłał Ci to do Norwegii, bo za długo by to trwało, zanimby to przeczytali na granicy, czy nie ma tam jakichś niepoprawnych treści, znaczy zakazanych, sam wiesz. Poza tym w Pradze jest teraz przepięknie, złote czasy, nie mogę się nadziwić, ilu młodych ludzi interesuje się sztuką, setki młodych podziwiają ją albo tworzą, gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie długowłosi chłopcy i śliczne dziewczęta, które wyglądają jak córki rabina z Bełza, kartkują i podczytują książki albo pokazują sobie listy graficzne i lektury naszej młodości, jest wielki popyt na Joyce’a, na Marinettiego, czytają nawet Ribemonta, w modzie jest Pitigrilli. Było kilka pięknych happeningów, wyścigów na rolkach, urządzili je na moście Karola, towarzystwo Komfort, ty też dostałeś zawiadomienie, że pod koniec maja będzie tak zwany Dzień Czereśni, będą spacerować z własnoręcznie zrobionymi ptaszkami, wstążkami, wstęgami i tasiemkami wzdłuż Wełtawy, pójdą aż za ogród zoologiczny… Często o Tobie wspominają, zwłaszcza jak Peluszka czyta Twoje listy, więc nawet ci, którzy nie widzieli Cię na oczy, już Cię znają

i cieszą się na Twój powrót z Norwegii, gdzie jak ta Ofelia pływasz po wodach w śnieżnym pięknie bieli… i śnisz swój sen o tęsknej wolności, jak pisał młody Rimbaud. Ten list do Ciebie to początek, wstęp do nowego życia, piszę na maszynie pierwszy raz od ponad trzech miesięcy… Zacznę teraz pisać znowu ten środek, czyli drugi tom *Miasteczka, w którym czas stanął w miejscu*, w ten sposób ukończyłbym cykl nymburski i mógłbym się zabrać do książki, po której spodziewam się najwięcej, *Jumbo albo Leśne przygody*. Ale dość o tym, najpierw muszę to napisać, potem będę gadać. Dziadek Mencl już regularnie wraca do domu zawiany, więc żona chce go wystawić za drzwi, zwłaszcza po tej ostatniej historii, gdy w pałacu Lobkowiczów odkrył z murarzami gotycką studnię, której w baroku używali jako latryny, więc kazał się tam spuścić do tych skamieniałych, ale wciąż jeszcze strasznie śmierdzących odchodów i grzebał w nich szpachlą, aż wydostał na światło dzienne solniczkę czy inny szmelc z siedemnastego wieku i tak się tym przejął, że nie zauważył, że w tramwaju wszyscy się od niego odsuwają, tak strasznie śmierdział, mimo że wziął kąpiel, bo takie barokowe guano śmierdzi nawet bardziej niż wiejski wychodek. Pani Menclová cieszy się, że dziadek kiedyś tam zemdleje i już będzie po nim, powiedziała mi: „No, niech pan sam powie, panie Hrabal, czy ja wyglądam na kobietę, która będzie płakać nad jakimś pomnikiem, proszę spojrzeć, ile mam sukienek w szafie, a do tego dwa futra, no, niech pan powie, czy ja wyglądam jak kobieta, która się zapłacze nad grobem? A co mi tam, każę dziadka skremować, najchętniej wsiadłabym w autobus i rozsypała jego prochy na szosie…”. Tak więc pan Mencl wyznaczył sobie termin, do 31 grudnia ukończy swoje dzieło *Na progu wieczności*… Ale że nieszczęścia chodzą parami, siedzieliśmy U Sojków i przyszli tam jacyś goście z Moraw, minęły ze dwie minuty, a Mencl już ich zapytał: „Jak panowie myślicie, ile mogę mieć lat?”. I uśmiechnął się przy tym, ale Morawianin odparł: „No, skoro nasz dziadek, jak dostał sklerozy, miał siedemdziesiąt siedem, to pan, panie starszy, sądząc po mowie, musisz mieć siedemdziesiąt dziewięć…”. Zapadła straszliwa cisza, dziadek uśmiechał się jeszcze przez chwilę, a potem się rozpłakał i od tej pory już nikogo nie

pyta, już nie chce wiedzieć, na ile wygląda… A drugi cios spadł w ubiegłym tygodniu, Mencl, który tak lubi się przechwalać swoją pamięcią, wpadł do atelier Hampla, a tam była piękna młoda kobieta, więc dziadek Mencl zaczął swoje: „Proszę nic nie mówić, zaraz się pani przekona, jaką mam nadzwyczajną pamięć. Pani jest *madame* Hamplová, widzieliśmy się ostatnio pół roku temu, żeby zaś mogła się pani przekonać, jaką mam doskonałą pamięć, powiem pani, że miała pani wtedy na sobie czerwoną sukienkę i lizała loda waniliowego, a obok szła pani dziesięcioletnia córeczka, i ona także jadła lody… To dopiero pamięć, co?”, przechwalał się Wacław, ale w tej samej chwili odezwał się pan Hampl i powiedział: „Ależ panie Mencl, to nie jest moja żona, tylko modystka ze sklepu naprzeciwko, rozmawiał pan z nią tutaj nie dalej jak wczoraj…”. Na to dziadek zaczął krzyczeć, że już wieczór, że złe światło, a potem poczłapał do domu badać znaleziska ze studni w pałacu Lobkowiczów, wydłubywać pęsetą ze starych rupieci resztki gówien, skamieniałych gotyckich i barokowych ekskrementów… aby później, nocą, z tym większą ochotą pisać swoje dzieło *Na progu wieczności*, podczas gdy jego żona w kuchni śniła, że jedzie na dachu autobusu i rozrzuca po szosie prochy swego drogiego, nieodżałowanego małżonka Wacława. I jeszcze coś lepszego! Dziadek namówił murarzy, żeby zabrali go na wieżę świętego Tynu, skąd ponoć jest wspaniały widok, a gdy po drabinie wyleźli na górę, pchnął serce dzwonu, ale zapomniał się uchylić przed kontrą i to pięćdziesięciokilowe serce przywaliło mu tak, że wpadł do kalfasu i zgniótł murarzom trzy kopy jajek, przygotowanych do zaprawy, bo kościoły odnawia się teraz jak za dawnych czasów. I tak dobrze, że dziadek nie zleciał razem z kalfasem z tej wieży, bo wtedy spełniłoby się marzenie pani Menclowej, żeby rozsiać swego męża na asfaltowej szosie.

I tak pomału przepijam spadek, z wolna i ja szykuję sobie miejsce na progu wieczności, przez niemal ćwierć wieku mieszkałem na Libni, na Grobli Wieczności 24, i jakoś już do tego przywykłem, wieczność siedziała mi na kolanach jak zgrabna dziewczyna, a ja tak długo, tak długo z nią figlowałem, aż w końcu mi spowszedniała. Transformator w głowie,

rozpalony pogrzebacz w wątrobie, przeciążone kręgi szyjne jak pierścienie tłokowe… z takich pięknych początków takie marne końce. No, do widzenia, do rychłego zobaczenia, do rychłego spotkania w pięknej Pradze, na progu wieczności albo U Sojków, albo Pod Tygrysem, tam teraz jest super.

Pozdrawia Cię Boguś Hrabal
W Pradze, 29 maja 1974

Przełożył Aleksander Kaczorowski

Protokół z sekcji własnych zwłok

Moich tekstów nie można nazywać rękopisami, to są maszynopisy. Piszę tylko na maszynie. Moje teksty powstają dużo wcześniej, niż zostaną wystukane. Powraca do mnie pewien motyw, który najchętniej odwiedza mnie daleko od maszyny, w głośnej samotności knajpy albo na spacerze, a nocami wizytę składają mi obrazy związane z tym motywem. A te wcale nie są kolorowe, tylko jak ze starego filmu. Potem podstawowy motyw rozszczepia się i nawiązuje do kolejnych obrazów, które pozostając we wzajemnym związku przyczynowym z podstawowym motywem, ustawiają się w kolejce, a nawet jakby czepiają jeden drugiego i przyciągają. To jest tak, jak z wchodzeniem na drzewo: wspinasz się na wierzchołek, zawsze jedna ręka wyszukuje wyższą gałąź i tak bez przerwy aż do korony, skąd nie da się iść wyżej, a tam rozciąga się już tylko widok między ostatnimi gałązkami. Ten okres, kiedy obrazy walą się na mnie, wytwarzając niechciany organon, ten drugi ład, ten okres jest najpiękniejszy. Trwa parę miesięcy, czasem nawet lat, a mnie nigdy nie jest śpieszno spisać te obrazy na maszynie, chociaż boję się wtedy, żebym przez jakąś pomyłkę nie kipnął. W tym okresie zawsze sobie naiwnie wyobrażam, że ta moja historia jest wyjątkowa i że przeniesienie jej z powietrza na białe kartki papieru kancelaryjnego zależy wyłącznie ode mnie. Tak, z powietrza, ponieważ ja widzę te moje obrazy poza sobą, chociaż wiem, że żaden obiekt nie istnieje poza podmiotem. Moje obrazy żeglują po niebie jak latawce. Ba, potrafię je nawet zatrzymać i przyjrzeć się im, są taką wyłącznie moją galerią… Jest to coś jak telewizyjna transmisja sportowa, transmisja, podczas której można kilka razy powtórzyć dramatyczne i sporne sytuacje. Gdybym miał do czegoś przyrównać moje pisanie na ulotnej tafli wody, to jako najbliższą mi kategorię wskazałbym sport. Wiem, że atleta parę miesięcy przygotowuje się do swojego wyjątkowego występu,

którego nie da się powtórzyć, co najwyżej w telewizji. Ale literatura, a o niej powinienem mówić, ma swoją analogię z tenisem. Ta gra, *game*, ma określone reguły, ale one są tylko po to, żeby przynosić więcej zabawy, radości z gry − *play*. Każdy dobry tenisista od samego początku, już przed pierwszym serwisem, nastawia swoje ręce i ciało na to, że zamiast trzech setów będzie ich grał pięć, że mecz może potrwać półtorej godziny, ale równie dobrze cztery. Wiem też, że tak jak Dukla przed każdym meczem koncentruje się w Vonoklasach, identycznie robi tenisista. W Wimbledonie widziałem Asha, który z zamkniętymi powiekami koncentrował się podczas przerw. Tak samo jest ze mną. Kiedy już skończy się moja koncentracja w głośnych samotniach czy na spacerach, kiedy już te moje obrazy dojrzeją zupełnie jak dziecko w łonie matki, wtedy nadchodzi niesamowita chwila, gdy próbuję dokonać swojego sportowego wyczynu, czyli przerobić kilkuwymiarowe obrazy na jednowymiarowe linijki wychodzące z maszyny do pisania. O ile pamiętam, piszę wyłącznie rano. A co najważniejsze, wieczorem nie wolno mi postanowić, że jutro zacznę pisać. To byłby koniec, podobnie jak koniec z pisaniem byłby wtedy, gdybym komuś opowiedział, o czym będę pisał. Okropnie lubię opowiadać, ale tylko obrazy, i to tylko te niegotowe, które dzięki opowiadaniu jakoś się tak zaokrąglają, stają się lepsze i bliższe legendzie, anegdocie, fikcji. To jeszcze ujdzie, jest to taka plątanina, o której znów można myśleć w drodze do domu, utrwalać ten obraz. Ale pisanie to całkiem inna sprawa. To coś bardzo dwoistego, pisanie jest czymś, co wywołuje zachwyt, ale i lekką grozę, czymś, czego chcę i jednocześnie nie chcę, co mnie przeraża i zarazem napełnia złośliwą radością, kiedy widzę siebie samego wystraszonego swoim pisaniem. Zwykle, żeby zabrać się do pracy, muszę wstać nieprzygotowany, jakiś taki kompletnie przygaszony, powiedziałbym nawet: w stanie pewnej afazji. Powoli, mechanicznie golę się, ponieważ nieogolony nigdy nie napisałbym nawet linijki, podświadomie spryskuję się wodą brzozową, a potem zamyślony robię kawę. Lubię poranną kawę bez jedzenia, bo gdybym się najadł, wtedy z pisania i w ogóle z myślenia byłyby nici. Później samiuteńki wypijam kawę, a gdyby mnie ktoś

odwiedził przy kawie i papierosie, wtedy przestaję pić i palić, ponieważ te dwa piękne nałogi należą wyłącznie do mnie. Oddaję się im każdego dnia, zwiększając tak łaknienie, trochę podobnie jak księża, którym rano nie wolno jeść, co najwyżej wypić łyk wina, do tego podczas mszy. Tak więc piję kawę, wypalając jednego za drugim dwa papierosy, patrzę przez okno, palę i siorbię neskę, dojrzewając do startu, do tego punktu zerowego, który już Grecy nazywali początkiem mistycznego myślenia. I wreszcie pewnego dnia, o jakiejś godzinie i minucie, których nigdy nie znam z góry, siadam przy maszynie i jak atleci, zanim uklękną na starcie do biegu, ćwiczę palce i przeguby. A później zaczynam pisać tę swoją historię, ciągle w tym zerowym punkcie, ale z jednym jedynym reflektorem, którym jaskrawo oświetlam swoje obrazy wychodzące z tego pierwszego i depczące sobie po piętach, ciągną jeden za drugim podobne do rzeźnego bydła, wypędzanego z wagonu na rampie przez rzeźników, czasem obrazy zachodzą na siebie, przeskakują, ale ja nadążam wklepać je w maszynę, a gdy widzę, że wyrabiam się w tempie jedna strona na dziesięć minut, czasem tylko pięć, piszę dalej, choć nigdy nie wiem, co napisałem, ponieważ nie mam możliwości skontrolowania, a urok pisania na maszynie polega na tym, że tekst nie spływa z palców, tylko poprzez ich opuszki przenoszony jest na czcionki, a dopiero te odciskają literki na białej powierzchni papieru. Nie mam możliwości skontrolowania z tej prostej przyczyny, że piszę w okularach i kontroluję tylko czcionki, literki, a nie słowa. A ponieważ piszę spowity chmurą obrazów, których koniec już podczas pisania pierwszego obrazu jest spodziewany i nasycony obrazem następnym, piszę aż do wyczerpania. Moje obrazy wchodzą w maszynę w sposób, w jaki przekazuje się pałeczkę w sztafecie cztery razy sto metrów, gdy pierwszy kończy dystans, a ten drugi już od jakiejś chwili biegnie, żeby płynnie przejąć pałeczkę. I tak oto mój pierwszy dzień kończy się wyczerpaniem, widzę przed sobą stosik kartek i boję się do nich zajrzeć, bo znam siebie i dobrze wiem, że prędkiemu pisaniu towarzyszy dużo błędów, co dwie minuty czcionki sczepiają się i muszę je rozdzielać pstryknięciem. Zawsze piszę trzy, cztery godziny, a potem odwiedzam głośne samotnie, najchętniej

chodzę do knajp, gdzie mnie nie znają, siadam i odpoczywam, nikt nie wie, że jestem brzemienny, nikt po mnie nie pozna, że akurat dopisałem coś, co budzi we mnie radość, ale i obawy. I myślę o czekających na mnie obrazach, o tych rzeźnych cielętach, których kolej nadejdzie jutro, i pilnuję się, żeby nie przedobrzyć i gdzieś sobie nie rozbić główki, w której są sznurki trzymające na niebie tyle pięknych latawców. Następny dzień znów zaczynam od punktu zero, kawki i papieroska, a papierosy lubię tylko mocne, tak mocne, że już po dwóch robi mi się niedobrze, a gdybym wypalił papierosa wieczorem, wtedy już nie zasnę, pan Menzel mówi o mnie, że wyglądam jak piłkarz zaraz po meczu, to fakt, ale w gruncie rzeczy jestem wrażliwcem, czułym sejsmografem, dostrzegam sprawy, których, o dziwo, nie widzą inni, i się nimi kaleczę. Piszę więc w tym rytmie, lękam się weekendu, ale już poniedziałek i na szczęście nic mi się nie stało, no to dalej piszę na maszynie, a ballada jest dla mnie liryczno-dramatyczna niczym tenisowy mecz: dziewięć-siedem, siedem-pięć, sześć-cztery… Dopiero gdy skończę ostatnią linijkę, kiedy ostatni obraz już zamknie ten przeznaczony wyłącznie dla mnie seans filmowy, wtedy odstawiam maszynę, głaszczę się, uśmiecham do swojego odbicia w lustrze i mówię do siebie: „Ech, mały, mały”, tak jak Tonda Panenka po strzeleniu gola mawia: „Gościówa jesteś…”. Dopiero wtedy jestem w stanie popatrzeć: co to właściwie napisałem? Co takiego całe moje ciało i dźwignie moich rąk, i opuszki palców ściągnęły z powietrza na papier kancelaryjny A 25? I zaczynam filować na te kartki, nieśpiesznie, tak jak się filuje w karty przy ferblu, tym czeskim pokerze, albo oczku, podobnie przez dziurki zaglądam do zamkniętej pocztowej skrzynki i po kolorze listu widzę, że to chyba nekrolog, a czasem biorę nożyczki i trochę podnoszę przesyłkę, a jak uznam, że może być nieprzyjemna, to upuszczam ten list i obiema rękami wykonuję gesty, które spychają tę nieprzyjemność na później, odsuwają ją na kilka dni… I tak powoli uspokajam się i oswajam z pierwotnym tekstem, z tym swoim maszynopisem, i widzę, że pełno w nim zająknięć oraz przejęzyczeń, śledzę ten nieregularny tok zdań, a później, gdy zdobędę się na odwagę, siadam, biorę pióro i poprawiam,

i uzupełniam, i zawsze w pewnym momencie zostaję do tej swojej historii wciągnięty jak sędzia liniowy, który przygląda się grze, zamiast patrzeć, czy piłeczka była w korcie, czy już za linią, tak samo i ja niczym pierwszy rewizor sprawdzam bieg opowieści, a jakby mnie ktoś wtedy obserwował, to zobaczyłby, że się uśmiecham albo marszczę czoło, a nawet ronię łzy, bo jako pierwszy czytelnik tak wzruszyłem się swoją *story*. Trzeba dodać, że mówię tu o trybie pracy nad *Zbyt głośną samotnością* i *Obsługiwałem angielskiego króla*. A mówię dlatego, że omyłkowo zostawiłem sobie pierwotne teksty. Dawniej lubiłem pozamiatać po sobie, żeby widzieć tego swojego dzidziusia porządnie wykąpanego. Teraz odwrotnie, cieszę się, że mogę go widzieć w pieluchach, a nawet pomyślałem, że gdybym miał pieniądze, to wydałbym właśnie te moje *alla prima*, to *premier mouvement*, to, co napisałem jako pierwsze. Chciałbym to wydać włącznie z moimi poprawkami i błędami maszynowymi, ale nie po to, żeby moje pisanie było jakąś wskazówką dla początkujących, tylko dlatego, że te pierwotne teksty traktuję jak graficzne odbitki, które o mnie i o moim charakterze mówią więcej niż moja fotografia. *Głośną samotność* uznałem w końcu za balladę, za tenisowy mecz w trzech zażartych setach, podczas gdy *Angielski król* to powieść, tenisowa pięciosetówka. Stało się tak chyba dlatego, że przy *Królu* miałem lepszą kondycję, a może i dlatego, że przed sobą i wyłącznie dla siebie miałem pełnych osiemnaście dni czystego czasu, a pewnie i dlatego, że *Król* ma pięć aktów jak klasyczny dramat. Zresztą nie wiem, bo nauczyłem się pisać jakoś tak dziwnie, sam z siebie, tylko dzięki czytaniu i pisaniu, pisaniu i raz jeszcze pisaniu. Dopiero teraz, na stare lata zaczynam rozumieć i dziwić się, cóż to takiego ta gramatyka, dopiero teraz zwracam uwagę na konstrukcję i strukturę wewnętrzną. Pisania nauczyłem się tak, jak Cygan gry na skrzypcach, bardziej jestem wróblem niż jaskółką, fruwam, ale zawsze bez znajomości aerodynamiki, więc te formy, balladę i powieść, dopasowałem później, bo ja nigdy nie rozpoczynałem pisania z jakąś koncepcją. O *Głośnej samotności* mogę jeszcze powiedzieć, że pierwszą wersję napisałem takim apollinaire’owskim wierszem, chyba dlatego, żeby się nie wściekać z powodu interpunkcji, ale być może

i dlatego, że całą tę historię postrzegałem jako czysto liryczną… Tylko że po jej pierwszej lekturze stwierdziłem, że pisałem praską czeszczyzną, nie slangiem, ale językiem mówionym. I wtedy dotarło do mnie, że ten mój motyw zwyczajnego człowieka, wykształconego wbrew własnej woli, jest pozbawiony ironii, że praska ironia wypłynie i zaboli mocniej w starannej literackiej czeszczyźnie. Podnieciło mnie to i wprowadziwszy się w nastrój, napisałem *Samotność* od nowa stylem, na który się zdecydowałem, pod wpływem chwili albo z wrodzonego niedbalstwa coś w tym pierwotnym tekście poprzestawiałem, coś lekko zmieniłem, wiedząc, że właściwie niczego nie mogę w nim zepsuć, ponieważ bałem się go, a ze mną bywa tak, że jak się boję swego tekstu, to jest co najmniej dobry. I dopiero po przeczytaniu wersji tego literackiego tekstu uznałem, że zyskał dodatkowo nie połowę, ale cały wymiar, że dopiero teraz ta opowieść stała się wzruszająca, ponieważ jej wymowa zadaje większy ból niż knajpiana opowiastka. Czyli zarówno *Król*, jak i *Samotność* są tekstami napisanymi *alla prima*, podobnymi do pociągu osobowego, który za dnia wjeżdża do długachnego tunelu albo w ciemną, mroczną noc. Zarówno *Król*, jak i *Samotność* są tekstami, które boję się czytać, a nawet spojrzeć choćby na jedną ich stronę, bo ja jestem już zupełnie gdzie indziej i nie tylko nie widzę tych swoich tekstów, ale co więcej, są mi obojętne i nie tyle nie lubię o nich mówić, ile odpowiadać na przedziwne pytania. Brzydzę się tego, a nawet wstydzę. Pisarz, którym już chyba jestem, powinien być dla swoich tekstów bezlitosny, bo przecież przede mną są motywy silniejsze od tych, od których odszedłem, pisarz powinien mieć odwagę pójść tam, gdzie znów będzie się bał, tam, gdzie nikt go nie czeka, gdzie teraźniejszość nie istnieje, przeszłość jest straszna, a przyszłość tak dobrze, ach, tak dobrze znana…

Przełożył Jan Stachowski

Partnerstwo dla Pokoju albo Czekając na Godota

Mówię sobie, kurde, ależ ty mnie wpieprzasz, nawet zdrowy być nie potrafisz! Albo już nie chcesz.

Partnerstwo dla Pokoju… Ha, przecież to powrót do *Pax aetern.*… *Treuga Dei* i dziełko Kanta *Zum ewigen Frieden*… We wszystkich językach świata jest to gołe zdanie… *Una res multis modis.*.. *Defensor pacis,* Marsyliusz z Padwy, 1325… Jerzy z Podiebradu i jego Liga Narodów…

No tak, pewne ważne części mózgu muszą być wymazane, ba, nawet całkiem skasowane, żeby ludzka osobowość mogła powiedzieć to, na co nigdy by się nie zdobyła…

W środę siedziałem u Tygrysa koło ubikacji, gapił się na mnie facet podobny do oszusta matrymonialnego, miał prążkowane ubranie, czerwony krawat i wąsik… Siedzę więc tak sobie przy ubikacji, bo wkurzył mnie jeden plastyk z Linca, i mówię… „Pan jesteś tajniak, co nie?”. No i tak było.

Potem siedziałem pod dużym porożem, tam gdzie zwykle, pod moją fotografią z Klubu Czeskiego w Londynie, na której jestem między kupą flaszek po pilznerze. Siedział już tam ten tajniak z wąsikiem i czerwonym krawatem, a obok niego gość z fryzurą na zapałkę, podobny do hokeisty… A potem przyszła Julcia i zaraz przystawiła się do mnie, i całowała mnie, i płakała, a ja pokazałem jej zdjęcia z tego naszego poniedziałku… Obchody zrównania dnia z nocą… te jej piersi… a ona płakała ze szczęścia, jak żeśmy to uhonorowali jej biust… Później ten cykl zdjęć pokazałem tajniakom, nie tylko czeskim, ale też amerykańskim, żeby wiedzieli, jak chcemy tu przywitać pana prezydenta Clintona u Tygrysa pod wielkim porożem, i żeby także nasz pan prezydent zobaczył, jak się tutaj zabawiamy… Julcia elegancko pokaże cycki… No i tajniacy wpadli w zachwyt, jak to zamierzamy powitać pana prezydenta Clintona i że oni to

tu zabezpieczą… Julcia płakała ze szczęścia, że już się cieszy na uroczyste przywitanie prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki i że wypucuje sobie pizdę i przyniesie karpia, którego osobiście przyrządzi w kuchni… A ja pokazywałem cykl zdjęć pana Mazala… Obchody zrównania dnia z nocą… Cykl całowania cycków… Tajniacy śmiali się i cieszyli, że nie szykujemy żadnej prowokacji ani zamachu, tylko zabawę z cyckami. Powiedziałem, że ożenię się z Julcią i moim zdaniem pan prezydent Clinton mógłby nam być za świadka, a na Starym Rynku dodatkowo też prezydent Havel, tak żeby swoboda, wolność, braterstwo, czyli i Partnerstwo dla Pokoju, miały w Pradze we wtorek uroczysty początek… Start z cyckami na stole Pod Złotym Tygrysem… *Zum ewigen Frieden*… Tak, bo w Europie Środkowej nie da się żyć bez rauszu…

Potem przyszedł podpułkownik Jira, który kiedyś dał mi pomacać spluwę i który był w Ameryce na szkoleniu, a teraz trafił nie do bezpieki, nie do ochrony, ale do wydziału morderstw na zamówienie… Usiadł z naszymi i amerykańskimi ochroniarzami, a ja tuliłem się do Julci, a ona ciągle z płaczem powtarzała, że godnie przygotuje się do powitania pana prezydenta Clintona, że sobie odpicuje pizdę… I że ona nie ma dla Partnerstwa dla Pokoju niczego poza swymi zapłakanymi oczami, pizdą i piersiami wypielęgnowanymi tak, żeby można było z nich niuchać tabaki, czyli żeby była dla Partnerstwa *persona grata* i *appetitlich*…

No i całowaliśmy się z Julcią, a ona lała łzy i tak była ze szczęścia wzruszona, że łzy rozmazywały jej makijaż, którym ozdobiła swoje policzki… A później jedliśmy świeżo pieczoną karkówkę i ja rozdawałem: kawałek dla Julci, kawałek dla czeskiego tajniaka w czerwonym krawacie i ubraniu *à la* oszust matrymonialny z Ameryki Południowej, i kawałek dla ochroniarza z Ameryki Północnej… I wszystkim smakowało, i już zaczęliśmy się cieszyć na ten wtorek, kiedy spotkamy się, żeby poczekać, bo a nuż przyjdzie na piwo pan prezydent Havel z panem prezydentem Clintonem. A w tym czasie wszystkie dymniki i dachy będą obstawione przez tajniaków nie tylko z Pragi, ale i z Ameryki, a Julcia będzie miała

wypucowaną pizdę i cycki, bo nie może dać niczego więcej Partnerstwu dla Pokoju… No dobra… tylko żeby naprawdę nie był *kaniec filma*…

Czyli jest tak, jak to w swojej książeczce napisał Victor Hadwiger… „Praga jest miastem utajnionych zawałów serca i przymilnych krawcowych…” No dobra… Co robić? Jebać, dopóki teraźniejszość ciepła jest… Praga jest krzyżówką nie trzech, ale setki języków. *Szto diełat'*? Victor Hadwiger zawrzeszczał się na śmierć w endogenicznej depresji, dopiero w Berlinie, kiedy w porę wyjechał z Pragi… To było z niego najlepsze… ale co miał robić? Zawrzeszczeć się na śmierć jak Louis Céline w książce *Z zamku do zamku*… Krzyk, krzyk, krzyk i znowu krzyk… Na szczęście Julcia wypucuje sobie pizdę, żeby mogła śmiało wyjść naprzeciw Partnerstwu dla Pokoju…

PS To była środa… ale co tam! W piątek przyszła do Tygrysa telewizja i kręciła tam wszystko jak leci, dekorację karnawałową, gości, stałych klientów, mój kącik też. I mieli do tego komentarz, i spytali mnie, czybym im czego nie powiedział na okoliczność tej sławnej wizyty pana prezydenta Clintona… Ustawili aparaturę, kamera mruczała, a ja powiedziałem mniej więcej tyle, że będziemy zaszczyceni, jeżeli koło naszego stołu przejdzie pan prezydent Havel i Clinton, i w ogóle… ale co tam! W środę planowaliśmy wesołe spotkanie, tak jak tutaj zwykliśmy… ale co tam! W nocy ze środy na czwartek panu prezydentowi Clintonowi zmarła mamusia, więc i my, jak to u Tygrysa jest w zwyczaju, kiedy komuś umiera krewny, będziemy musieli zachowywać się jak na stypie, bo mamusia pana prezydenta była nie tylko częścią wyborów swego syna, ale i tego, że został prezydentem… Więc darujemy sobie hej, hop, hop i będziemy siedzieć cicho, i słuchać, o co prezydenci być może zapytają… Ciekawi mnie tylko, czy kelnerzy zdejmą wszystkie te karnawałowe ozdoby rozwieszone pod sufitem, na lampach i porożach jeleni, całą tę kolorową dekorację rozbawionej sylwestrowej nocy… Być może mamusia pana prezydenta życzyłaby sobie tych girland i lampionów, które zdobią sufit i ściany

Tygrysa, bo według rzecznika rodziny mamusia prezydenta przeżyła wspaniałe i bardzo aktywne życie…

Kersko, z soboty na niedzielę (8–9.01.1994)

Przełożył Jan Stachowski

Czym jest knajpa

Czym jest knajpa, knajpa w moim rozumieniu? To pomieszczenie, które wprawdzie ma pewne reguły, pewien rytuał, pewne zastygłe dogmaty, a równocześnie jest pomieszczeniem, gdzie oprócz *game* goście nie tylko cieszą się, ale też pod wrażeniem chwil oddają się *play*, zabawie, zabawom dorosłych dzieci. Gospoda jest miejscem obrony przed stereotypem, a nawet takim miejscem, gdzie ci najzwyczajniejsi ludzie potrafią improwizować, potrafią poddać się rytmowi improwizacji, imaginacji. Gospoda to miejsce, gdzie równy gospodzki, knajpiarz, potrafi odstawić teatr. W Jilovej na rynku była taka knajpa, na którą się mówiło U Chama. Tam widzowie, czyli stali bywalcy, czekali na kogoś, kto tam jeszcze nie był, i cieszyli się na ten moment, gdy gość zamówi piwo albo kawkę, a gospodzki zawsze potraktuje go tak samo… „No, czego się gapisz, gadaj albo spadaj", powiedział do mnie. „Piwo", mówię, a Cham na całą knajpę: „Ten palant se myśli, że ja mu natoczę piwa, sam se nalej…". Taki był początek, ale później Cham za każdym razem postępował inaczej. To jest knajpa, gdzie zdarzyć się może wszystko, to teatr, do którego, jak do gospody Jarouszka Klouzka, pan Iontek przyprowadził kiedyś żywego konia, to jest ta chwila, kiedy się zaczyna poezja. Już o jedenastej przed południem, gdy na dworze był trzaskający mróz, weszli trzej młodzieńcy z Chrastu. W piecu marki Filiakovo buzował ogień, a w kąciku, na ławkach, nad którymi ciągnęły się rury, grzali się zmarznięci emeryci. „Jarouszku, co możemy zrobić dla pana?", spytali trzej młodzieńcy z Chrastu. „Wiecie co, wynieście ten piec na drogę, zanim wam natoczę piwa!", rzekł Jarouszek, śmiejąc się na głos. I zanim się kto obejrzał, trzej młodzieńcy z Chrastu capnęli ten trzykwintalowy rozgrzany piec, wyrwali rury dymne, obijając siedzących pod nimi staruszków, i wynieśli dymiący piec, i ustawili go pośrodku drogi. Wszyscy goście wstali i przyglądali się wędrującemu

piecowi marki Filiakovo, a potem przez drzwi i okno oglądali ten wspaniały teatr, sam Jarouszek, uśmiechnięty i z rękami na kurkach, też był zaskoczony. Trzej młodzieńcy weszli i usiedli w zadymionej od rana gospodzie, a Jarouszek powiedział: „Ładnie mi się zaczął ten dzień, tu macie swoje piwo…”. A zawadiacy z Chrastu gasili pragnienie, knajpa była wypełniona dymem i tajemnicą, którą przerwał klakson zatłoczonego autobusu, stojącego przed piecem marki Filiakovo, autobus trąbił, więc Jarouszek przyszedł po prośbie: „Słuchajcie no, chłopaki, przynieście z powrotem ten piec, dam wam stówę”. Trzej zawadiacy z Chrastu powiedzieli: „Ale forsa z góry!”. Autobus trąbił i trąbił, więc Jarouszek wyjął z tylnej kieszeni portfel i położywszy setkę obok trzech pustych kufli, rzekł z uśmiechem: „No, ładnie mi się ten dzień zaczyna…”. Wszyscy goście rzucili się do okien, trzej młodzieńcy z Chrastu jak gdyby na umówiony znak wybiegli i chociaż nie byli żadnymi osiłkami, tylko przeciętnymi chłopakami, capnęli piec marki Filiakovo, znowu zniknęli za nim w futrynie drzwi, po czym ustawili piec dokładnie tam, gdzie stał przedtem. Gospodzki wszedł na stół i trzymając rury przez gazetę, osadził je, a goście znowu zasiedli przy swoich piwach. Tak się zaczyna fajny teatr w porządnej knajpie, gdzie goście nie są trupami, ale żywymi, myślącymi ludźmi, którzy zawsze wykombinują coś podobnego do improwizacji, jakąś wariację na dany temat, *fair play*. Jest to miejsce, gdzie ni stąd, ni zowąd staje zakład, jaki biust ma żona gospodzkiego, dziewiątkę czy jedenastkę, to gra, która kończy się w publicznym lokalu tak, że żona gospodzkiego wpycha jedną pierś do kufla, a małżonek jej w tym doradza, dodaje odwagi i dopinguje. Taka knajpa to jednocześnie scena i widownia, pomieszczenie, do którego wchodzi się z ulicy, a potem wychodzi. Czasem cała gospoda wylewa się ze swoimi ludźmi do domów, nakarmić króliki albo przygotować kolację, wtedy gospodzki zostaje sam i on też może spokojnie się najeść, ale nasz Jarouszek je zupę w południe i pod wieczór, kiedy knajpa jest pełna, zjada parę łyżek, a potem toczy i roznosi piwo, żeby za chwilę znów przełknąć kilka łyżek, wstać i podać papierosy albo piwo na wynos, zawsze uśmiechnięty i jak gdyby nic serwujący te swoje odzywki…

„Raduj się, kiedy płacisz…” albo: „Bądź dzielny, Gifordzie…” Później, gdy dojadł już zimną zupę, zabierał się do knedlików w sosie z mięsem, a w trakcie jedzenia wstawał i teatralnie toczył piwo, sprzedawał papierosy i solanki oraz opowiadał gościom, wymyślając bezsensowne rady i nielogiczne zdania… A rewanżował im się tak, że podając na tacce kieliszki, zawsze dodawał jeden dla siebie i przepijając do reszty, mówił skromnie: „To w ramach obowiązków służbowych…”.

Knajpa jest miejscem, gdzie gdy się komu zachce, to podnosi kufel i ustawiwszy na głowie, tańczy z nim rytualnie, a jak mu się zachce, to schowa się w kącie, będzie zeźlony i naburmuszony, z nikim nie chce rozmawiać, to i nie rozmawia. Innemu ni stąd, ni zowąd zbierze się na śpiewanie, no to sobie zaśpiewa, a jakiś inny gość, wracając z ubikacji, zapina sobie szelki, ale najwspanialsze są gospody z telewizorem, gdzie goście oprócz teatru oglądają jeszcze program telewizyjny i nic im nie umknie, a przy tym zdania z telewizora potrafią zagłuszyć swoimi wypowiedziami, skomentować wydarzenia, transmisje sportowe itepe, a te ich zadarte głowy, ponieważ telewizory są w knajpach umieszczane zwykle dosyć wysoko w kącie na półce, tak żeby goście nie strącili ich rękami albo głowami, więc te ich zadarte głowy, odchylone karki, oczy skierowane w jeden punkt zwiększają urok fizycznego i psychicznego cierpienia, bo podnosząc piwo, ręka czasem rozminie się z ustami, papieros nie trafia między wargi, i gospoda dzięki telewizji nabiera dodatkowego wymiaru… To jest zespołowe kreowanie knajpy, darmowe przedstawienie dla każdego przybysza, na świeżym obrusie przewrócone kufle, dziury wypalone papierosami, nieimprowizowane kłótnie, darmowe miejsce do oglądania autentycznej bójki. Lecz gospoda jest też miejscem, gdzie już nie można znaleźć ciszy i samotności, bo i tutaj zaczynają się pojawiać objawy śmierci, zakaz gry w karty, podawania napojów alkoholowych nietrzeźwym, kierowcom i młodocianym oraz zakaz rozmów na tematy polityczne. Ba! Jest coś cudownego w knajpianych rytuałach, to, że goście wciąż są wobec siebie uprzejmi albo ironiczni, obojętni albo ziejący nienawiścią, jest tam wszystko, tyle tylko, że tam nie zasypiają, a jeśli już,

to na siedząco, nie zalegają na kanapie jak w domu, bo w gospodzie ludzie nie są zmęczeni, a nawet się popisują, podczas gdy o tej samej porze w domu ogarnia ich gnuśność, marudzą i podrzemują. Knajpa jest także miejscem, gdzie kończą się praca i zahamowania, gdzie ludzie zgrywają się, udając tego, kim chcieliby być, jest więc miejscem, w którym poprzez ożywioną grę i żywe obrazy można przedstawić nieosiągalne, gdzie dzięki nieświadomości można osiągnąć godne potępienia dostojeństwo, jak również obalić samooskarżenie. Ludzie wracają z gospody rozochoceni i podnieceni i żeby nie zasnąć, walą się na pościel dopiero nad ranem albo też zasypiają jak zabici. Wychodząc z knajpy, gość cieszy się, że następnego dnia pójdzie tam znowu, albo też przysięga sobie, że już do śmierci nie zada się z tą hołotą. Gospoda jest miejscem, do którego bywalec śpieszy tylko po to, żeby dowiedzieć się od innych, co poprzedniego wieczora mówił i robił, kogo obraził, a nad kim triumfował. Knajpa jest także miejscem, gdzie mówi się to, czego się nie mówi gdzie indziej, nawet za cenę protokołu, który sporządzili lub sporządzają tajniacy albo ich współpracownicy.

Gospoda to także giełda pracy, przy piwie można tu obgadać nawet zbudowanie pod klucz jednorodzinnego domku, tu załatwi się wszystko, czego się nie da załatwić nigdzie indziej. Knajpy są miejscem, dokąd po piwo przychodzą młode dziewczyny i podczas gdy gospodzki toczy dla nich kufle, a młoda dziewczyna pilnuje, żeby jej do dzbanka nie dodał zlewków, wszyscy goście milkną i nawet nie patrzą na piękne ciała w dżinsach, na piersi pod bluzeczkami, tylko po prostu cichną, ponieważ przelotnie spotkali się z pięknem, i to nie na ulicy, ale w knajpie, gdy przy szynkwasie stoi młoda kobieta, która wie, że chociaż nie patrzą na nią, to wszyscy faceci są podekscytowani tym, co młoda dziewczyna wniosła niechcący do gospody i co potwierdziły jej oczy, że jest szczęśliwa, że jej uroda została doceniona. Gdy wieczorem do Jarouszka chadzały po piwo dwie młode kobiety, czarnula i ruda, wtedy nawet ja czułem się tym zaszczycony i choć patrzyłem gdzie indziej, to jednak dobrze widziałem zauroczenie dwiema dziewczynami w dżinsach… Te dziewczęta nigdy

i nigdzie indziej, nawet na meczu piłkarskim, nie były tak piękne jak wtedy, gdy stały przy szynkwasie, a Jarouszek toczył im piwo i podobnie jak pozostali nie mógł wykrztusić słowa… A kiedy dziewczyny wyszły z dzbankami, to w gospodzie jeszcze długo było cicho, goście powoli, z trudem dobierając słowa, wracali do banalnych rozważań i rozmów przerwanych, jak by powiedział Éluard, przybyciem w biały dzień rozświetlonych lamp. Knajpa, kołyszące się wahadło, na przemian piękno i brzydota, nudy na pudy i podniecenie, królestwo niezbadanej banalności. Napięcie, gdy wchodzi ktoś zamiejscowy, obcy. Gospoda, gdzie goście siedzą łokieć w łokieć, chociaż są tacy, że gdy ich dotknąć łokciem, to jakby ich prąd kopnął. W innych knajpach, czasem tak jest w Złotym Tygrysie albo U Jelinków, goście są na ławach tak poupychani, że jeden jakby się zrastał z tym drugim i zostaje tylko wolna ręka, żeby móc sięgnąć po ucho kufla. Goście stłoczeni jak święci na tympanonie w Porta Coeli. Specjalność Tygrysa, kiedy ktoś siedzący na ławie w kącie pod oknem albo pod wielkim porożem musi iść za potrzebą, wszyscy wtedy łapią stół razem z kuflami, podnoszą go i gość ze schyloną głową rusza do ubikacji, a gdy wraca, stół znowu zostaje podniesiony, żeby wychodzący mógł na powrót zająć swoje miejsce. Gospoda to także miejsce spotkań mężczyzn oraz ludzi, którzy dawno się nie widzieli. Ci, co akurat mają imieniny albo urodziny, obejmują się czule i całują w policzki, tak po starozakonnemu, a w przepitych oczach mają szczere łzy. W tych moich knajpach też jest tak, że jak ktoś ma imieniny czy urodziny, to na stole ni stąd, ni zowąd pojawia się bukiet, no i obrus, wprawdzie nikt jeszcze nie przyszedł, trwa stan oczekiwania, ale każdy gość przy innym stole ma wrażenie, jakby ci goście już tam byli. A później przychodzą, schodzą się stali bywalcy, wreszcie ten, z którego powodu stół zdobi ogromny, strzelisty bukiet. I znowu łzy, uśmiechy, tłumione porywy. Kochałem ten długi stół, ostatni w szeregu, gdzie siadywał pan Deyl, ten kąt z długim stołem w Złotym Tygrysie, gdzie zawsze w czwartek spotykali się uczestnicy buntu w Zatoce Kotorskiej. Pan Prochazka podawał im spienione kufle, przy czym stawiał je jak statki w zatoce, i uczestnicy wstawali. Janouszek wydawał komendę, ten

Janouszek był najmniejszy, reszta to wielgachne chłopy, i tak na komendę wypijali te browarki, tylko że przy szóstym piwie drągale czuli się jak po pierwszym, podczas gdy Janouszek już był pijany, ale trzymał się na rozkaz, aż w końcu zasypiał na ramieniu tego największego uczestnika powstania. Teraz już popijają gdzieś tam indziej i nie to, że smutno jest bez nich, ale zapomnieliśmy o tych bardach. Są też gospody, przy których całymi dniami siedzi albo leży pies. Pod piwiarnią na Spalonej wylegiwał się bernardyn, a takiego ruchliwego chodnika jak na Spalonej nie ma nigdzie, no i na tym chodniku po południu spał wyciągnięty bernardyn, ludzie musieli schodzić na jezdnię, a bernardyn spał sobie, podczas gdy jego pan skoczył na jedno piwo. Moim najukochańszym na świecie krajem jest Grecja, byłem tam raz w knajpce, do której przyszedł facet z psem, piliśmy uzo, dużo tego było, a pies położył się pośrodku, ale nie chodnika, tylko jezdni. I przy tym psie, w miejscu, gdzie kontury psiego ciała tworzyły wysepkę, stanął policjant z drogówki i kierował ruchem tak, żeby nikt nie przejechał śpiącego psa, i dopóki ten spał, a spał długo, dopóty policja kierowała ruchem, żeby nikt nie przejechał śpiącego psa, którego pan popijał uzo w przydrożnym bistro.

Knajpa jest również zbiorowym teatrem, happeningiem. Każdego dnia miliony knajp i knajpek rozświetlają ludzkimi twarzami miasta, wsie i odludzia, zwyczajni ludzie wynoszą tu swoje zwyczajne żywoty aż do granicy życia i śmierci. I wszystko tutaj zaczyna się od gry i pierwszego zdania, które zawsze jest rozumiane inaczej. Przez to „inaczej” rozmywają się znaczenia, bo ludzka rozmowa jest pracującą maszyną, która jednak produkuje buble. I te buble to początek happeningu. Odwrotny rozpad domku z kart. Ale gospoda jest też miejscem, gdzie dążenie do zmiany świata, do rewolucji czy kontrrewolucji jest jak najmniejsze. To miejsce najbardziej przeciwne wojnie. Bywalec knajpy nie pragnie znaleźć się w innym kraju jako żołnierz, a nawet nie pragnie polec w swoim kraju, nie chce polec nawet w tym mieście, miasteczku, wsi, gdzie jest jego gospoda. Spełnieniem jego życia, gdy już nastanie ten czas, jest śmierć w swojej knajpie. To mało, ale w tym tkwi wielkość bywalca gospody. Sądzę, że

gdyby wszyscy ci żołnierze, którzy mieli czas myśleć i zastanawiać się nad swoim losem wtedy, gdy z bronią w ręku umierali w obcym kraju, że gdyby mogli cofnąć bieg wydarzeń, to nie pragnęliby niczego innego, jak powrotu do swojej knajpki, między przyjaciół, i nie życzyliby zwycięstwa swojej armii. Bywalcowi wystarczy jego praca, rodzina i jego knajpka. To wprawdzie mało, ale wszystkie ideologie nie są ugodowe ani życzliwe wobec knajpek. To mało, ale tak właśnie jest, zwłaszcza kiedy się słyszy, że pierwsze uderzenie broni atomowej uśmierci miliard osób, a w tym czasie temperatura na ziemi spadnie do minus dwudziestu pięciu stopni. Oto wielka koncepcja, ten wielki cel, ten wielki bój o pokój. Dwadzieścia pięć stopni mrozu i szlag trafia kwiaty, sarny, no i ludzi. Ale to przecież nie bywalec knajpki ciągnie tam ludzkość i świat! Czasem tchórzostwo jest największym męstwem, niewiara największą wiarą, ostrożność największą zadziornością. Zadowolenie się małym jest największą cnotą. Spalenie świata w rewolucji i przemocy jest zbrodnią nie przeciw ludzkości, lecz przeciw knajpce, tej najgłupszej, najbanalniejszej knajpce.

Przełożył Jan Stachowski

Aleksander Kaczorowski

Hrabala portret własny

Bez przerwy pić też się nie da, więc się dokształcam.
Bohumil Hrabal (1914–1997)

W tym jednym zdaniu, wypowiedzianym podczas spotkania z czytelnikami w restauracji Leśna w Kersku wiosną 1984 roku, jest cały Bohumil Hrabal. Dowcip, przekora, autoironia – to cechy charakterystyczne jego pisarstwa. Gdy towarzyszyły im także szczególny poetycki liryzm, nieco surrealistyczne widzenie świata i całkowite utożsamienie się autora ze swymi bohaterami – a więc niemal zawsze – mieliśmy do czynienia z arcydziełami, takimi jak *Obsługiwałem angielskiego króla* czy *Zbyt głośna samotność*.

O tym, skąd wziął się ten szczególny fenomen pisarstwa Hrabala, jego rozpoznawalny na pierwszy rzut oka styl, pisałem w książce *Gra w życie. Opowieść o Bohumilu Hrabalu* (Czarne, 2004), a także w biografii pisarza *Hrabal. Słodka apokalipsa* (Czarne, 2016). Czytając po raz kolejny niemal wszystko, co napisał i co udało się odnaleźć bądź zrekonstruować redaktorom i wydawcom jego dziewiętnastotomowych *Dzieł zebranych*, wróciłem do pomysłu, by przygotować wybór tekstów, które złożyłyby się na jego portret – Hrabala portret własny.

Jaki to ma sens, skoro znaczna część twórczości pisarza, zwłaszcza późnej, ma właśnie charakter autobiograficzny? Czytelnik osądzi to sam. Myślę, że z tych tekstów, w znacznej mierze niepublikowanych wcześniej w polskim przekładzie, istotnie dowiadujemy się o pisarzu czegoś nowego. Życzliwe przyjęcie, z jakim spotkało się pierwsze wydanie *Pięknej rupieciarni* (Czarne, 2006) utwierdza mnie w przekonaniu, że w tych „zapiskach zapisywacza" Hrabal nierzadko odkrywa się bardziej niż w powieściach czy opowiadaniach. Postanowiłem więc, przy okazji drugiego wydania książki, wyłowić z przepastnej spuścizny pisarza jeszcze kilka perełek.

Spotkanie autorskie w restauracji Leśna ukazuje autora w jego, chciałoby się rzec, środowisku naturalnym – wśród piwoszy, będących nie tylko kompanami od kieliszka i szklanki, lecz także czytelnikami, o czym świadczą ich kompetentne pytania (moje ulubione: „Skoro wspomniał pan o snach, one też mogą być piękne […]. Jakich pan ma więcej, tych ładnych

czy tych przygnębiających?”. Odpowiedź: „Tych złych, kiedy człowiek zawija się w prześcieradło”).

Poproszony przez zebranych o kilka słów wprowadzenia, Hrabal wygłasza nadzwyczajny, trwający dobre pół godziny monolog, następnie odpowiada na serię pytań, przerywając tylko po to, by wychylić kolejną szklankę piwa – a wszystko to w wieku siedemdziesięciu lat! Po czym „nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się rozeszli – jedni do autobusu, a reszta do swoich chałup”.

Musiał to być wesoły autobus, całkiem jak z filmu Jiřiego Menzla *Święto przebiśniegu*, który miał premierę niedługo przed spotkaniem w restauracji Leśna. To właśnie w tym przydrożnym zajeździe, którego nie sposób ominąć, jadąc do Kerska z Pragi, rozgrywa się akcja filmu, zrealizowanego na podstawie zbioru opowiadań pod tym samym tytułem (kilku uczestników spotkania z pisarzem zagrało w nim samych siebie). Hrabal opowiada więc o okolicznościach powstania zarówno tej, jak i innych ekranizacji jego prozy dokonanych przez Menzla; ujawnia pierwowzory bohaterów powieści *Obsługiwałem angielskiego króla*; przybliża zebranym na poły legendarne postaci swych przyjaciół Egona Bondy’ego i Vladimíra Boudníka, sportretowanych między innymi w *Czułym barbarzyńcy*.

Vladimírowi Boudníkowi (1924–1968), zmarłemu śmiercią samobójczą wybitnemu plastykowi, Hrabal poświęcił esej *Dandys w drelichu*, napisany zaledwie pół roku po spotkaniu w restauracji Leśna. *Dandys w drelichu* niejednym zaskoczy tych, którzy znają już *Czułego barbarzyńcę*. Wydawać by się mogło, że do zarysowanego tam dziesięć lat wcześniej portretu „malarza przeklętego” nie sposób nic dodać. A jednak: tym razem Hrabal przedstawił jednego ze swych najbliższych przyjaciół w sposób wolny od mitologizacji i upiększeń; naszkicował niezwykle realistyczny portret twórcy, który zamienia życie własne i swoich bliskich w piekło – w imię sztuki.

Połowa lat osiemdziesiątych to dla pisarza czas głębokiej introspekcji; to wtedy powstaje większość jego najciekawszych tekstów o charakterze

autobiograficznym (powieściowa trylogia *Wesela w domu*, esej *Kim jestem*, wywiad rzeka *Drybling Hidegkutiego*). Pisarz właśnie zakończył pracę nad cyklem nymburskim (*Postrzyżyny*, *Taka piękna żałoba*, *Skarby świata całego*), w którym sportretował bliskich: matkę, ojca i stryja Pepina. Jest całkiem logiczne, że teraz, u schyłku życia, zapragnął umieścić na zarysowanym w ten sposób tle siebie samego.

„Jak się człowiek uchleje, to nawet w Kersku jest Kilimandżaro", powiada jeden z bohaterów *Święta przebiśniegu.* Hrabal najlepsze rzeczy – jak sam opowiadał – napisał na kacu; alkohol towarzyszył mu od dzieciństwa. „Jest coś cudownego w knajpianych rytuałach, to, że goście wciąż są wobec siebie uprzejmi albo ironiczni, obojętni albo ziejący nienawiścią, jest tam wszystko, tyle tylko, że tam nie zasypiają, a jeśli już, to na siedząco, nie zalegają na kanapie jak w domu, bo w gospodzie ludzie nie są zmęczeni, a nawet się popisują, podczas gdy o tej samej porze w domu ogarnia ich gnuśność, marudzą i podrzemują" – pisze w eseju *Czym jest knajpa*, będącym jego hołdem złożonym „knajpce, tej najgłupszej, najbanalniejszej knajpce". Ja sam, próbując uchwycić niepowtarzalny fenomen praskiej gospody, tak pisałem o jej bywalcach w książce *Praski elementarz* (Czarne, 2001, 2012): „Knajpy odgrywały w ich życiu podobną rolę jak u nas kościoły. To knajpa była miejscem spowiedzi powszechnej, to w knajpie śpiewało się starodawne pieśni, to w knajpie przyjmowało się ciało i krew czeskiej ziemi – wieprzowinę z kapustą i knedlami oraz »mleko kozła« z Velkých Popovic. Świat tych ludzi wydawał się doskonale uporządkowany – nikt nigdzie się nie śpieszył, nikt nie marzył o innym życiu, nikt nie wydawał się mieć poczucia, że siedząc tu, nad piwem, coś traci".

Pisałem w czasie przeszłym, sądzę bowiem, że ten świat już nie istnieje – a przynajmniej dla mnie przestał on istnieć wraz ze śmiercią Hrabala. 3 lutego 1997 roku znaleziono martwego pisarza pod ścianą praskiego szpitala Na Bulowce. Hrabal przebywał tam już od kilku miesięcy. Tego, co rozegrało się później, nie wymyśliłby chyba on sam: środki masowego przekazu, idąc za sugestią policji i lekarzy,

rozpowszechniły wersję o tragicznym wypadku, choć przyjaciele pisarza, którzy widzieli go ostatni, jak na przykład Tomáš Mazal, nie mieli cienia wątpliwości, że popełnił on samobójstwo. Po latach potwierdził to ordynator.

Cóż, że Hrabal nie zostawił listu pożegnalnego? A czym innym są jego wstrząsające zapiski z ostatnich lat życia, jak nie „kroniką zapowiedzianej śmierci”?! Czyż *Wspomnienie pewnego sylwestra* (ostatniego, który spędził z żoną Elišką), nie jest niewysłuchaną ostatecznie prośbą o dobrą śmierć, która nie nadchodziła, choć bez litości odebrała pisarzowi najbliższych: żonę, brata Slávka, a w końcu także najwierniejszego przyjaciela Karla Maryskę?

My chcemy zapamiętać innego Hrabala – pełnego życia i humoru, piszącego niebanalne korespondencje z podróży (*Za Budziejowicami*, *Cud gospodarczy*, *Z zapisków zapisywacza*, *Pewnego dnia*, *Czy na darmo jeździłem po świecie?*) i listy miłosne do przyszłej żony (*Z listów do Pipsi*), wspominającego dawne miłostki (*Pearl of Love Stories*) i szaleńcze eskapady z przyjaciółmi (*Ja i Semafor*), komentującego przekornie wydarzenia polityczne (*O klauzulach wyjazdowych*, *Partnerstwo dla Pokoju albo Czekając na Godota*) oraz wspominającego lata dzieciństwa i młodości (*Piękna rupieciarnia*, *Odnaleziona Ósemka*) czy wreszcie opowiadającego o ukochanej Libni, gdzie przeżył najlepsze ćwierć wieku swego życia (*Moja Libeń*). I mamy do tego prawo, tak jak i on miał prawo być raczej obserwatorem niż uczestnikiem wydarzeń, miał prawo być pisarzem apolitycznym w czasach, które sprzyjały autorom zaangażowanym; miał prawo być twórcą prawdziwie religijnym w najlepszym z możliwych sensów tego słowa – choć przecież wierzył tylko w człowieka. A i to po kilku głębszych.

„Kiedy usłyszałem o tragedii Polski, do płaczu doprowadzały mnie opowieści o tym, jak pułki polskiej kawalerii szarżowały na niemieckie czołgi, wszyscy ci polegli Polacy walczący konno przeciw czołgom byli dla mnie objawieniem, antycznym mitem, jak ten grecki hoplita, który aby uniemożliwić ucieczkę wrogiej perskiej łodzi, sam jeden trzymał łódź

rękoma, a kiedy ucięli mu ręce, wgryzł się zębami w linę i dopiero gdy perscy żołnierze odcięli mu głowę, łódź odpłynęła… Właśnie tak walczyli Polacy” – pisał w pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego (*Grozy wojenne*). Rzecz jasna, ten tekst ukazał się dopiero kilkanaście lat później, podobnie jak *Protokół z sekcji własnych zwłok*.

Tak scharakteryzował w tym eseju swoje pisarstwo: „Pisania nauczyłem się tak, jak Cygan gry na skrzypcach, bardziej jestem wróblem niż jaskółką, fruwam, ale zawsze bez znajomości aerodynamiki”. To samo mogłoby powiedzieć o sobie wielu pisarzy, lecz uczynił to właśnie Hrabal. W pewnym sensie przez całe życie nie robił nic innego, jak tylko udowadniał wszystkim wokół, że tak naprawdę jest idiotą, a wszystko udaje mu się przez przypadek. I niektórzy nawet w to wierzyli.

Był mistrzem kamuflażu – i może dlatego pod koniec życia tak rozpaczliwie próbował zerwać ze stworzonym przez siebie wizerunkiem sympatycznego bajarza, nieszkodliwego bajduły. Czy mu się to udało? Można w to wątpić, pamiętając o tym, że nawet jego samobójczą śmierć wciąż przedstawia się czasem jako wypadek zdziecinniałego staruszka, który chciał nakarmić gołębie. To uwięzienie we własnym wizerunku czyni go jednak, paradoksalnie, postacią tym bardziej tragiczną i współczesną.

Kim zatem był Hrabal? A kim my jesteśmy? Czasem więcej wiemy o ulubionym pisarzu niż o ludziach, z którymi spędzamy połowę życia, choćby w pracy. On sam zapewne doradziłby nam raczej wizytę w knajpie niż roztrząsanie takich problemów. Lecz, niestety, wiemy już, że „bez przerwy pić też się nie da…”.

Nota bibliograficzna

Spotkanie autorskie w restauracji Leśna [*Beseda v restauraci Hájenka*] – zapis nagrania dokonanego podczas spotkania z czytelnikami w restauracji Leśna w Kersku 24 marca 1984 roku. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala* [Dzieła zebrane Bohumila Hrabala], t. 17, Praha 1996

Dandys w drelichu [*Dandy v montérkách*] – pierwodruk w: *Život bez smokingu* [Życie bez smokingu], Praha 1986; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 12, Praha 1995

Piękna rupieciarnia [*Rozhovor sám se sebou*] – z autorskiej, nieocenzurowanej wersji książki *Domácí úkoly z pilnosti* [Nadobowiązkowe zadania domowe], Praha 1982. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 15, Praha 1995

Odnaleziona Ósemka [*Předmluva*] – nieocenzurowana wersja przedmowy do książki *Život bez smokingu*, Praha 1986. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 12, Praha 1995

Moja Libeń [*Moje Libeň*] – pierwodruk: *Život bez smokingu*, Praha 1986; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 12, Praha 1995

Pearl of Love Stories – maszynopis ze spuścizny pisarza. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 19, Praha 1997

Za Budziejowicami [*Za Budějovicemi*] – pierwodruk: „Literární noviny” 1964, nr 41; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Cud gospodarczy [*Hospodářský zázrak*] – pierwodruk: „Literární noviny” 1965, nr 51–52; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Z zapisków zapisywacza [*Ze zápisníku zapisovatele*] – pierwodruk: „Literární noviny” 1966, nr 6; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Pewnego dnia [*Jednoho dne*] – pierwodruk: „Literární noviny” 1966, nr 3; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 15, Praha 1995

Ja i Semafor [*Já a Semafor*] – tekst z niewydanego almanachu, który miał upamiętnić 30. rocznicę powstania praskiego teatru Semafor. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Czy na darmo jeździłem po świecie? [*Jezdil jsem světem na darmo?*] – zapis rozmowy z Bohumilem Hrabalem, wypowiedzi pisarza zanotował M. Langošek. Pierwodruk: „Mladá fronta”, 11.01.1964; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 15, Praha 1995

O klauzulach wyjazdowych [*O výjezdních doložkách*] – pierwodruk: „Politika” 1969, nr 1; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 15, Praha 1995

Grozy wojenne [*Interview pro Maďarsko a vůbec*] – z autorskiej, nieocenzurowanej wersji książki *Domácí úkoly z pilnosti*, Praha 1982; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 15, Praha 1995

Wspomnienie pewnego sylwestra [*Vzpomínka na jeden Silvestr*] – pierwodruk: druk okolicznościowy niezależnego wydawnictwa Praska Imaginacja z grudnia 1989 roku; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Z listów do Pipsi [*Z korespondence. Pipsi*] – list napisany na maszynie, na dwunastu zszytych ćwiartkach papieru biurowego. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Z listów do Karla Maryski [*Z korespondence. Karlovi Maryskovi*] – list napisany na maszynie, obustronnie na dwóch kartkach papieru firmowego Interhotelu Palace. Pierwodruk: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Protokół z sekcji własnych zwłok [*Zpráva o pitvě vlastní mrtvoly*] – pierwodruk: program przedstawienia *Hlučná samota* [Głośna samotność] praskiego teatru Na Zabradli, premiera: 7 marca 1984; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 12, Praha 1995

Partnerstwo dla Pokoju albo Czekając na Godota [*Partnerství pro mír aneb Čekání na Godota*] – pierwodruk: *Balony mohou vzlétnout* [Balony mogą wzlecieć], Praha, 1995; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 14, Praha 1996

Czym jest knajpa [*Co to je hospoda…*] – pierwodruk: „HAŇŤA PRESS” 1995, nr 18; także: *Sebrané spisy Bohumila Hrabala*, t. 18, Praha 1996

Przypisy

[1] Głuchołazy (pol.).

[2] Przeł. Andrzej Lewandowski.

[3] *Manwantara* – w hinduizmie początek, okres odpowiadający długości życia Manu, praojca ludzkości.

[4] *Pralaja* – w hinduizmie kres, cykliczny rozpad wszechświata.

[5] T. S. Eliot, *Ziemia jałowa*, przeł. Cz. Miłosz.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2019
Wydanie II rozszerzone